DARIUSZ RATAJCZAK



TEMATY JESZCZE BARDZIEJ NIEBEZPIECZNE



Na szczęście Ratajczak mógł sprzedać tylko 5 egzemplarzy swojej książki. Uff, polska demokracja znów wyszła obronną ręką. Gdyby historyk mógł sprzedać 6 egzemplarzy – NATO musiałoby zaraz zbombardować Opole – Jürgen Graf

TEGOŻ AUTORA:

Polacy na Wileńszczyźnie 1939-1944, Opole 1990
Świadectwo księdza Wojaczka, Opole 1994
Krajowa Armia Podziemna w powiecie prudnickim 1949-1952, współautor, Opole-Gliwice 1996.
Tematy niebezpieczne, Opole 1999, Warszawa 1999

DARIUSZ RATAJCZAK

TEMATY *jeszcze bardziej* NIEBEZPIECZNE



Wydawnictwo MIECZ I PŁUG
Kociaty – New York 2001

Dariusz Ratajczak, *Tematy jeszcze bardziej niebezpieczne*,
wydanie I, Kociaty – New York 2001

© Copyright by Dariusz Ratajczak
All rights reserved. Printed in the United States of America. No part of this book may be used or reproduced in any manner whatsoever without written permission except in the cause of brief quotations embodied in critical articles and reviews.

FIRST EDITION

Designed by George Spurrier

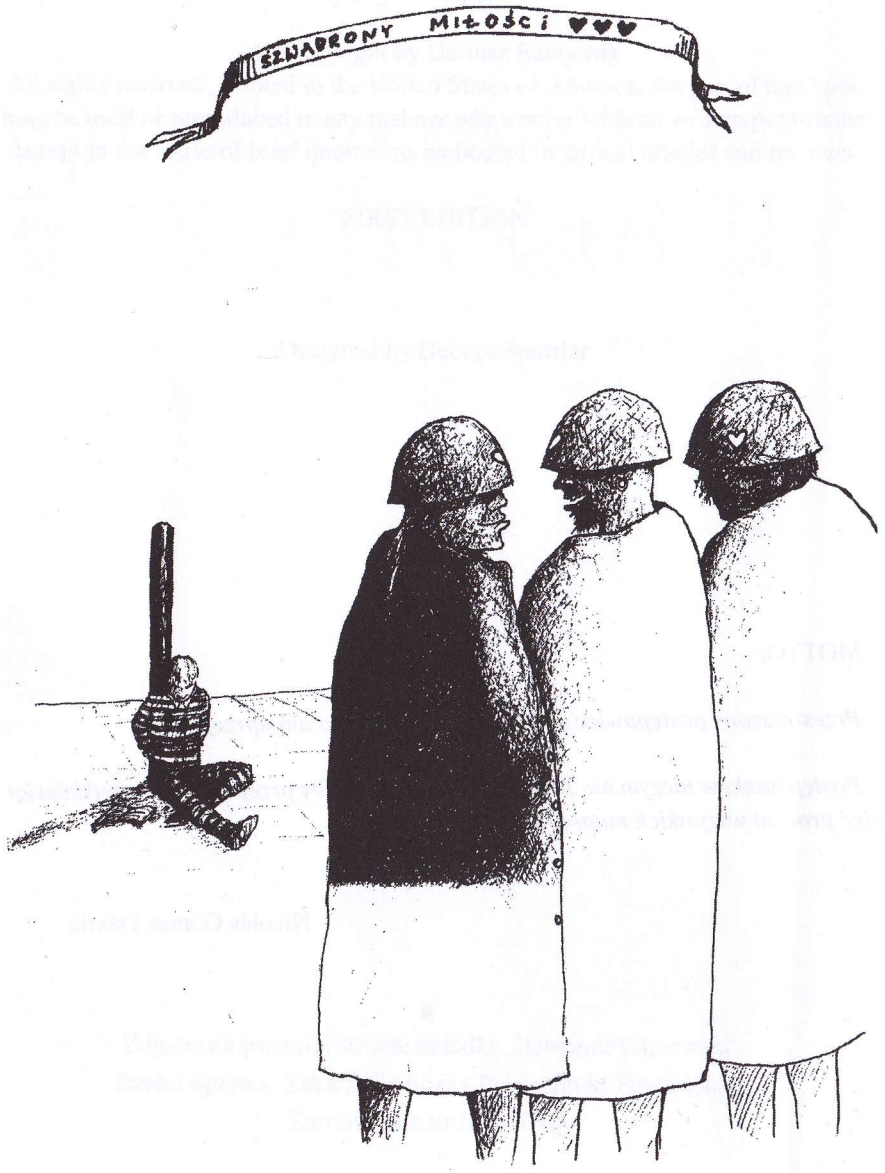
Zdjęcie na ostatniej stronie okładki: Sławomir Olszewski
Druk i oprawa: Zakład Graficzny Politechniki Poznańskiej
Zamówienie nr S/46/2001

MOTTO:

Przestraszony postępowiec nie zna ani współczucia ani uprzejmości.

Postęp nauki w niczym nie zostałby zakłócony, gdyby przepadło dziewięćdziesiąt pięć procent wszystkich monografii naukowych.

Nicolás Gómez Dávila



SPIS TREŚCI:

Przedmowa – Roch Rembiel 9
Od Autora 11
Ważniejsze pozycje książkowe i artykuły prasowe wykorzystane w pracy . 13

O komorach gazowych i nie tylko 16
Jak trudno być kłamcą 22
Fałszywi świadkowie 24
Jeszcze o naocznych świadkach Holocaustu 26
John Ball: Raport 28
Portreciki 32
Kąsanie Treblinki 34
Bełżecki fantasta 36
Dura Lex Sed Lex? 38
Rewizjonizm Holocaustu według Roberta Faurissona 40
Hitchcock w Bergen-Belsen 43
Czy Niemcy to idioci? 45
Czy Niemcy to idioci? – II 47
Pająk – Irving – Piper. Spór o Holocaust 49
Jak Adolf Izrael budował 51
Buchenwald pozdrawia Warszawę 54
Okrucieństwa wojny 56
Kto wywołał II wojnę światową 59
Amerykańska piąta kolumna 61
Czarni antysemici i żydowscy rasiści 64
Niech żyje zdrowie (Heil Gesundheit)! 67
Diabeł tkwi w szczegółach 69
Żydzi w Wehrmachcie 71
Nasze „skurczybyki” 72
Hollywood w Kielcach? 74
Dziedzictwo Południa 76
O cywilizacjach 79
Piąta cywilizacja? 83
Katolewica – „zatroskani” dywersanci 85
Chrześcijanin według *Talmudu* 87
Zdrajca *Talmudu* (czyli czego w nim nie przeczytacie) 91
Mord rytualny 93

Protokoły Mędrców Syjonu – fałszerstwo oparte na faktach 96
Żydzi a niepodległość Polski 99
Holocaust po francusku 102
Konkurs plucia (po izraelsku) 103
Palestyńskie migawki 104
Cyganie nie cyganić! 107
Ranking narodów 109
Prawdziwi twórcy Sowietów 112
Moi ukochani Żydzi 115
Czeski patriotyzm 117
Teoria spisku 119
Czy postkomuniści to postsataniści? 120
Sprawa Templariuszy 121
To nie mój „Heimat" 124
Czy wiesz, że... 125

Aneks: Głosy o Ratajczaku 128

PRZEDMOWA

W drugiej połowie ubiegłego roku, wygrzewając bezwstydnie ciało w sierpniowym słońcu Międzyzdrojów, otrzymałem maszynopis niniejszej książki. Po przeczytaniu pomyślałem sobie: „aha – uwaga, uwaga nadchodzi. Autorowi splądrują mieszkanie albo zmuszą go do emigracji w cieplejsze rejony świata".

Tak naprawdę nie wiem jak będzie, aliści jedno jest pewne: trzymacie oto Państwo w ręku prawdziwy dynamit; dynamit po wybuchu którego (tj. po przeczytaniu książki) Wasz prywatny świat stanie na głowie i – być może – tak już pozostanie.

Dariusz Ratajczak – najbardziej znany obok dra Judyma doktor w Polsce – podmiot (a raczej przedmiot) jednej z największych medialnych kampanii nienawiści w krótkich dziejach III Rzeczypospolitej, tym razem wprawił mnie w pełne osłupienie. Z dwóch co najmniej powodów.

Po pierwsze, nie przypuszczałem, że ten wiecznie uśmiechnięty i życzliwy innym ludziom człowiek, amator życia rodzinnego, spacerów z psem wielkości „małej amfibii", starych filmów z Clintem Eastwoodem w roli głównej oraz... znawca szkockich klanów, zrobi kolejny krok w swej jednoosobowej krucjacie przeciwko szamanom politycznej poprawności. W końcu istnieje granica ludzkiej wytrzymałości... Chociaż, z drugiej strony, ten dobroduszny mężczyzna to jednostka o niezwykłym harcie ducha, stałych, tradycjonalistyczno-katolicko-narodowo-wolnościowych poglądach i twardych zasadach moralnych.

Po drugie, osaczony przez nieprzyjaciela Ratajczak napisał wielce błyskotliwą, przedstawianą właśnie Państwu książkę: *Tematy jeszcze bardziej niebiezpieczne*. Książkę poważną, ale i skrzącą się dowcipem – tak rzadkim w szeroko pojętych kręgach narodowych; „bijącą między oczy" adwersarzy, ale zarazem nie skazującą ich na wieczne potępienie (zawsze istnieje możliwość poprawy); nade wszystko jednak – niebezpieczną, bardzo niebezpieczną. Tak, to jest brawurowy ułański kontratak. Z solidnym jednak zabezpieczeniem.

Tematy jeszcze bardziej niebezpieczne to zbiór publicystyki historycznej, osią której jest rewizjonistyczne spojrzenie na zagadnienia bliższej oraz dalszej przeszłości.

Na szczególną uwagę zasługują moim zdaniem te partie pracy, które traktują o rewizjonistach Holocaustu. Autor syntetycznie (siłą rzeczy – również wybiórczo) referuje ich poglądy, zestawia je z przekazami świadków historii, a całość ilustruje niezwykle ciekawym materiałem ikonograficznym (sądzę, że zdjęcia te lub szkice stanowią absolutną nowość w polskiej publicystyce historycznej).

Proszę mi wierzyć, Czytelnik bardziej analitycznych i rozbudowanych tekstów na

ten temat, pomieszczanych w 2-3 niskonakładowych periodykach krajowych, nie dozna zawodu, a to ze względu na formę przekazu autora. Ratajczak bowiem to prawdziwy syntetyk stawiający na język komunikatywny, „ludzki". A jednocześnie historyk zdający sobie sprawę, że zbytnie przeciążenie faktami wpływa na czytelnicze możliwości percepcyjne.

Nie chcę być złym albo dobrym prorokiem (wszystko zależy od punktu widzenia i... siedzenia), ale te fragmenty mogą stać się inspiracją dla wielu „młodych poszukiwaczy sprzeczności". To może być kamyczek, który uruchomii lawinę. Myślę również, że nie przysypie ona tym razem autora. Przecież jego obiektywna metoda referowania jest bez zarzutu.

Jak to ma w zwyczaju, Ratajczak sporo miejsca poświęca Żydom, a ogólniej cechom dodatnim i ujemnym różnych narodów (patrz np. kapitalny „Ranking narodów"). Trudno go jednak uważać za „antysemitę", czy człowieka myślącego kategoriami „zły – dobry" naród. Jeżeli ktoś myśli inaczej, polecam celne spostrzeżenie autora, oceniającego Żydów jako normalny naród o tylko nieco większym odsetku „wariatów" przeświadczonych o swej wyjątkowości. Tu przy okazji ujawnia się cały pan doktor: jedno zdanie i kij w mrowisko oraz... spienione usta redaktorów *Gazety Wyborczej*.

Nie ominście również – Drodzy Czytelnicy – publicystyki dotyczącej średniowiecza. Wprawdzie Ratajczak twierdzi, że mediawista z niego „taki sobie", ale i na tym odległym czasowo gruncie potrafi zaskoczyć.

Niniejsza książka ukazuje się wysiłkiem kociacko–nowojorskiego Wydawnictwa MIECZ I PŁUG. Jego dyrektorowi, panu Józefowi Dziamarze, należą się wielkie brawa za odwagę i (tak, tak) myślenie przyszłościowe.

Życząc fascynującej lektury, jednocześnie przestrzegam: po przeczytaniu *Tematów jeszcze bardziej niebezpiecznych* być może nigdy już „nie będzie tak samo".

Roch Rembiel

OD AUTORA

Do odważnych świat należy!

Rok po wydaniu książki mojego autorstwa pt. *Tematy niebezpieczne* postanowiłem opublikować jej ciąg dalszy w postaci niniejszego zbioru esejów historycznych traktujących o sprawach, które z różnych względów zasługują na uwagę.

Nie ukrywam, że pewne partie tej napisanej przystępnym językiem pracy poruszają tematy drażliwe, niepopularne i kontrowersyjne. Szczególnie odnosi się to do krótkich esejów referujących poglądy tak zwanych rewizjonistów Holocaustu. Pozwolą zatem Państwo, że syntetycznie przedstawię swój punkt widzenia na problem, który w kręgach socliberalnych (niewątpliwie Polską rządzących) wywołuje wściekłość nie mającą wiele wspólnego ze zdrowym rozsądkiem. Podobną uwagę kieruję w stronę niektórych polskich historyków – ludzi „odważnych inaczej".

Uważam, że rewizjoniści Holocaustu są historyczną i społeczną rzeczywistością. Nie należy zamykać oczu i mówić: „nie ma problemu". Jest to zresztą wewnętrznie zróżnicowane środowisko, składające się z lewicowców, liberałów i przedstawicieli klasycznej prawicy. Nie brakuje w nim Żydów.

Twierdzę, że w kilku sprawach węzłowych rewizjoniści nie mają racji, ale zwykła uczciwość nie pozwala mi powiedzieć, że we wszystkich. Należy zachować krytycyzm, często daleko posunięty, wobec wielu tez przez nich głoszonych, nierzadko należy je obalać. Wszelako nad niektórymi stawianymi przez nich pytaniami warto się zastanowić, a nawet udzielić odpowiedzi twierdzącej. Dotyczy to np. nieuzasadnionej wiary, iż żydowskie cierpienia podczas II wojny światowej (a szerzej w wieku XX) były czymś wyjątkowym na tle cierpień innych nacji, lub sprawy bardzo konkretnej: liczby Żydów zamordowanych przez hitlerowców w latach 1939-1945. Nie ukrywam, że słynne „6 milionów" to propaganda z gatunku wirtualnej rzeczywistości.

Jedno jest wszak pewne: dyskusja z rewizjonistami (i nie tylko z nimi) winna mieć wymiar merytoryczny, naukowy. Zastraszanie i lżenie adwersarzy oraz – niestety – skuteczne próby penalizacji historiografii to blamaż współczesnych, politycznie poprawnych inkwizytorów; to nowy totalitaryzm – tyleż wstrętny, co bezdennie głupi, gdyż na dłuższą metę nieskuteczny. A może i w przyszłości groźny dla dzisiejszych „intelektualnych oprawców".

W niniejszej pracy sporo miejsca poświęciłem Żydom. Nie wynika to z jakiejś szczególnej fobii autora. Nie jestem zwolennikiem myślenia ściśle nacyjnego, chociaż mam prawo bardziej lubić Węgrów lub Ormian niż Żydów, a Żydów

bardziej niż Grenlandczyków (których – nawiasem mówiąc – bliżej nie znam). Twierdzę natomiast, że wielu – nazbyt wielu – naszych „starszych braci" powinno wykazać więcej pokory wobec faktów i przestać podkreślać na każdym kroku własną „wyjątkowość" względem całego świata. Winni bardziej słuchać swojego współrodaka, profesora Izraela Szahaka niż ulegać zacietrzewieniu przechodzącemu w neonazistowski bełkot.

Winni wreszcie w konkretnym przypadku Polski i Polaków uderzyć się w piersi i po ludzku przeprosić za niegodziwości, jakich nam nie szczędzili i nie szczędzą. Odpowiemy – jestem tego pewny: „Wybaczamy i o wybaczenie prosimy". A Polacy, jak żaden inny naród, wybaczać potrafią...

Takoż czynię i ja w stosunku do moich Szanownych polsko-żydowskich adwersarzy i niektórych Polaków (nawet tych przebranych w duchowne szaty, pod którymi powiewają fartuszki wiadomego pochodzenia), którzy – mam taką nadzieję – tylko na chwilę zapomnieli, że podłość, nierzetelność, półprawdy, kłamstwa i tchórzliwa dyspozycyjność nie są receptą na życie. Wybaczenie nie oznacza jednak z mojej strony milczenia i zaprzestania krytyki. Na to Wielce Czcigodni przeciwnicy nie liczcie. A przynajmniej – jeszcze nie teraz.

Miniony rok był dla mnie czasem trudnym i pouczającym zarazem. Osobiście odczułem potęgę *Gazety Wyborczej* (prawdziwej i świadomej budzicielki antysemityzmu) oraz „wyborczoidalnych" mediów, którym boksowanie na wpół leżącego człowieka (ale daleko nie powalonego) przychodzi z dużą łatwością. Ot, siła ciosu Mike Tysona, a ringowe zachowanie godne Andrzeja Gołoty. Tym bardziej wdzięczny jestem wszystkim protektorom, którzy wzięli opolskiego doktora w obronę.

Składam serdeczne Bóg Zapłać: pp. profesorom Ryszardowi Benderowi i Peterowi Rainie; szanownym profesorom z krakowskiego Klubu „Myśl dla Polski"; dziennikarzom *Najwyższego Czasu!* – tropicielom wszelkiej głupoty; szanownemu Szefowi Wydawnictwa Infopress Ltd., Czytelnikom *Myśli Polskiej* i Słuchaczom „Radia Maryja". Osobne podziękowania kieruję pod adresem Ojca Tadeusza Rydzyka, który odważył się zaprosić do radiowego studia „wyrzutka akademickiej społeczności".

Czas zacząć. Ring wolny – starcie drugie!

Dariusz Ratajczak

Opole, 20. 02. AD 2001

WAŻNIEJSZE POZYCJE KSIĄŻKOWE I ARTYKUŁY PRASOWE WYKORZYSTANE W PRACY

Avineri S., *The Making of Modern Zionism*, Nowy Jork 1981.

Ball J. C., *Air Photo Evidence, Auschwitz, Treblinka, Majdanek, Sobibor, Bergen Belsen, Belzec, Babi Yar, Katyn Forest*, Delta 1992.

Ball J. C., *The Ball Report – Auschwitz exposed! Concentration camps drawn from WW II air photos*, Toronto 1993.

Bestic A., Vrba R., *I Cannot Forgive*, Nowy Jork 1964.

Blair M., *Civil War Heritage under Siege*, „Spotlight", 23. 08. 1999.

Blair M., *Roosevelt was determined to force Japan into Act of War*, „Spotlight", 7. 12. 1987.

Botsford D., *Meinungsaußerungsfreiheit, dissidente Historiker und Holocaust – Revisionisten*, cz. 2, *Vierteljahreshefte für freie Geschichtsforschung*, z. 1, marzec 1999.

Calvi F., *Życie codzienne mafii od roku 1950 do naszych dni*, Warszawa 1993.

Czołowski A., Caro J., Pikulski G. ks., *Mord rytualny, epizod z przeszłości Lwowa*, Poznań 1998.

Europa po Auschwitz (red. Z. Mach), Kraków 1995.

Faurisson R., *Introduction to Ecrits Revisionnistes (1974-1998)*, 1998.

Fuller J. F. C., *The Decisive Battles of the Western World*, vol. 3, Londyn 1956.

Gabiś T., *Die Holocaust-Religion*, VffG, z. 4, grudzień 1999.

Graf J., *Riese auf tonernen Füßen, Raul Hilberg und sein Standartwerk über "Holocaust"*, Hastings 1999.

Graf J., Matogno C., *KL Majdanek, eine historische und technische Studie*, Hastings 1998.

Goldhagen D., *Gorliwi kaci Hitlera; zwyczajni Niemcy i Holocaust*, Warszawa 1999.

Gray A., *Lauck: The Spotlight saved me*, „Spotlight", 30. 08. 1999.

Gringauz S., *Some Methodological Problems in the Study of the Ghetto*, w: *Jewish Social Studies*, volume XII, Nowy Jork 1950.

Gurion B., *Task and Character of a Modern Zionist*, „Jerusalem Post", 17. 08. 1952.

Hamann B., *Wiedeń Hitlera, lata nauki pewnego dyktatora*, Warszawa 1999.

Héss R., *Wspomnienia*, Warszawa 1960.

Irving D., *Norymberga. Ostatnia bitwa*, Warszawa 1999.
Irving D., *Wojna Hitlera*, Warszawa 1996.
Jeske-Choiński T., *Poznaj Żyda*, Warszawa 1912 (reprint).
Johnson P., *Intelektualiści*, Warszawa, b.d.
Kardel H., *Hitler założycielem Izraela?*, Warszawa 1995.
Kardinalfragen zur Zeitgeschichte, Berchem 1996.
Kąkolewski K., *Umarły cmentarz*, Warszawa 1996.
Koneczny F., *Prawa dziejowe. Bizantynizm niemiecki*, Londyn 1982.
Koneczny F., *Zasady prawa w cywilizacji łacińskiej*, Londyn 1981.
Kozicki St., *Konferencja Pokojowa i podpisanie Traktatu*, „Myśl Polska", 1. 07. 1969.
Limbaugh R., *Właściwy porządek rzeczy*, Chicago 1996.
Majewski J. M., *Czy Jędrzej Giertych jest heretykiem? List protestacyjny do redakcji „Tygodnika Powszechnego"*, Warszawa 1988.
Miłkowski T., Machcewicz P., *Historia Hiszpanii*, Wrocław 1998.
Mit Holocaustu, Warszawa 1998.
Mullins E., *The World Order, our secret rulers*, Staunton 1992.
Pawelec H., *Żydzi i lichwa*, w: *Spojrzenie z innej strony*, „Fakty i Myśli", t. I, z. XIII, Nowy Jork 1999.
Piper F., *Ilu ludzi zginęło w KL Auschwitz*, Oświęcim 1992.
Poradowski M. ks., *Talmud czy Biblia?*, Warszawa 1993.
Poradowski M. ks., *Dziedzictwo rewolucji francuskiej*, Warszawa 1992.
Pranajtis J. B. ks. *Chrześcijanin w Talmudzie żydowskim, czyli tajemnice nauki rabinów o chrześcijanach*, Petersburg 1892.
Ravage M. E., *A real case against the Jews*, „The Century Magazine", styczeń 1928.
Reb., *Mocarstwo podziemne*, Warszawa 1925.
Rebirth and Destiny of Israel, 1954.
Segev T., *The Seventh Million, The Israelis and the Holocaust*, Nowy Jork 1993.
Shermer M., *Ueber den Abfall eines juedischen Revisionisten*. Der Fall
David Cole: *Bekehrung oder gewaltsame Beugung?*, VffG, z. 2, czerwiec 1999.
Stadnicki J., *Mój pamięciowy obraz Oświęcimia*, „Zeszyty Historyczne", nr 128, Paryż 1999.
Św. Maksymilian Kolbe o masonerii i Żydach (wybór St. Krajski), Krzeszowice 1998.
Thorwald J., *Wielka Ucieczka*, Kraków 1995.
Trzeciak St. ks., *Program światowej polityki żydowskiej (konspiracja i dekonspiracja)*, Warszawa 1936.
Un proces politique au scanner, L' Affaire Jürgen Graf, Chalet Saint-Denis 1999.

Vidal-Naquet P., *Assassins of Memory*, Nowy Jork 1992.
Villemarest de P., *Źródła finansowe komunizmu i nazizmu, czyli w cieniu Wall Street*, Warszawa 1997.
Webster N. H., *Secret Societies and Subversive Movements*, Boswell 1924.
Wistrich R. S., *Kto był kim w III Rzeszy*, Kraków 1997.
Wyman D. S., *Pozostawieni swemu losowi, Ameryka wobec Holocaustu 1941-1945*, Warszawa 1994.
Wysocki St., *Żydzi w Trzeciej Rzeczypospolitej*, Warszawa 1997.
Zalewski D., *Katolewica czyli wyśniony „Kościół" bezbożnika*, Komorów 1998.
Ziemkiewicz R., *Bronię Ratajczaka*, „Gazeta Polska", 2. 06. 1999.

O KOMORACH GAZOWYCH I NIE TYLKO

Rewizjoniści Holocaustu, czy tylko ci „trochę wątpiący" są historyczną i społeczną rzeczywistością. Mamy prawo zgadzać się z nimi lub nie, aby jednak zająć własne stanowisko należy poznać argumenty i sposób myślenia tego wewnętrznie zróżnicowanego (światopoglądowo, ideologicznie, nacyjnie, rasowo) środowiska. Jest to przecież warunek konieczny merytorycznej dyskusji; dyskusji pozbawionej zacietrzewienia lub kończącej się na sali sądowej.

Dlatego też powodowany uczciwością historyka przytaczam wypowiedzi (również streszczenia wywodów) kilkunastu ludzi, którzy kwestionują istnienie komór gazowych w niektórych niemieckich obozach koncentracyjnych, zaprzeczają oficjalnej wersji Holocaustu lub protestują przeciwko wykorzystywaniu – ich zdaniem – tej niewątpliwej tragedii, do celów bieżącej polityki.

Zapewne rozumny człowiek zaznajomiony z oficjalnie i powszechnie przyjętą wersją wydarzeń, sam wyciągnie odpowiednie wnioski. Z korzyścią dla prawdy historycznej.

•

1. PATRICK (PAT) J. BUCHANAN (były doradca prezydentów Nixona i Reagana, publicysta, kandydat na prezydenta USA, konserwatysta). Broniąc Johna Demjaniuka, rzekomego „Iwana Groźnego" z Treblinki, Buchanan zakwestionował oficjalną wersję eksterminacji Żydów: „... silniki dieslowskie nie wytwarzają dosyć tlenku węgla aby kogokolwiek zabić. (...) W roku 1988 w dystrykcie Columbia grupa młodych ludzi licząca 97 osób została uwięziona w pociągu w podziemnym tunelu liczącym 130 metrów. Cały czas 2 lokomotywy z silnikami Diesla tłoczyły spaliny do wagonów. Po 45 minutach wszyscy zostali uwolnieni cali i zdrowi. Broń, którą Demjaniuk miał używać do popełnienia masowego mordu nie może zabijać".

•

2. JOSEF SCHÜSSLBRUNER (publicysta m. in. *Staatsbriefe*). Stwierdza, że Niemcy zabili od 1 do 1,5 mln. żydowskich zakładników, odrzuca też tezę o wyjątkowości niemieckich zbrodni na Żydach, która – według niego – ma służyć linii obrony na wypadek gdyby zaczęto analizować udział Żydów w zbrodniach komunistycznych.

•

3. Według FRANCOIS FURETA i RAYMONDA ARONA (czołowego francuskiego antykomunisty, Żyda z pochodzenia) mit komór gazowych narodził się 22 marca 1916 roku, gdy *Daily Telegraph* podał, że 700 tysięcy Serbów zostało

uduszonych przez Niemców, Austriaków i Bułgarów w kościołach i innych miejscach wypełnionych gazem (dzisiaj natomiast oskarża się Serbów – o potęgo propagandy – o wymordowanie tysięcy Albańczyków w Kosowie).

•

4. Wypowiedź jednego z niemieckich rewizjonistów: „Centrum Holocaustu jest Oświęcim. Centrum oświęcimskiego Holocaustu jest Brzezinka (to dlaczego Żydzi rzucili się na żwirowiskowe Krzyże? – DR). Centrum Holocaustu w Brzezince są krematoria II i III. Do <komór gazowych> w tych krematoriach nie można było wrzucić cyklonu B, gdyż nie było opisywanych przez świadków otworów wrzutowych w dachu. Tym samym legitymizacja Republiki Federalnej Niemiec upada (w Niemczech rewizjoniści Holocaustu są ścigani prawnie; władze niemieckie od 65 lat trudnią się represjonowaniem „politycznie niepoprawnych". To taka teutońska specyfika – DR), ponieważ nie było dziur w dachu".

•

5. HARRY ELMER BARNES (1889-1968): „Próba zbadania historii eksterminacji Żydów w rzeczowy, fachowy i rzetelny sposób jest dziś traktowana jako coś gorszącego i godnego pożałowania... Jest to z pewnością najbardziej ryzykowne przedsięwzięcie, jakiego może się podjąć historyk czy demograf".

•

6. ROBERT FAURISSON (czołowy rewizjonista francuski): „W odniesieniu do Auschwitz-Birkenau zasadniczym dowodem (na istnienie komór gazowych – DR) są pamiętniki Rudolfa Hossa, które zostały spreparowane w polskim więzieniu (...). [Hoss został aresztowany przez Anglików w roku 1946. Podczas przesłuchania bito go pejczem, wkładano latarkę do ust, pojono alkoholem i lżono. W tym stanie – a był „odpytywany" również w Norymberdze – mógł właściwie przyznać się do wszystkiego. Wydany Polakom – został powieszony w roku 1947. David Irving zauważa, że siedzący jeszcze w norymberskim więzieniu Hoss usiłował przemycić list do żony, w którym przepraszał ją i rodzinę za przyznanie się do zbrodni oświęcimskich (myślę, że chodziło o komory gazowe). Napisał również, iż zmuszono go torturami do złożenia niezgodnych z prawdą zeznań. Przechwycony przez więzienną obsługę list (nigdy nie doręczony) pozostaje w prywatnych rękach w Stanach Zjednoczonych – DR]. Egzekucja przy pomocy gazu wymaga specjalnych warunków technicznych; nie można jej porównywać z samobójstwem czy przypadkowym zatruciem. Kat i jego pomocnicy nie mogą być wystawieni na żadne niebezpieczeństwo (...). Komory amerykańskie mają postać małych, hermetycznie zamkniętych pomieszczeń. Po zakończeniu egzekucji gaz zostaje usunięty, a pomieszczenie poddane neutralizacji.

Z tego względu należy zadać pytanie: jak można było w <komorach gazowych> w Auschwitz-Birkenau do pomieszczenia o powierzchni 210 m^2 wtłoczyć 2000

osób, wrzucić tam pojemniki z pestycydem Cyklon B, a następnie wpuścić do tego pomieszczenia ekipy dla usunięcia nasyconych cyjankiem zwłok bezpośrednio po egzekucji?... (cyklon B łączy się z powierzchniami przedmiotów; jedyną szansą na jego pozbycie się jest wietrzenie pomieszczenia przez 24 godziny – DR). Jeżeli chodzi o krematoria oraz o wszystkie inne budynki i pomieszczenia obozowe istnieje obfita dokumentacja techniczna, plany i faktury dotyczące nawet najdrobniejszych szczegółów. Natomiast nie ma tam żadnej wzmianki o komorach gazowych, żadnego kontraktu na ich budowę... żadnej faktury...".

•

7. THIES CHRISTOPHERSEN (pracownik cywilny w Oświęcimiu): „Byłem w Auschwitz i mogę zapewnić, że nie było tam żadnych komór gazowych".

•

8. DAVID COLE (amerykański rewizjonista żydowskiego pochodzenia): „W mającej obalić twierdzenia rewizjonistów książce *Auschwitz: Technique Operation of the Gas Chambers*, opublikowanej przez B. Klarsfeld Foundation (fundacja żydowska – DR), Jean-Claude Pressac przyznaje, iż ponad 95% Cyklonu B stosowanego przez Niemców w obozie było używane do dezynfekcji. Tylko 5% przypisuje celom zabójczym. A twierdzenie to pochodzi od wspierającego tezę o Holocauście" (książka Pressaca została wydana by ostatecznie obalić twierdzenia rewizjonistów. Ci jednak twierdzą, nie bez podstaw, że Pressac sam mocno podważył oficjalną wersję Holocaustu, w której tak naprawdę broni już tylko Okopów Świętej Trójcy – komór gazowych – DR).

•

9. DEBORAH LIPSTADT (przeciwniczka rewizjonistów, pseudohistoryczka mająca w tym konkretnym przypadku rację): „Jest faktem, że naziści nigdy nie stosowali ciał Żydów, czy w tej materii kogokolwiek innego do produkcji mydła (...). Plotka o mydle została dokładnie zbadana po wojnie i udowodniono, że jest nieprawdziwa" (ta prawdziwa informacja amerykańskiej Żydówki nie przystaje do praktyk np. francuskiego wymiaru sprawiedliwości, który z gorliwością godną lepszej sprawy nadal karze za negowanie „ludzkiego mydła" – DR).

•

10. DAVID IRVING (wybitny historyk angielski, badacz dziejów III Rzeszy). Irving zauważa, że 11 czerwca 1945 roku Robert H. Jackson, prokurator amerykański w Procesie Norymberskim, przed swym odlotem do Europy spotkał się w nowojorskim oddziale FBI z przedstawicielami kilku silnych organizacji żydowskich. Jackson zapytał ich o rozmiary strat żydowskich podczas wojny. W odpowiedzi usłyszał od Jacoba Robinsona (który oczywiście całą zawieruchę wojenną przesiedział w USA): sześć milionów.

„Robinson wyjaśnił, że podaną liczbę uzyskał drogą ekstrapolacji. Porównał po

prostu liczbę Żydów w 1929 r. z liczbą tych, którzy wedle ogólnych ocen przeżyli obecną wojnę. Otrzymaną różnicę, stwierdził, stanowią Żydzi, którzy, jak się wydaje, zginęli albo pozostają nadal w ukryciu.

Zważywszy jednak na zamęt i tragiczne wydarzenia rozgrywające się w rozdartej wojną Europie, zarzuconej bombami i dręczonej licznymi plagami, statystycy zapewne nie uznaliby takiego porównania za punkt wyjściowy do swoich obliczeń. Jakie właściwie kategorie osób należałoby uznać za Żydów? A zmieniające się granice?

Powyższe kwestie stanowiły nadal przedmiot zażartych sporów kartografów, etnografów, fanatyków religijnych oraz polityków. Jednakże w ten oto sposób (przypominam: w scenerii nowojorskiego biura FBI – DR) weszła do obiegu historyczna liczba, sześć milionów, która odtąd swoją wiecznotrwałością przypomina szacowne ruiny Partenonu, a ogromem zaś legendarnego Kolosa Rodyjskiego.

Bolesnym, lecz i niezwykłym zbiegiem okoliczności amerykańska społeczność żydowska podniosła podobną wrzawę ćwierć wieku wcześniej, po I wojnie światowej. W 1919 roku gubernator Nowego Jorku, Martin Glynn, stwierdził, że eksterminacji uległo <sześć milionów> Żydów".

•

11. MIROSŁAW DRAGAN (wiceprezes „Polish Historical Society"), korespondencja internetowa z „Mieczem": „Kiedy w lipcu 1942 roku zaczęła szaleć epidemia tyfusu i umierało po 4 tysiące internowanych miesięcznie, Himmler się wściekł, osobiście przyjechał do Oświęcimia ten jeden raz (są z tej wizyty zdjęcia) i wyasygnował 500 tysięcy DM (chodzi oczywiście o „reichsmarki" – DR) na każde krematorium po to, by więcej epidemii nie było. W tych czasach 500 tysięcy marek to równe 250 tys. dolarów, czyli dziś około dziesięć razy więcej...

Brzezinka była zbudowana na łące powodziowej Wisły i Soły. Jak zaczęto chować w ziemi tych (których nie zdołano spalić; prawdopodobnie autorowi chodzi o 6 palenisk znajdujących się w krematorium I – DR), to zakażono wodę w studniach obozowych tyfusem i zaczął szaleć dur. Jednocześnie z budową krematoriów II, III, IV i V rozpoczęto budowę najnowocześniejszych stacji oczyszczania ścieków, co w PRL zrobiono w Łodzi (miejsce urodzin autora – DR) dopiero w latach 1958-1962, jak również stacji filtrów wody do picia. Czy te wydatki SS robiło po to, by zdrowych Żydów i narodowców wrzucać do komór gazowych, czy raczej po to, by więźniowie byli silni i zdrowi???".

•

12. MARK WEBER (wydawca *The Journal of Historical Review*): „Swego czasu przyjmowano za pewnik, że Niemcy gazowali Żydów w Dachau, Buchenwaldzie i innych obozach na terenie III Rzeszy... Obecnie żaden poważny badacz nie wesprze tych podobno dowiedzionych historii o obozach zagłady na terytorium starej Rzeszy

(...). Prominentni historycy Holocaustu twierdzą obecnie, że Żydzi masowo byli gazowani w 6 obozach na terenie Polski: Auschwitz, Majdanek, Treblinka, Sobibór, Chełmno i Bełżec. Jednakże <dowody gazowania> w tych obozach niczym nie różnią się od tych, które przedstawiono w odniesieniu do obozów w granicach przedwojennych (autorowi chodzi tu głównie o relacje świadków, którzy w różny sposób w gazowaniu ludzi mieli uczestniczyć. Okazuje się bowiem, że w Dachau i innych obozach na terenie przedwojennej Rzeszy znaleziono, wcale licznych, świadków gazowania – także wśród SS-manów. Po latach ich relacje okazały się rzeczywiście bezwartościowe, gdyż w obozach tych nikogo nie zagazowano – DR).

W Procesie Norymberskim... uznano Auschwitz (dokładnie Auschwitz-Birkenau) i Majdanek za najważniejsze obozy śmierci. Przyjęto, że w Auschwitz Niemcy uśmiercili 4 miliony ludzi, a 1,5 mln. na Majdanku. Obecnie nikt nie wymienia tych fantastycznych liczb (...).

Swego czasu zupełnie serio mówiono o eksterminacji Żydów za pomocą prądu i pary oraz sądzono, że wyrabiano z ich zwłok mydło... tego typu niestworzone historie zostały już zarzucone (...).

Jak wskazuje pewien żydowski historyk, większość przekazów ocaleńców z Holocaustu jest niewiarygodna, pełna plotek, dyletanckiego filozofowania... (chodzi o ustalenia Samuela Gringauza zamieszczone w *Jewish Social Studies*, vol. 12, Nowy Jork, styczeń 1950, s. 65 – DR).

Nie ma dokumentu wskazującego na to, że Hitler rozkazał eksterminować Żydów (...).

Główny rabin Wielkiej Brytanii Immanuel Jakobovits przyrównał współczesną kampanię holocaustyczną do <przedsiębiorstwa świadczącego korzyści pisarzom, naukowcom, reżyserom filmowym... twórcom placówek muzealnych, a nawet politykom>. Dodał również, że niektórzy rabini i teologowie są <partnerami w tym biznesie> (...).

Medialna kampania wokół Holocaustu jest niezbędna dla interesów Izraela, który zawdzięcza swe istnienie ogromnym subsydiom pochodzącym z portfela amerykańskiego podatnika (...).

Dla wielu Żydów Holocaust stał się nie tylko biznesem, ale i rodzajem nowej religii, jak zauważa pisarz i dziennikarz Jacobo Timerman w książce *The longest War*. Timerman konstatuje, że wielu Izraelczyków, używając słowa Shoah – hebrajskiego odpowiednika Holocaustu – żartuje sobie: <Shoah biznes, to jest dopiero biznes>".

•

Oczywiście to tylko niektóre opinie kręgów rewizjonistycznych, do tego ujęte w sposób maksymalnie skrótowy. Tych natomiast, którzy interesują się tematem głębiej (a indywidualne zainteresowania nie są chyba objęte w Polsce zakazem)

odsyłam do poważnych prac analitycznych, na przykład tych publikowanych przez Castle Hill Publishers, do niektórych prac Davida Irvinga (warto zresztą znać wszystkie), na łamy niskonakładowych, a więc miarodajnych, periodyków. Wreszcie do internetu – ostatniej oazy wolności słowa.

Nie czynię tego dlatego aby młodzi ludzie przesiąkli nowymi ideami. Przeciwnie; poznając argumenty adwersarzy tym łatwiej utwierdzą się w przekonaniu, że ich nauczyciele mieli rację. I będzie to trudny – ale nikt nie twierdzi, że życie jest łatwe – pouczający powrót do źródeł świętej, jednej prawdy.

JAK TRUDNO BYĆ KŁAMCĄ

Nurtuje mnie pewna wątpliwość. Otóż powszechnie wiadomo (przynajmniej tak głoszą zdobni w srebrne brody gerontowie), że rewizjoniści Holocaustu są „kłamcami" lub „zaprzeczaczami prawd oczywistych". Logicznie więc zasługują na ignorowanie, tudzież zamknięcie w małym światku chorych idei. Tymczasem dzieje się inaczej.

Rewizjoniści od kilkudziesięciu już lat „robią" za łowną zwierzynę bez okresu ochronnego. Można zasadzić się na nich z kolczastym paragrafem karnym, tropić w gimnazjach i na wyższych uczelniach, katować w ustronnych miejscach, a nawet potraktować obrzynem. Dotyczy to także tych, którzy – bynajmniej nie podzielając wrażych poglądów – starają się obiektywnie przedstawić punkt widzenia ofiary albo ośmielają się protestować przeciwko niekontrolowanym, wprawiającym jurnych egzekutorów w stan geriatrycznego podniecenia polowaniom. Cóż, jeżeli nie w łóżku (nie te lata), to przynajmniej z flintą przy ramieniu.

Mamy zatem sytuację paradoksalną: z jednej strony rewizjoniści to „oczywiści" kłamcy („powszechnie wiadomo"), a więc ludzie niegroźni (tak samo jak osobnikiem niegroźnym jest zwolennik teorii, że ojcem Karola Darwina był goryl „Magilla", a Iwana Pawłowa pies „Pluto"), z drugiej, traktuje się ich ze śmiertelną – to dobre słowo w tym miejscu – powagą. Powiem więcej: muszą być nosicielami szczególnego kłamstwa, które – jak już nadmieniłem – nie jest groźne, czyli... jest groźne. Oto paranoja właściwa elitom rządzącym współczesnym światem.

Dzisiejsi socliberalni inkwizytorzy są dla rewizjonistyczno-antyholocaustycznych adwersarzy bezwzględni. Łączą w sobie najgorsze cechy marrana Torquemady, Savonaroli i Jana Kalwina. Przekonują się o tym coraz to nowe szeregi nonkonformistów, którzy delikatnie przypominają, że przynajmniej mają prawo wątpić w prawdy podane na wypucowanej do granic nieprzyzwoitości tacy. Wiadomo: nie wszystko co się świeci jest piękne – jak mawia mój znajomy kynolog.

Otóż – nie mają takiego prawa! Nowy totalitaryzm nie znosi wahań i kontestacji (chyba, że jest to kontestacja ostatnich placówek antypoprawnej politycznie rzeczywistości). Gdy trzeba – unosi szablę sprawiedliwości i tnie przez łeb z wprawą małego rycerza ze stepowych stanic. Fizyczna przemoc lub propagandowe głędzenie właściwe kostycznym użytkownikom kleju do protez zębowych zastępują merytoryczną dyskusję. A wszystkiemu ze zgrozą przyglądają się prominentni „odważni inaczej" oraz skołowana publiczność, którą – co zrozumiałe – historyczne spory obchodzą tyle, co urodziny wuja kuzyna ciotki Tekli.

Pełne wyliczenie przykładów represji, jakim poddawani są rewizjoniści Holocaustu od 25 lat wystarczyłoby na napisanie sporych rozmiarów „Czarnej Księgi". Ten dokument hańby końca XX wieku – doprawdy „piękne" uzupełnienie praktyk komunizmu, hitleryzmu i faszyzmu – czeka na odważnego autora. Najlepiej z jakiegoś Komitetu Helsińskiego... bo – czcigodni obrońcy Żydów, Cyganów, dzieci i molestowanych seksualnie kobiet – to nie rewizjoniści biją, to oni są bici.

To nie Francois Duprat, jeden z pierwszych francuskich rewizjonistów Holocaustu, podkładał bomby. To jemu podłożono ładunek wybuchowy pod samochód. W następstwie zginął on, a jego żona została poważnie ranna.

To nie David Irving szalał z młotem w ręku po ulicach Londynu. To jemu politycznie poprawny drań wywrócił do góry nogami mieszkanie, a inny pobił w restauracji.

To nie Ernst Zündel – cokolwiek by o nim nie powiedzieć – zabawiał się w bombiarza. To jemu fachowo wysadzono w powietrze dom w Toronto.

To nie członkowie Institute for Historical Review z Kalifornii nawoływali do gwałtu. To im w roku 1984 zafundowano wybuch, ofiarą którego padł budynek Instytutu oraz magazyn książek.

To nie Robert Faurisson w towarzystwie psa pobił w parku bandę opryszków. To oni skatowali ciężkimi buciorami nobliwego profesora, deformując mu twarz.

To nie Michel Cagnet, student Sorbony i rewizjonistyczny badacz-amator, zaczaił się na żydowskie komando z butelką kwasu solnego w kieszeni. To jemu spalono twarz.

To nie rewizjoniści Holocaustu anulują uczonym uczciwie uzyskane tytuły doktorskie. To oni są ich pozbawiani (w Niemczech na podstawie prawnej wypracowanej przez... III Rzeszę!).

To nie oni wyrzucają niepokornych z wyższych uczelni i z gimnazjów. Sami są wyrzucani. To nie, to nie, to nie...

Być może za wcześnie o tym pisać. Polityczna poprawność zdaje się święcić tryumfy. Ale nadejdzie taki czas, gdy padnie z kretesem – jak wszystko, co sztuczne i głupie zarazem. Jej filary, dzisiaj z cicha podmywane, jutro runą jeden po drugim w świetle jupiterów. Życie nie może opierać się na intelektualnym zakazie mówienia, pisania, a przede wszystkim zdroworozsądkowego myślenia. I wtedy zaczniemy rozmawiać. Sine ira et studio.

FAŁSZYWI ŚWIADKOWIE

Świadkowie istnienia i funkcjonowania komór gazowych w niemieckich obozach koncentracyjnych przez dziesiątki lat korzystali ze szczególnego immunitetu, polegającego na tym, że nie poddawano ich przesłuchaniu, które określamy terminem: „krzyżowy ogień" pytań.

Wbrew temu co się powszechnie sądzi, nie było ich zresztą nigdy zbyt wielu. Powiem więcej – przekonanie o licznym zastępie „naocznych świadków" jest (lub raczej było) „pewnikiem„ z gatunku wirtualnej rzeczywistości. Byli, ponieważ musieli być...

Wraz z pojawieniem się w latach siedemdziesiątych rewizjonistów Holocaustu musiano jednak – acz niechętnie – użyć ich świadectw przeciwko twierdzeniom ludzi kwestionujących między innymi istnienie komór gazowych. Ta chwila prawdy okazała się dla świadków wydarzeniem ponurym, co postaram się przedstawić na kilku przykładach.

W roku 1981 rozpoczął się proces czołowego rewizjonisty francuskiego, Roberta Faurissona. Ciągnął się on aż do roku 1983 (apelacja) i zakończył wyrokiem skazującym, gdyż inny werdykt nie wchodził w rachubę.

Podczas tego procesu nie odważył się wprawdzie wystąpić osobiście ani jeden świadek zagłady, niemniej jednak przedstawiono pisemne świadectwo Szmula Fajnzylberga, więźnia Auschwitz, wcześniej komunisty walczącego w Brygadach Międzynarodowych w Hiszpanii.

Fajnzylberg (alias Feinsilber, St. Jankowski, Kaskowiak) utrzymywał, że pracując w auschwitzkim krematorium („Altes Krematorium" lub Krematorium I) spędzał wiele naznaczonych grozą chwil w koksowni, gdzie zamykali go wraz z kolegami z Sonderkommando SS-mani na czas gazowania więźniów. Dopiero po dokonaniu morderstwa Sonderkommando zabierało się do tragicznej czynności wyciągania i spalania zwłok.

Innymi słowy Fajnzylberg, podobnie jak inni Żydzi, nie uczestniczył w gazowaniu, ale był władny rozpoznać jego skutki! Stawał się więc... niewygodnym świadkiem morderstwa, któremu Niemcy pozwolili przeżyć. Zaiste brak zbrodniczej logiki w postępowaniu SS-manów jest porażający.

Ważniejszym jednak od zupełnie nieprzekonywującego wywodu Fajnzylberga było swoiste podsumowanie procesu Faurissona przez Simone Veil (była minister sprawiedliwości Francji i przewodnicząca Parlamentu Europejskiego), która w 2 tygodnie po zakończeniu sprawy stwierdziła, że wprawdzie brak jest dowodów, śladów, a nawet świadków istnienia i funkcjonowania komór gazowych, jednakże

łatwo to wyjaśnić, ponieważ: „Wszyscy wiedzą (sławetne: „powszechnie wiadomo" – DR), iż naziści zniszczyli komory gazowe i systematycznie eliminowali wszystkich świadków". Gdybym był złośliwy powiedziałbym: wszystkich z wyjątkiem Szmula Fajnzylberga.

Dwa lata później w Toronto odbył się pierwszy z procesów kanadyjsko-niemieckiego rewizjonisty – Ernsta Zündela.

W czasie jego trwania po raz pierwszy poddano „krzyżowemu ogniowi pytań" eksperta strony skarżącej – dr Raula Hilberga oraz świadka „numer 1" – dr Rudolfa Vrbę.

Hilberg, autor książki *The Destruction of European Jews*, dzień po dniu był miażdżony przez obronę i wyraźnie miał wszystkiego dosyć. Nie dziwi więc, że odmówił udziału w II procesie Zündela odbytym w roku 1988.

Natomiast Vrba – podobno świadek wyjątkowy, przekaz którego był jedną z podstaw słynnego *War Refugee Board Report on the German Extermination Camps – Auschwitz and Birkenau* opublikowanego w roku 1944, ponadto współautor książki *I Cannot Forgive** – skompromitował się totalnie.

Przede wszystkim przyznał, że w swojej książce uciekał się do „licencia poetarum". Na pytanie zaś prokuratora Griffitha, czy również jego świadectwo zawiera ową „licencia poetarum", próbował wprawdzie ripostować, lecz w chwilę później udzielił zupełnie nonsensownej odpowiedzi dotyczącej liczby zagazowanych ludzi. Zrezygnowany prokurator, zamierzający pierwotnie zadać kolejne pytanie, wreszcie poddał się oświadczając: „Nie mam więcej zapytań do doktora Vrby".

Kwestionowanie wiarygodności „naocznych świadków" (nie tylko funkcjonowania komór gazowych) nie jest oczywiście upowszechnianiem, czy propagowaniem tzw. kłamstwa oświęcimskiego. Przyznają to nawet zdeklarowani antyrewizjoniści w rodzaju Jean-Claude Pressaca, którzy swój spór z „zaprzeczaczami" Holocaustu przenieśli na tory dyskusji (to prawda, prowadzonej w osobliwych okolicznościach) stricte naukowej, z wykorzystaniem najnowszych osiągnięć nauk ścisłych – na przykład chemii**.

„Naocznych świadków" natomiast skrywa głęboki, coraz głębszy cień.

---

* A. Bestic, R. Vrba, *I Cannot Forgive*, Nowy Jork 1964.

** Dobrym przykładem „sporu chemicznego" jest korespondencja między rewizjonistą Germarem Rudolfem, a Instytutem im. Jana Sehna w Krakowie pomieszczona w: *Kardinalfragen zur Zeitgeschichte*, Berchem 1996, s. 86-90.

JESZCZE O NAOCZNYCH ŚWIADKACH HOLOCAUSTU

W poprzednim – jak zawsze syntetycznym – eseju przedstawiliśmy kilku „naocznych świadków" historii, których relacje – zrazu uznawane za niepodważalne – w konfrontacji z faktami okazały się bezwartościowe. Mówiąc dosłownie: były to kłamstwa.

Obecnie zajmijmy się ich kolegami, ale tym razem bez wskazania, czy zreferowane przez autora świadectwa są zgodne z historyczną prawdą, czy też nie. Gwoli przypomnienia; nie są to „tacy sobie świadkowie", lecz prominentni stronnicy oficjalnej wersji tragicznego Holocaustu – członkowie Sonderkommando, czyli więźniowie – mimowolni uczestnicy masowego gazowania ludzi w niemieckich obozach koncentracyjnych (w podwójnych kwadratowych nawiasach – zgodnie z przyjętą przeze mnie zasadą „równowagi poglądów" – podaję krótkie odpowiedzi na ich wywody historyków – rewizjonistów Holocaustu).

•

FILIP MÜLLER przez trzy lata pracował w oświęcimskim Sonderkommando. Przeżył kilkanaście akcji likwidowania jego kolegów – niewygodnych świadków gazowania (co zresztą opisał z pomocą niezłego literata w książce: *Naoczny świadek z Oświęcimia: trzy lata w komorach gazowych*). Müller opisuje, że podczas wyciągania trupów z komory gazowej pojadał sobie (czyli nie nosił maski przeciwgazowej), a ponadto zauważył, że Żydów gazowano w ubraniach, razem z walizkami. Pozostaje to, nawiasem mówiąc, w absolutnej sprzeczności z treścią *Informatora Państwowego Muzeum w Oświęcimiu* (Oświęcim 1997), gdzie na stronach 8-9 czytamy: „Są oni (więźniowie – DR) spokojni, gdyż po selekcji esesmani zapewnili wszystkich, że oczekuje ich kąpiel. Polecano im zdejmować odzież, a następnie przepędzano do drugiego podziemnego pomieszczenia imitującego łaźnię".

[[F. Müller przeżył wojnę na skutek niesamowitego zbiegu okoliczności. Przede wszystkim SS-mani nie zabili go jako świadka wstydliwie chowanego przed światem masowego gazowania ludzi, a ponadto w niespotykany sposób jego organizm uodpornił się na śmiercionośne działanie cyklonu B]].

•

SALMAN GRADOWSKI (członek oświęcimskiego Sonderkommando): piece gazowe pożerały żyjących ludzi i wyrzucały ich zimne zwłoki.

[[Kompletna bzdura – nawet w świetle badań historyków-antyrewizjonistów]].

•

MILTON BUKI (członek oświęcimskiego Sonderkommando). Buki zauważył

niebiesko-sine plamy na ciałach zagazowanych więźniów. Jak twierdzi znakomity Tomasz Gabiś (którego nie można uważać za rewizjonistę Holocaustu, a co najwyżej wnikliwego referenta poglądów historyków-nonkonformistów) „ten motyw, jak również motyw <niebieskich oparów gazu> może być wynikiem skojarzenia z niemiecką nazwą cyjanowodoru <Blausaure> (człon blau), ewentualnie z niebieskimi plamami, jakie cyjanowodór zostawia np. na ścianach po połączeniu z żelazem (tzw. Eisenblau)".

[[Oczywiście cyjanowodór jest bezbarwny. Milton Buki nie mógł widzieć sinoniebieskich plam na zagazowanych ciałach Żydów, gdyż nie należą one – może to sprawdzić najgorszy Instytut w najsłabszym europejskim Uniwersytecie – do objawów zatrucia cyjanowodorem]].

•

DOV PAISKOVIC (członek oświęcimskiego Sonderkommando) twierdził, że spalenie jednych zwłok trwało 4 minuty.

[[Pomijamy milczeniem. Techniczno-intelektualny blamaż]].

•

ARNOLD FRIEDMAN (naoczny świadek gazowania występujący w procesie kanadyjsko-niemieckiego rewizjonisty Ernsta Zündela) widział płomienie bijące z kominów oraz wyraźnie rozpoznawał po kolorze tychże, czy paleni są Żydzi polscy, czy też węgierscy.

[[Bez komentarza]].

•

Nie mnie oceniać, kto ma rację w pojedynku: naoczni świadkowie – rewizjoniści, aliści nie mogę nie wspomnieć o ciekawym spostrzeżeniu żydowskiego badacza Samuela Gringauza, który stwierdził, iż relacje ocaleńców z Holocaustu cechuje „skrajny egocentryzm" oraz grafomańska przesada.

Auschwitz-Birkenau to punkt – zapewne nie najważniejszy – w Wielkim Archipelagu Niegodziwości, jaki zafundowały nam niemiecki hitleryzm oraz – jakże często pomijany przez dzisiejszych internacjonalnych Europejczyków – sowiecki komunizm. Auschwitz jest takim samym symbolem zła jak sowieckie – nazwane i nienazwane, a nade wszystko zapomniane – obozy zagłady na terenach Eurazji. Tam nie ma „Konferencji ku Przestrodze...". Było, minęło.

I chociażby z tego względu żadna, absolutnie żadna nacja nie ma monopolu na cierpienie w tym okrutnym, neopogańskim XX wieku.

JOHN BALL: RAPORT*

John Ball jest Kanadyjczykiem mieszkającym w okolicach Vancouver. W roku 1981 otrzymał stopień naukowy odpowiadający licencjatowi w dziedzinie geologii na University of British Columbia.

Ten znawca minerałów od wielu lat zajmuje się również odczytywaniem i interpretacją zdjęć lotniczych z okresu II wojny światowej. W roku 1992 wydał książkę swojego autorstwa pt. *Air Photo Evidence* (Ball Resource Services Limited, Delta 1992), która stanowi podsumowanie jego wnikliwych badań w U.S. National Air Photo Library w Alexandrii (Wirginia) nad niemieckimi i alianckimi zdjęciami lotniczymi z lat 1939-1945**, przedstawiającymi między innymi obozy Auschwitz-Birkenau, Treblinka, Majdanek, Sobibór, Bełżec oraz miejsce masakry polskich oficerów w Lesie Katyńskim.

Spróbujmy bardzo syntetycznie zreferować wnioski do jakich doszedł Ball na podstawie analizy zdjęć lotniczych dwóch tragicznych miejsc wojny: Katynia oraz obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau***. Powiem tylko, że w drugim przypadku pozostają one w sprzeczności z oficjalnie przyjętą wersją wydarzeń****.

I. KATYŃ

Według Balla komuniści okazali się profesjonalnymi mordercami polskich oficerów, gdyż aby upewnić się, że nikt nie zobaczy egzekucji Polaków, przewozili ich w „ślepych" ciężarówkach do centrum ogrodzonego lasu i tam mordowali. Do miejsca kaźni wiodła tylko jedna wąska i wijąca się droga.

II. AUSCHWITZ-BIRKENAU (ŚWIADKOWIE KONTRA BALL)

* W ilustracyjnej części książki znajdują się szkice obozu Auschwitz-Birkenau wykonane na podstawie analizy zdjęć lotniczych przez Johna Balla.

** Niemcy byli niewątpliwie prekursorami sztuki wykonywania zdjęć lotniczych. Alianci podnieśli ją na wysoki poziom dopiero w latach II wojny światowej.

*** Katyń obejmują zdjęcia niemieckie z roku 1941, 1942 i 1943. Alianckie zdjęcia nad Auschwitz-Birkenau wykonano w różnych okresach 1944 roku, a więc wtedy, gdy – zgodnie z relacjami świadków – trwała akcja masowego uśmiercania (gazowania) ludzi.

**** Cóż, są to wnioski Balla, a nie piszącego te słowa. Młodzież natomiast zachęcam do zasięgnięcia informacji w Muzeum Oświęcimskim lub do odwiedzenia jego stron internetowych. Jestem więcej niż pewny, że wśród jego pracowników znajdują się wybitni znawcy i interpretatorzy zdjęć lotniczych.

1. OBÓZ AUSCHWITZ I

ŚWIADKOWIE twierdzą, że eksperymentalna komora gazowa była używana do czasu wybudowania większych komór w Birkenau. Później przerobiono ją na schron. Według BALLA zdjęcia lotnicze z roku 1944 ujawniają, iż budynek był mały i miał spłaszczony dach. Nie posiadał nadto komina właściwego krematoriom w Birkenau. Służył więc innym celom.

ŚWIADKOWIE: Ogrodzenia i bramy uniemożliwiały dostęp do budynku ludziom spoza obozu. BALL: Budynek znajdował się na zewnątrz obozu Auschwitz I.

ŚWIADKOWIE: Codziennie setki ludzi podążało do pomieszczenia, gdzie byli gazowani. BALL: Budynek był widoczny i osiągalny (poprzez drogę) dla ludzi mieszkających w pobliżu obozu (problem niewygodnych świadków masowych zbrodni).

ŚWIADKOWIE: Grudki gazu wkładano poprzez cztery otwory w dachu. Znajdują się one do dnia dzisiejszego obok dwóch większych otworów. BALL: Na zdjęciach lotniczych z roku 1944 widoczne są tylko dwa punkty będące 1 metrowej wysokości kominami. Cztery pozostałe musiano dodać po 21 grudnia 1944 roku.

ŚWIADKOWIE: Węgiel i drewno do palenia ciał transportowano na podwórze i układano w stosy. BALL: Budynek nie znajduje się blisko linii kolejowej, a małe podwórze nie posiadało pomieszczenia, w którym można było składować węgiel lub drewno. System dostarczania i składowania jest zatem prymitywny, niewydolny i nieefektywny.

ŚWIADKOWIE: Każdego dnia palono tysiące ciał w krematoryjnych piecach. BALL: Nie istniał efektywny system dostaw ogromnych ilości opału. Nie było nawet ułatwiającego pracę przenośnika tegoż.

ŚWIADKOWIE: Wysoki na 10 metrów komin, który istnieje do dnia dzisiejszego wydalał dym z krematorium. BALL: na zdjęciach z grudnia 1944 roku nie ma żadnego komina wieńczącego budynek lub znajdującego się obok niego. Jeżeli dzisiaj tam jest – musiał zostać wybudowany po roku 1945.

2. BIRKENAU

ŚWIADKOWIE: Krematoria w obozie znajdowały się w narożniku tegoż otoczone specjalnym systemem zabezpieczeń. BALL (cały czas w oparciu o alianckie zdjęcia lotnicze): Ta końcowa część obozu była otoczona rowem. Ludzie na drodze lub z pobliskich nieodrzewionych gospodarstw mogli oglądać krematoryjne budynki i ich podwórza (problem niewygodnych świadków). Droga wejściowa do obozu od strony krematoriów nie była zamknięta bramą.

ŚWIADKOWIE: Krematoria były ogrodzone. BALL: Ogrodzenia pojawiają się

na zdjęciach w II połowie 1944 roku*. Zdjęcia z maja 1944 pokazują niski płot lub żywopłot otaczający połowę podwórza.

ŚWIADKOWIE: Tysiącami podążali ludzie do podziemnych pomieszczeń, gdzie byli uśmiercani. BALL: W ten sposób mogli być widziani przez innych więźniów oraz ludzi z zewnątrz (problem niewygodnych świadków i szpiegów).

ŚWIADKOWIE: Drewno i węgiel układano w stosy na podwórzach. BALL: Żadnych stert węgla i drewna nie stwierdzono na 4 zdjęciach lotniczych zrobionych w roku 1944.

ŚWIADKOWIE: Czarny dym bezustannie wydobywał się z krematoryjnych kominów. BALL: Żadnego czarnego lub białego dymu nie widać na zdjęciach lotniczych z różnych okresów 1944 roku.

ŚWIADKOWIE: Latem 1944 roku bezustannie palono ciała w dołach za krematoriami. BALL: Zdjęcia z 1944 roku nie stwierdzają dymu unoszącego się ponad podwórzami. Pojawia się za to jeden dół za każdym z krematoriów – prawdopodobnie wykopany w celu usunięcia popiołu węglowego.

III. KATYŃ – BIRKENAU. PORÓWNANIE MIEJSC MORDU (według Johna Balla)

KATYŃ: 4,400 polskich oficerów zastrzelonych i pochowanych w ciągu 5 tygodni od 3 kwietnia do 11 maja 1940 roku (= 120 dziennie) w centrum lasu o obszarze 1 km kwadratowego obok wąskiej drogi. Żadnych świadków, żadnych gospodarstw rolnych w pobliżu lub domów. Morderczy profesjonalizm. Z tego względu Niemcy nie mieli powodu poszukiwać miejsc kaźni na istniejących zdjęciach lotniczych lub wykonywać nowe. Bombardowanie oczywiście nie wchodziło w rachubę.

BIRKENAU (pełny cytat wywodu Balla): „Rzekomo 1,5 miliona zagazowanych i spalonych w ciagu 2,5 lat od 1942 do 1944 = 1600 dziennie. Rzekomo w 2 dużych budynkach umiejscowionych na końcu obozu pracy przy szerokiej drodze i otoczonych czynnymi gospodarstwami rolnymi. Wielu świadków, a jako że brak ogrodzenia – na co najmniej połowie obszaru wokół krematoriów – daje to okolicznym rolnikom i szpiegom wspaniałe pole widzenia. Zdjęcia lotnicze z roku 1944 wskazują na szeroką drogę pozbawioną drzew biegnącą między krematorium 1 i 2. Fotografie lotnicze z 1944 r. nie pokazują dymu dobywającego się z kominów lub rzekomych dołów, gdzie miano palić zwłoki. Amerykanie otrzymali raporty szpiegów z okolic Auschwitz po maju 1943 r., dlatego też mieli ważne powody by uważnie studiować zdjęcia lotnicze z maja 1944 r. ukazujące Birkenau lub wykonywać nowe. Krematoria mogły być przez nich zbombardowane (nie zostały – DR)".

* Ball uważa, że mamy tu do czynienia z manipulacją (oczywistą dla fachowca) ze strony pracowników C.I.A., w gestii których zdjęcia pozostawały do końca lat siedemdziesiątych.

PORTRECIKI

Powszechnie sądzi się, że rewizjonizm Holocaustu to domena neonazistów, rasistów oraz antysemitów. Mniejsza, gdy twierdzi tak obywatel X. Gorzej, jeżeli podobne bzdury wypowiada kształtujący gusta opinii publicznej dziennikarz (najczęściej niedouczony) lub historyk (w jego wypadku chodzi zapewne o zamierzone kłamstwo – chleb powszedni dwudziestowiecznej historiografii).

Przygniatająca większość rewizjonistów nie ma żadnych związków z podobno groźnymi neonazistami; podobno, gdyż mógłbym wymienić pięćdziesiąt realniejszych zagrożeń dla współczesnego świata. Jednym z nich jest polityczna poprawność – cenzura nie mająca nic wspólnego ze zdrowym rozsądkiem.

Nie ulegając zatem modnej propagandzie, jak zawsze napuszonej i gołosłownej, podbudowując powyższą niepopularną oczywistość, szkicuję oto „lakoniczne portreciki" znaczących figur w zwalczanym z iście antykułacką zaciętością środowisku rewizjonistycznym:

•

PAUL RASSINIER – ojciec francuskich „zaprzeczaczy" Holocaustu. Ten „100% hitlerowiec" był pacyfistą i członkiem Francuskiej Partii Socjalistycznej. W roku 1943 został uwięziony przez „kolegów – niemieckich faszystów" i spędził niezapomniane miesiące w obozach koncentracyjnych Dora i Buchenwald. Po wojnie rząd francuski uhonorował go za działalność w ruchu oporu (resistance). Osobiste doświadczenia absolutnie nie przeszkadzały mu zaprzeczać oficjalnej wersji Holocaustu.

•

DAVID IRVING – niezależny historyk angielski, uznany autorytet, wybitny znawca III Rzeszy, świetny biografista (nie mogą temu zaprzeczyć nawet jego gorący – najczęściej mniej utalentowani – oponenci). Jeżeli Irving jest neonazistą, to właściwie każdy może za niego uchodzić. Nawet Andrzej Osęka, publicysta *Gazety Wyborczej**.

•

JEAN-GABRIEL COHN BENDIT i CLAUDE KARNOOUGH – francuscy Żydzi, „zdeklarowani neonaziści", tyle tylko, że jak najbardziej... lewicowcy.

•

JOSEF GINSBURG (J. G. BURG) – niemiecki Żyd, który spędził całą wojnę w Niemczech i Rumunii. „Nazistowscy kumple" więzili go w kilku obozach koncentracyjnych.

---

* Niniejszym bardzo przepraszam pana Irvinga za porównanie Go z panem A.O.

•

PROFESOR JAMES J. MARTIN i SAMUEL EDWARD KONKIN III – związani z „Institute for Historical Review", kalifornijską organizacją rewizjonistyczną. „Neonaziści" Martin i Konkin są libertarianami i antytotalistami.

•

PROFESOR ARTHUR R. BUTZ – zupełnie apolityczny naukowiec, specjalista od elektryczności i komputerów z Northwestern University (Illinois).

•

PROFESOR ROBERT FAURISSON – znawca literatury francuskiej, umiarkowany anarchista. Ależ ci „antysemici i rasiści" potrafią się kamuflować.

•

BEZALEL CHAIM – kolejny Żyd*, tyle, że z Brooklynu. Uważa, iż „mit Holocaustu" (to jego stwierdzenie – nie moje) służy m. in. usprawiedliwianiu izraelskiej, bezwzględnej (powiedzmy: neonazistowskiej) polityki względem Arabów.

•

BRADLEY R. SMITH – libertariański publicysta i pisarz. Swego czasu został skazany za sprzedawanie w swojej księgarni wyklętej w USA erotycznej powieści Henry Millera *Zwrotnik Koziorożca*. Wtedy, kilkadziesiąt lat temu, „postępowcy" ściskali mu prawicę. Dzisiaj tego nie czynią. Może dlatego, że konsekwentny wolnościowiec Smith przeszedł do obozu rewizjonistycznego, zakładając „Committee for Open Debate on the Holocaust" (CODOH). A przecież istnieją granice wolnego słowa!

•

Tacy to „neonaziści" wypełniają rewizjonistyczne, wraże i ohydne szeregi. Co godne podkreślenia, nonsensowność oskarżeń tego typu zauważają nawet ich zdeklarowani przeciwnicy w rodzaju profesora Pierre Vidal-Naquet**. Tylko – panowie żurnaliści, a może i historycy: zanim coś wybełkoczecie – wprzódy poczytajcie. Taki macie podobno zawód.

---

* Żydzi oczywiście nie dominują w ruchu rewizjonistycznym. Faurisson uważa nawet, że nie podlegają oni represjom podobnym tym, jakim poddawani są „zaprzeczacze" nie-Żydzi. Coś w tym jest...

** Vidal-Naquet, przeciwnik rewizjonistów i jeden ze zwolenników ich karania, napisał: „W kilku krajach... rewizjonizm to specjalność nie rasistów i antysemitów, lecz... grup wywodzących się z radykalnej lewicy". Profesor wymienia m. in. szwedzkiego lewicowego socjologa, Jana Myrdala, który ujął się za Faurissonem i „małą marksistowsko-libertariańską grupę" z Włoch składającą hołd Paulowi Rassinier (patrz: P. Vidal-Naquet, *Assassins of Memory*, Nowy Jork 1992, s. 90-91).

KĄSANIE TREBLINKI

Sprawa jest poważna i arcydelikatna. Dotyczy bowiem obozu koncentracyjnego w Treblince. Nie jest to „obóz jakich wiele", lecz miejsce, gdzie według naocznych świadków (czyli kilku ocaleńców) i oficjalnej historiografii zamordowano 800 tysięcy Żydów.

Ta potworna i powalająca liczba sytuuje Treblinkę na niechlubnym pierwszym miejscu na liście niemieckich (hitlerowskich) obozów zagłady. Tak przynajmniej wynika z ostatnich ustaleń sponsorowanego przez żydowską Fundację Klarsfeldów Jeana-Claude Pressaca (badacza jak najbardziej oficjalnego), który w Auschwitz-Birkenau doliczył się 600 tysięcy ofiar hitlerowskiego ludobójstwa (występni rewizjoniści mówią o około 200 tysiącach).

Według oficjalnej wersji, której integralną część stanowią wynurzenia najbardziej „prawdomównego" człowieka na naszej planecie – Ilii Erenburga – w Treblince zamordowano od lipca do września 1942 roku 360 tysięcy Żydów (czyli około 4 tysiące dziennie!). Mord odbywał się w trzech (3) betonowych komorach gazowych mierzących 5 na 5 metrów.

W tym samym roku Niemcy zaordynowali wybudowanie kolejnych dziesięciu (10) komór gazowych, co umożliwiło uśmiercenie w okresie wrzesień 1942 – maj 1943 r. dalszych 440 tysięcy więźniów, których – wzorem tragicznych poprzedników – pochowano w południowo-wschodnim zakątku obozu. Obszar pochówku – a jest to ważne – wynosił: 90 na 70 metrów.

W roku 1943 (od lutego do września) 800 tysięcy pomordowanych wydobyto z ziemi i spalono, nie troszcząc się przy okazji o to, że wysokie na dziesięć (10) metrów płomienie ognia oraz dym były widoczne z dużej odległości. Wiadomo – w wiejskim obejściu zawsze coś dymi.

Znany nam już John Ball (celowo pomijam wstępne ustalenia innego rewizjonisty – Richarda Krege z Australii, który niedawno badał poobozowe tereny w Treblince za pomocą specjalistycznego sprzętu penetrującego ziemię; pierwsze wyniki są sensacyjne, ale poczekajmy na wnikliwy raport) po analizie alianckich zdjęć lotniczych z roku 1944 ustalił między innymi, że Treblinkę otaczały w bezpośrednim sąsiedztwie zwykłe gospodarstwa rolne, z których spokojnie można było obserwować przez ponad rok morderczy proceder (problem niewygodnych świadków i szpiegów) oraz że nie ma wzruszeń ziemi tam, gdzie miały stać komory gazowe (uchylę jednak rąbka tajemnicy: 30 letni Krege potwierdził fakt braku wzruszeń warstw ziemi).

Ponadto dociekliwy Kanadyjczyk – siłą rzeczy jego wywód przedstawiam w

telegraficznym skrócie, a przede wszystkim wybiórczo – zauważył, że na obszarze 90 na 70 metrów można pochować co najwyżej 20 tysięcy ciał.

I na tym poprzestańmy.

BEŁŻECKI FANTASTA

Jan Karski (Jan Kozielewski), bohaterski kurier emigracyjnego Rządu Rzeczypospolitej, od ponad pół wieku uchodzi za „mocnego" świadka wojennej hekatomby Żydów. Jego świadectwa uznawane są bez zastrzeżeń przez wielce wpływowe Muzeum Holocaustu, Yad Vashem i tak zwanych uczciwych ludzi. Właściwie jest on rodzajem „Hexenhammer" na różnych tam rewizjonistów, którzy kopią, ryją, podgryzają oficjalną wersję wydarzeń.

Te nienawistne korniki mogą sobie dworować z różnych niedorzeczności widocznych „gołym okiem". Mogą nawet utrącać co śmieszniejsze, kiedyś uważane za niepodważalne twierdzenia. Wara im jednak od Karskiego, męża czystego i prawdomównego aż do przysłowiowego bólu.

Tymczasem proste porównanie fragmentów pewnej książki jego autorstwa z późniejszą hagiograficzną biografią pióra Stanisława Jankowskiego i E. Thomasa Wooda prowadzi do smutnych wniosków...

W roku 1943 Karski osobiście powiadomił prezydenta Franklina Delano Roosevelta i sędziego Sądu Najwyższego USA Felixa Frankfurtera o żydowskiej tragedii pod niemiecką okupacją. Krótko potem napisał książkę *The Story of a Secret State* (Boston 1944), która zawierała między innymi opis jego wizyty w obozie śmierci w Bełżcu. Ten właśnie fakt – to jest osobista infiltracja obozu zagłady – był jądrem świadectwa Karskiego i jednym z ważkich powodów jego późniejszej sławy. Zobaczył, powiedział, ostrzegł świat...

Karski był bardzo ścisły co do lokalizacji obozu, na teren którego wszedł w mundurze strażnika. W książce czytamy m. in., że w kilka dni po jego wizycie w warszawskim getcie, przywódca Bundu umożliwił mu zobaczenie obozu znajdującego się „około 100 mil na wschód od Warszawy". Miano tam bez wyjątku zabijać wszystkich więźniów, chociaż bundowiec przyznawał, że nigdy tam nie był (str. 339).

Słynny kurier przybył do Bełżca „krótko po południu" i bezpośrednio skierował się na miejsce, gdzie czekał na niego mundur estońskiego strażnika. „Był tam mały sklep spożywczy należący do Żyda" (str. 340). Obóz natomiast znajdował się około 1,5 mili od sklepu (str. 341) na „dużej, płaskiej równinie" i zajmował obszar mili kwadratowej (str. 344). Później następuje opis okropności, jakie miały tam miejsce (masowe rozstrzeliwania, złowrogie, zaplombowane samochody, gaszone wapno itd.).

Rewelacje Karskiego, umiejętnie – przyznajmy – podsycane przez speców od shoah-biznesu, gładko połknęła opinia publiczna. Jak niemal zawsze myliła się,

niepomna ostrzeżeń słanych nawet przez tak zdeklarowanego wroga rewizjonistów jak Raul Hilberg, który w wywiadzie dla *Jerusalem Post* z 28 czerwca 1986 roku stwierdził: „Nie umieściłbym go (Karskiego – DR) w przypisie mojej książki".

Hilberg w tym wypadku miał rację. Oto w roku 1994 ukazuje się biografia Karskiego pióra wspomnianych już Jankowskiego i Wooda (*Karski: How One Man Tried to Stop Holocaust*, Nowy Jork 1994), która... zaprzecza wizycie Karskiego w Bełżcu podczas wojny. Żeby było śmieszniej, autorzy zapewniają w niej na stronie XV, że ściśle współpracowali z nobliwym profesorem, który „udostępnił nam swe osobiste archiwum", cierpliwie znosił wiele dni odpytywania i „skrupulatnie recenzował rękopis". Dziwne to tym bardziej, że ich werdykt jest miażdżący: Karski nie był w Bełżcu (czyli wcześniej kłamał), a opisywał tylko prawie zupełnie nieznany „punkt rozdzielczy" (w Izbicy Lubelskiej?).

Proszę mnie dobrze zrozumieć. Moim celem nie było opisywanie warunków panujących w obozie koncentracyjnym w Bełżcu. Tę sprawę pomijam – w odróżnieniu od rzekomego infiltratora tegoż Jana Karskiego. Rzekomego, gdyż nigdy tam nie był. Jest to tak pewne, jak to, że piszący te słowa ostatecznie pogrzebał szansę na zostanie honorowym obywatelem miasta Łodzi.

DURA LEX SED LEX?

Artykuł 55. Ustawy z dnia 18 grudnia 1998 roku o Instytucie Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu karze m. in. za zaprzeczanie zbrodniom nazistowskim (bo hitlerowskie postmodernistycznej Europie przez gardło już nie przechodzą).

Jako, że nikt w naszym kraju nie zaprzecza antyludzkiej polityce III Rzeszy w okupowanej Polsce, a co najwyżej istnieją niezbyt liczne środowiska, które (mniej lub więcej) zgadzają się z tezami tzw. rewizjonistów Holocaustu (czyli uznając niemieckie zbrodnie popełnione na Żydach, zaprzeczają oficjalnej wersji wydarzeń zamykającej się w trzech kardynalnych twierdzeniach: istniały komory gazowe do masowego gazowania ludzi, zginęło 6 milionów Żydów, Hitler wydał eksterminacyjny rozkaz), jest rzeczą oczywistą, iż represje prawne skierowane są przeciwko nim.

Powiedzmy więc wprost: „zaprzeczanie zbrodniom nazistowskim" to na polskim gruncie (i nie tylko) sprzeciwianie się uświęconej wersji żydowskiego – i tylko żydowskiego – Holocaustu. Pójdźmy dalej – to negowanie istnienia złowrogo wydajnych komór gazowych na Majdanku, czy w Auschwitz-Birkenau. Bo o to i tylko o to tu chodzi. Nie sądzę bowiem aby polski sąd, bez narażenia się na ośmieszenie, mógł skazać delikwenta twierdzącego, że w wyniku wojny zginęło np. 3 miliony Żydów.

Biorąc powyższe pod uwagę, odpowiedni zapis w ustawie winien brzmieć następująco: „kto zaprzecza istnieniu komór gazowych do masowego uśmiercania Żydów w niektórych obozach koncentracyjnych na terenie Polski w latach II wojny światowej, podlega karze do lat...". Myślę, że byłoby to uczciwe postawienie sprawy.

Od pewnego czasu zastanawiam się, dlaczego polski ustawodawca ponad 50 lat po zakończeniu wojny zagroził więzieniem ludziom, których przyrodzonym prawem jest wątpienie. I to w kraju najdłużej walczącym z Adolfem Hitlerem.

Po dłuższym namyśle dochodzę do wniosku, że zadecydowały naciski strony żydowskiej. Naciski, które kilkanaście lat temu doprowadziły do podobnych uregulowań prawnych w krajach Europy Zachodniej (z chlubnym wyjątkiem Zjednoczonego Królestwa, chociaż rządzi tam wywołujący odruch wymiotny hiperpoprawny fircyk Tony Blair).

Aby nie być gołosłownym przypomnę znamienny fakt.

We Francji pomysł wprowadzenia w życie takiego prawa po raz pierwszy poddano rozwadze w roku 1986. Jego entuzjastami byli historycy pochodzenia żydowskiego (a więc na pewno koledzy wielkiego znawcy paryskiego średniowiecznego półświatka, Bronisława Geremka) – m. in. Pierre Vidal-Naquet, Georges Wellers, Francois Bedarida. Szacowne to ciało skupiło się wokół rabina Rene Samuela Sirat. Ostatecznie dopięli swego 4 lata później, a pomógł im w tym zbożnym trudzie sam Laurent Fabius.

Nie muszę dodawać, że całą akcję podbudowano „moralnie". W tym samym bowiem czasie (maj 1990) zbeszczeszczono groby na żydowskim cmentarzu w prowansalskim Carpentras, co zamknęło usta ewentualnym prawicowym oponentom. Tak to się robi...

Byłbym człowiekiem naiwnym gdybym nie widział inspiratora powyższych prawnych uregulowań we Francji (a w końcu także w Polsce) w politycznej poprawności rodem z Izraela.

Uprzejmie donoszę, że w lipcu 1981 roku izraelski parlament, Kneset, uchwalił ustawę zakazującą zaprzeczać przyjętej wersji Holocaustu. Czytamy w niej m. in.: „Głoszenie w piśmie lub słownie zaprzeczeń aktów popełnianych w okresie rządów nazistowskich, które to są zbrodniami przeciwko narodowi żydowskiemu i zbrodniami przeciwko ludzkości lub które pomniejszają ich rozmiary w intencji obrony tych, którzy byli sprawcami zbrodni albo wyrażają poparcie lub identyfikują się z nimi, jest zagrożone karą do lat pięciu". (W Polsce litościwie do lat trzech). Propozycja podniesienia kary maksymalnej do lat dziesięciu (wariantu natychmiastowej likwidacji delikwenta prawdopodobnie nie brano pod uwagę) nie została przyjęta.

I jak tu nie wierzyć w spiskową teorię dziejów!

REWIZJONIZM HOLOCAUSTU WEDŁUG ROBERTA FAURISSONA

Profesor Robert Faurisson jest jednym z czołowych rewizjonistów Holocaustu we Francji. Ten niewątpliwie odważny człowiek o zapatrywaniach anarchosocjalistycznych (czyli lewicowych) wybrał ryzykowne życie znaczone sądowymi procesami, wydaleniami z pracy i pobiciami przez politycznie poprawne kommanda. A mógł wieść sobie nobliwe życie lyońskiego uczonego – znawcy Nervala, czy Rimbaud – otoczony zeświecczoną, ateistyczną oraz do bólu „correct" elitą kraju, który dał światu tyleż dobrego, co złego – wręcz zbrodniczego.

Faurisson jest autorem wielu tekstów dotyczących Holocaustu. Niektóre z nich opublikowano na łamach polskich, co prawda niskonakładowych, periodyków. My spróbujmy syntetycznie zreferować faurissonowski sposób widzenia problemu na podstawie ostatniej pracy jego autorstwa zatytułowanej *Ecrits revisionnistes (1974-1998)*, która krąży od końca 1998 roku we Francji w formie „samizdatu".

•

MOTTO: „Rewizjonizm to metoda, a nie ideologia... Historia w swej istocie jest rewizjonistyczna. Ideologia to jej wróg".

•

Według Faurissona prawdą jest, że narodowo-socjalistyczne Niemcy zbudowały obozy koncentracyjne. Uczyniły to po – i w tym samym czasie – co spora grupa innych państw. Wszystkie oczywiście były przekonane, że akurat ich obozy będą bardziej humanitarne od dotychczasowych konwencjonalnych więzień. Hitler widział w nich to, co wcześniej Napoleon III tworzący kolonie karne: „ludzki postęp". Ale fałszywe jest przekonanie, że kiedykolwiek stworzył „obozy (celowej – DR) zagłady". Termin ten został wprowadzony do „społecznego krwioobiegu" przez zwycięskich aliantów.

•

Prawdą jest, że Niemcy produkowali samochody napędzane gazem („Gaswagen"). Fałszywe jest jednak twierdzenie, iż kiedykolwiek skonstruowali samochód uśmiercający ludzi. Gdyby przynajmniej zachował się jeden egzemplarz takiego pojazdu – zapewne eksponowano by go tryumfalnie w muzeach motoryzacyjnych lub w różnych muzeach Holocaustu.

•

Prawdą jest, że Niemcy stosowali cyklon – będący w użyciu od roku 1922 – do dezynfekcji. Nieprawdziwy jest natomiast pogląd, iż zabijali nim ludzi (autor poświęca gros swojej pracy udowodnieniu tezy, że cyklon B używany był tylko do

celów sanitarnych).

•

Prawdą jest, że Niemcy zaordynowali ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej (Endlosung der Judenfrage), ale owo rozwiązanie w swym zamierzeniu miało posiadać charakter nie morderczy, a terytorialny. Chodziło o usunięcie Żydów z niemieckiej strefy wpływów i stworzenie im narodowej siedziby na Madagaskarze lub w innym miejscu. Plany te pozostawały w zgodzie z zamierzeniami kół syjonistycznych, które nierzadko współpracowały z narodowymi socjalistami.

•

Prawdą jest, że niektóre niemieckie obozy koncentracyjne posiadały krematoria do spalania zwłok ludzi zmarłych. Ich jedynym celem było zapobieganie epidemii.

•

Prawdą jest, że bardzo wielu Żydów doświadczyło okropności wojny – internowań, obozów koncentracyjnych, deportacji, pracy ponad siły, ciężkich warunków życia w gettach. Wielu Żydów ponadto stało się ofiarami zbiorowych represji, egzekucji, masakr; niestety nie ma jednak wojen bez masakr. Ale z drugiej strony wszystkie te cierpienia były również udziałem innych narodów, czy społeczności podczas II wojny światowej. Żydzi nie mają więc monopolu na cierpienie, a ich tragedia wpisuje się w szaleństwo wojny.

•

Nie jest prawdą, że kiedykolwiek został wydany przez Hitlera, bądź jego współpracowników, rozkaz eksterminacji Żydów. Natomiast były wypadki skazywania przez niemieckie sądy wojskowe żołnierzy Wehrmachtu nawet na karę śmierci za mordowanie Żydów.

•

Szczęśliwym trafem nawet zwolennicy „wersji eksterminacyjnej" przychylają się obecnie do tezy, że „fabryki ludzkiego mydła", czy podobne bzdury, np. książki oprawne w skórę zabitych więźniów, są propagandowym kłamstwem.

•

W wyniku II wojny światowej nie zginęło 6 milionów Żydów. To wytwór fantazji ludzi pokroju rabina Michaela Dova, czy Ilii Erenburga. Nawet współcześni uczeni – wyznawcy religii Holocaustu – poddają tę liczbę w wątpliwość. Prawdą natomiast jest, że 52 lata po zakończeniu wojny państwo Izrael nadal podaje liczbę tych, którzy przetrwali na około 900 tysięcy. W chwili ukończenia wojny musiałoby więc ich być nieco ponad 3 miliony. Jeżeli zestawimy to z liczbą Żydów, którzy w roku 1939 przebywali na obszarze wkrótce zajętym przez Niemców (ok. 5 mln) i odejmiemy od tego spory procent tych, którzy legalnie (mniej lub bardziej) wyemigrowali z zagrożonej strefy w latach 1939-1941, to... Żeby jednak uczciwie ustalić żydowskie straty podczas wojny, należałoby dotrzeć do następujących źródeł: dokumentacji

zebranej przez Międzynarodowe Biuro ds. Poszukiwań w Arolsen-Waldeck (instytucja strzeżona jest zazdrośnie przez zespół 10 państw z Izraelem na czele); dokumentów będących w posiadaniu Polski i Rosji oraz nazwisk milionów Żydów, którzy otrzymywali lub ciągle otrzymują finansowe zadośćuczynienie za swoje cierpienia.

•

Tyle profesor Robert Faurisson. Wnioski pozostawiam Czytelnikom. Ja tylko streszczam jego wywody.

HITCHCOCK W BERGEN-BELSEN

Położony w pobliżu Hanoweru obóz koncentracyjny Bergen-Belsen (polskie wycieczki autokarowe niemal ocierają się o niego zdążając do banalnego „wesołego miasteczka" Heide Park w niegdyś słowiańskiej Pustaci Lüneburskiej) pierwotnie przeznaczony był dla rannych żołnierzy niemieckich. W roku 1943 założono tam obóz dla europejskich Żydów, którzy mieli być wymieniani za przetrzymywanych przez aliantów Niemców.

Wprawdzie skończyły się „dobre czasy", gdy SS wynajmowało dla dziesiątków tysięcy syjonistów statki na Bliski Wschód, Gestapo załatwiało wszelkie formalności, w Niemczech Gwiazdy Dawida dumnie powiewały nad kibucami (jeszcze w roku 1942!), Golda Meir rewizytowała w Berlinie Adolfa Eichmanna, a organ prasowy czarnego zakonu *Das Schwarze Korps* (niezgorzej, cóż począć, redagowany) z nieskrywaną sympatią odnosił się do żydowskich lewicowych nacjonalistów, niemniej jednak w II fazie działań wojennych więźniom z obozu umożliwiano wyjazdy do Szwajcarii lub – via Turcja – do Palestyny.

Aż do końca roku 1944 warunki życia w Bergen-Belsen były względnie znośne. Nieszczęście zaczęło się w momencie przemieszczania wielkich mas ludzkich z zagrożonego sowieckim szturmem wschodu Europy. To właśnie wtedy wybuchła w obozie epidemia czerwonki, cholery i tyfusu. Nie mogło być inaczej, tym bardziej, że masowe naloty anglo-amerykańskie niemal przerwały dostawy medykamentów, żywności i wody, a błąkajace się pod bombami i w ogólnym rozgardiaszu więźniarskie konwoje osiągały Bergen-Belsen po 2-3 tygodniach podróży-koszmaru. Ci którzy przeżyli tę gehennę mieli niewielkie szanse wygrać walkę z całą paletą oczekujących ich chorób. W rezultacie obóz zamienił się w piekło wypełnione odorem gnijących ciał, ludzkimi odchodami wylewającymi się z baraków i namiotów oraz żywymi trupami.

Zdawał sobie z tego sprawę komendant obozu, Josef Kramer (nazwany w roku 1945 przez prasę międzynarodową „potworem z Bergen-Belsen" i szybciutko powieszony), który 1 marca 1945 roku skierował do zwierzchnika list z prośbą o pomoc („Błagam Pana o pomoc w celu przezwyciężenia tej sytuacji). Oczywiście waląca się III Rzesza, zamieniona w skłębione koczowisko, goniąca resztką sił na frontach, nie mogła zaradzić tragicznym warunkom życia w Bergen-Belsen i w innych obozach, gdzie nawet bezlitośni strażnicy umierali na tyfus.

W zaistniałej sytuacji Heinrich Himmler (zapewne jego postępowanie dyktowane było typowym dla wszystkich „oberpolicmajstrów" wyrachowaniem) upoważnił pewnych oficerów Wehrmachtu do nawiązania kontaktu z Brytyjczykami i poinfor-

mowania ich, że zbliżają się do przeraźliwego ogniska chorób zakaźnych. W jego wyniku obie strony zawiesiły działania wojenne wokół Bergen-Belsen, a nawet podzieliły się zadaniami wynikającymi z faktu przebywania w bezpośredniej bliskości miejsca prawdziwej ludzkiej tragedii.

Niemal natychmiast po przejęciu administracji obozu przez Wyspiarzy Bergen-Belsen nawiedziły cmentarne hieny, czyli dziennikarze. Jak to oni – wszystko obfotografowali i sfilmowali. Przystąpili także do organizacji pewnych scen. Najsłynniejszą jest ta z buldożerem wpychającym ciała do wykopanego rowu. Chodziło o to, żeby przekonać przyszłych widzów, iż jest to „niemiecki buldożer". Zupełnie nie przeszkadzało im, że za jego kierownicą siedział brytyjski żołnierz (w roku 1978 ukazała się w apartheidowskim Johannesburgu książka Artura Suzmana i Denisa Diamonda pt. *Six Millions Did Die. The Truth Shall Prevail*; autorzy wykazali większą zapobiegliwość obcinając rzeczonemu wojakowi główkę wraz z jego zupełnie nieniemieckim beretem).

Ten i podobne zabiegi (wystarczy na przykład zebrać w sterty grzebienie a efekt jest niesamowity), podbudowane odpowiednim komentarzem, miały przekonać szerokiego odbiorcę, że zwały trupów w Bergen-Belsen (zresztą nie tylko tam) są wynikiem świadomych działań eksterminacyjnych SS. Autorzy filmu (filmów) zdawali się mówić: „to oni ich zabili, zamordowali, zagazowali". Nie interesował ich przy tym tak „drobny" fakt, że np. w Bergen-Belsen komór gazowych nie było (a propos komór; w marcu 1992 roku na konferencji prasowej w Sztokholmie profesor Robert Faurisson rzucił wyzwanie: „Pokażcie lub narysujcie mi hitlerowską komorę gazową". Odpowiedziało mu brzęczenie much).

Tą samą propagandową drogą chciał pójść Alfred Hitchcock (sam zresztą „szprycujący się" gazem, co akurat jego twórczości wyszło na dobre), który dostał zamówienie z brytyjskiego Home Office na zrobienie filmu na temat „tych nazistowskich okrucieństw". Mistrz zawiódł. Publiczności udostępniono tylko co bardziej wiarygodne fragmenty gniotu.

Brytyjskie pionierskie operacje propagandowe w Bergen-Belsen (powiedzmy wprost: manipulacje) wkrótce przejęli filmowcy z Hollywood. 29 listopada 1945 roku Amerykanie przedstawili swoje dzieło poświęcone wyzwoleniu obozów koncentracyjnych na Procesie Norymberskim. Wywołało ono spore poruszenie nawet wśród oskarżonych (tylko nieliczni zauważyli, że buszuje w nim nasz nieszczęsny buldożer).

W każdym razie efekt został osiągnięty i przede wszystkim utrwalony na dziesięciolecia. Dzisiaj prawda miesza się z mitem tak, jak przeciętnemu zjadaczowi chleba krematoria mylą się z komorami gazowymi. Ja – Dariusz Ratajczak – o istnieniu tych ostatnich, w przeszłości i obecnie, jestem święcie przekonany.

CZY NIEMCY TO IDIOCI?

Ostatnio doszedłem do wniosku, że Niemcy, średniej wielkości naród (w skali światowej) mieszkający na terytorium zapewne nie większym od małego państwa afrykańskiego, to – przepraszam za grube słowo – idioci. I bynajmniej nie chodzi mi o ciężki teutoński humor, ograniczający się w wersji pruskiej do wojskowej orkiestry, piwa, trocinowatej parówy i kiepskiego sznapsa... Chodzi o komory gazowe, w których dumny Herrenvolk miał uśmiercić setki tysięcy Żydów (też dumnych, bo to podobno nadal naród wybrany) – także tych, którym bliżej było do niemieckiego nacjonalizmu niż peryferyjnej (noszącej wszelkie znamiona orientalnej dziury) Ziemi Obiecanej.

No bo jak można było gazować na masową skalę w sytuacji, gdy każda para zdatnych do jakiejkolwiek pracy rąk decydowała o być, albo nie być Trzeciej Rzeszy. A przynajmniej przedłużała niemiecki opór.

Biorąc powyższe pod uwagę stwierdzamy, że „radosna twórczość" Rudolfa Hossa, komendanta Auschwitz, i jemu podobnych przybliżała zwycięski dla aliantów koniec wojny. A może wykonując wstrętny gazowy proceder ukradkiem, bez wiedzy Hitlera, doktora Goebbelsa i Himmlera – obozowe władze były ściśle powiązane z tajnymi służbami nieprzyjaciela? Albo hitlerowska „wierchuszka" składała się z zanarchizowanych, nie panujących nad podwładnymi safanduł, które po pracy wskakiwały w bambosze i słuchały BBC?

Może wreszcie (w historii niczego nie należy wykluczać) wielkoniemieccy przywódcy celowo przymykali oczy, demokratycznie promując pomysłowość i oddolne inicjatywy różnych tam obersturmbannführerów? W tym wypadku byłaby to swoista hitlerowska koncepcja człowieka wyzwolonego z dyscypliny, od upierdliwych przełożonych itd. Przyznajmy, że pachnie to głębokim (chociaż nacyjnie ograniczonym) humanizmem i wiarą w potęgę człowieka. Taka faszystowska wersja masonerii.

Dziwi tylko, że ci skończeni idioci w rodzaju Hossa, toporni faceci z Freikorpsów bez głębszego wykształcenia, posiłkując się najnowszymi zdobyczami niemieckiej techniki, stworzyli system gazowania ludzi na wielką skalę. Co więcej, z naukowego punktu widzenia wyraźnie wyprzedzili czas. Jeżeli bowiem współcześni poważni eksperci, bynajmniej nie antysemici, zachodzą w głowę w jaki sposób w latach czterdziestych było możliwe to, co nawet dzisiaj wydaje się mocno problematyczne, inne stwierdzenie byłoby przynajmniej ryzykowne.

Ja wiem, między bajki należy włożyć opowiastki o niemieckich fabrykach mydła, czy żonach esesmanów śliniących się na widok wytatuowanego więźnia. Zostawcie

jednak w spokoju, wy wątpiący, krytyczni, dociekliwi, komory gazowe. I to nie dlatego, że występujecie przeciwko uświęconej wersji Holocaustu. Zostawcie pomnik niemieckiej głupoty, matki wszelkiego występku. Przynajmniej poczujecie się jak elokwentny Hans Kloss w otoczeniu kapuścianych głąbów.

CZY NIEMCY TO IDIOCI? – II

Czy chciałbyś szybko wylądować w niemieckim więzieniu? Sprawa jest w miarę prosta. Piszesz książkę, artykuł lub tylko list, w których negujesz – bo ja wiem – religię Holocaustu, autentyczność dziennika Anny Frank albo wynurzenia świadka historii – jakiegoś egzaltowanego fryzjera (byłoby dobrze abyś tekst rozpowszechnił w internecie; również będziesz gotowy „na cacy"), następnie przyjeżdzasz do kraju Reicha-Ranickiego i Bubisa, a tam już oczekują na Cię, królu kochany, stróże prawa i penitencjarny eintopf.

Taka przygoda spotkała m. in. mojego miłego korespondencyjnego znajomego – dr Fredrica Tobena z Australii, który zajmował się Holocaustem w cyberprzestrzeni, później elegancko przyleciał do Mannheim..., a w połowie czerwca Anno Domini 1999 przysłał autorowi tych słów sympatyczny list zaczynający się od słów: „Właśnie spędzam sobie czas w mannheimskim pierdelku..."

Zwyczaj izolowania niepoprawnych cudzoziemców wszedł bardziej papieskim od papieża Niemcom w krew. Żeby było śmieszniej – w ostatnich latach dotyczy on głównie Amerykanów mających nadal słowno-wolnościowe złudzenia. Na przykład Gerharda Laucka.

Lauck, amerykański lewicowy narodowiec (jego poglądy polityczne zresztą kompletnie mnie nie interesują), został zatrzymany w Danii, a następnie przekazany przez obrzydliwie poprawnych potomków Wikingów jeszcze tchórzliwszym rodakom Waltera Modela. Ci oskarżyli go o wydawanie pisma, które miało admiratorów również w Niemczech. Domyślam się, że treść periodyku pozostawała w sprzeczności z duchem Konstytucji Republiki Federalnej. A ten jest jak najbardziej na czasie, to znaczy „tolerancyjny inaczej".

Początkowo nonkonformistę umieszczono w celi o powierzchni 9 metrów kwadratowych w najlepiej strzeżonym skrzydle hamburskiego więzienia nr VI. Tam kurtuazyjnie pewien urzędnik zapewnił go, iż żywy Niemiec nie opuści.

Później przeniesiono aresztanta do więzienia nr I (także w Hamburgu). Dyrektor tegoż, Harry Weiss, umieścił Amerykanina w 8-osobowej celi razem z nałogowymi palaczami tytoniu, narkomanami i homoseksualistami, czyli elementem „bliskim socjalnie" demolesbokracji.

Prawnik Laucka z przerażeniem obserwował pogłębiające się problemy zdrowotne swojego klienta wywołane bezsennością i „duszną atmosferą" celi, ale Weiss – należący do szczególnie chronionej grupy etnicznej – przez długi czas pozostawał głuchy na sugestie dotyczące przeniesienia człowieka cierpiącego w inne miejsce.

Lauck przesiedział w tureckim (przepraszam: niemieckim) więzieniu 4 lata (la-

ta!!!), a uwolnienie zawdzięcza pismu *Spotlight*, które jego przypadek nagłośniło w USA (*Spotlight* jest znienawidzony przez demoliberałów, w tym osobiście przez Billa Clintona, męża swojej żony. Pismo samo określa się, chyba słusznie, mianem „ostatniej prawdziwie amerykańskiej gazety" lub „głosem amerykańskiej większości"; dodajmy: uparcie milczącej).

Po powrocie do Ameryki Gerhard Lauck zorganizował akcję uświadamiającą wśród amerykańskich turystów, której celem było uzmysłowienie im, że ewentualne wakacje w Niemczech mogą zakończyć się w „kiciu". Wydał nawet z tej okazji (rozprowadzany 15 sierpnia 1999 roku na międzynarodowym lotnisku w Los Angeles) „Alarm dla Podróżnych".

Czytamy w tym tragikomicznym, uderzającym w niemiecką turystykę dokumencie: „Amerykańscy obywatele są obecnie bez ostrzeżenia aresztowani na niemieckich lotniskach! Najbardziej ryzykują dziennikarze i wydawcy, ponieważ niemieckie Ministerstwo Sprawiedliwości rości sobie pretensje do globalnej jurysdykcji (denn Heute gehort uns Deutschland und Morgen die ganze Welt? – DR), a to dlatego, iż amerykańskie publikacje oraz internet są łatwo dostępne w Niemczech. Pamiętaj jednak, że nawet niewinny list pewnego starszego wiekiem Amerykanina zaprowadził go na 5 miesięcy do niemieckiego więzienia.

Amerykańskiego historyka Richarda Landwehra sądzono in absentia w Niemczech. Jego przewinienie polegało na tym, że napisał i wydał w USA książkę poświęconą wojnie. Jeden egzemplarz tej pozycji wytropiono w Niemczech.

Amerykański wydawca Gerhard Lauck został wbrew swej woli przewieziony z Danii do Niemiec i uwięziony na 4 lata. Jego winą było publikowanie w Ameryce pisma promującego wolność słowa. Pismo to było także dostępne w Niemczech.

Amerykański emeryt, Hans Schmidt, został aresztowany na frankfurckim lotnisku, a następnie przetrzymywano go przez 5 miesięcy w więzieniu. Jedyną jego winą było napisanie i przesłanie listu z Ameryki, w którym protestował przeciwko łamaniu praw człowieka w Niemczech...

A zatem: Strzeż się więzienia! Strzeż się Niemiec!".

•

Niemiecka czujność w dziele utrwalania demokracji jest naprawdę imponująca. A jako że wszystko co „najlepsze" z Zachodu Polacy otrzymują via Bundesrepublik (na zasadzie: Niemiec trawi i wydala za Odrę), miejmy nadzieję, iż już niedługo nasi twórczy ministrowie dadzą rozkaz strzelania bez ostrzeżenia do ohydnych, rewizjonistycznych mord na Okęciu.

PAJĄK – IRVING – PIPER. SPÓR O HOLOCAUST

Osoby dramatu:

HENRYK PAJĄK, wydawca oraz autor książek, które demaskują antypolonizm wpływowych środowisk żydowskich. Dobry Polak.

DAVID IRVING, świetny historyk angielski, autor książek o II wojnie światowej. Dobry Anglik (zwolennik Old England).

FRANCISZEK PIPER, kierownik Działu Historii Obozu Państwowego Muzeum w Oświęcimiu. Narodowość dyskusyjna.

•

PAJĄK o Irvingu i rewizjonistach Holocaustu: „Spory o liczby (zabitych Żydów – DR) dały życie nurtowi tzw. rewizjonizmu Holocaustu (jak zawsze Pająk spłyca zagadnienie – DR). Na tej fali unosi się mętna piana szczególnie podejrzanego rewizjonizmu: kwestionowanie istnienia komór gazowych w niektórych hitlerowskich rzeźniach, włącznie z Auschwitz! Przoduje w tym niejaki David Irving, który włożył istny kij w mrowisko swym przemówieniem w Madrycie w dniu 18. 11. 1989 r. na konferencji poświęconej zagładzie Żydów (...).

Nieodparcie nasuwa się podejrzenie, że ktoś taki, jak David Irving jest komuś bardzo przydatny. Jego maniackie kwestionowanie istnienia komór gazowych gdziekolwiek (tym razem Pająk buja jak pijany Messerschmitt 109 – DR), stało się doskonałą pożywką dla mass-mediów i oskarżania rewizjonistów o obłędny antysemityzm".

•

PIPER o Irvingu i neonazizmie: „Irving swoich twierdzeń co do gazowania ludzi w Oświęcimiu nigdy nie uzasadnił w żadnym ze swoich opracowań (przedstawił tylko w jednej ze swoich książek sposób potraktowania przez Brytyjczyków komendanta Auschwitz – Hossa, który bity jak pies prawdopodobnie przyznałby się i do tego, że jest karaibskim zombie – DR). Chętnie natomiast epatował prasę tego typu poglądami, bo to gwarantowało mu rozgłos (...).

Zaprzeczenie gazowania ludzi w Oświęcimiu byłoby zanegowaniem tego miejsca jako obozu masowej zagłady. Obecnym środowiskom neonazistowskim bardzo na tym zależy (proszę o konkretne nazwy instytucji neonazistowskich, które ponoć są tak silne, że szachują cały świat, w tym pana Pipera. A może chodzi o folklor polityczny rodem z miasteczek byłej NRD? – DR), ponieważ póki trwa pamięć o Oświęcimiu, póty ich szanse na zdobycie popularności w społeczeństwach są niemal

równe zeru (no, może z wyjątkiem Austrii Jorga Haidera, boć tamtejsi wolnościowcy to chyba neonaziści, nieprawdaż? – DR)".

•

IRVING o rewizjonistach, komorach gazowych i dr Piperze (wyjątki z wywiadu, jaki Anglik udzielił autorowi za pośrednictwem internetu):

– Czy zaprzecza Pan istnieniu komór gazowych w Auschwitz-Birkenau?

– *Oczywiście nie było komór gazowych w Auschwitz I. Prawdopodobnie eksperymentowano na małą skalę w Birkenau. Podkreślam, że nie jestem ekspertem w tej materii i nigdy nie napisałem książki na temat Auschwitz czy Holocaustu.*

– Czy w Wielkiej Brytanii istnieje ustawa karząca za tzw. kłamstwo oświęcimskie?

– *Nie, nie ma takiej ustawy.*

– Który z rewizjonistów Holocaustu – osobiście ludzi odważnych – jest Pana zdaniem rzetelnym historykiem?

– *Samuel Crowell, Australijczyk znany jako Mills, David Thomas, John Ball – specjalista z zakresu fotografii powietrznej.*

– Jaka jest Pana opinia na temat raportów Leuchtera i Rudolfa negujących istnienie komór gazowych? Czy zna Pan dr Pipera? Co sądzi Pan o nim jako historyku?

– *Pomińmy Leuchtera. Natomiast Rudolf jest rzetelny, ma świetne przygotowanie akademickie, chociaż to człowiek o wąskiej specjalizacji naukowej. Co do Pipera. No cóż, Piper jest Żydem. Niezły, ale pozbawiony odwagi cywilnej.*

•

Powyższe słowa zasługują na krótką konkluzję.

Otóż DAVID IRVING to człowiek z klasą (jak na Anglika w mocno średnim wieku przystało).

HENRYK PAJĄK jest dobrym Polakiem i badaczem-amatorem.

FRANCISZEK PIPER to tropiciel neonazistów (neonazi hunter?) i gorący patriota Muzeum Oświęcimskiego.

JAK ADOLF IZRAEL BUDOWAŁ

Gdy Adolf Hitler doszedł do władzy w Niemczech w roku 1933, stosunki niemiecko-żydowskie (a znaczy to także: niemiecko-amerykańskie, niemiecko-angielskie) gwałtownie się pogorszyły.

Hitler bynajmniej nie krył swojego antysemityzmu. Jego celem ostatecznym było wypędzenie Żydów z Rzeszy, dlatego też maksymalnie utrudniał im codzienną egzystencję w rządzonym przez siebie państwie*.

Pomijając antyżydowskie bojkoty, wybijanie szyb w sklepach, wybiórcze fizyczne maltretowanie niewinnych ludzi (co nie zawsze było po myśli czynników oficjalnych), prawną „zachętą" do emigracji stały się rasistowskie (w rozumieniu hitlerowców – Żydzi przecież nie są osobną rasą) Ustawy Norymberskie wzorowane na ustawach obowiązujących w kilkudziesięciu stanach USA.

Z drugiej strony oliwy do ognia dolewało światowe żydostwo, postulując gospodarczą i finansową wojnę z Niemcami, organizując marsze protestacyjne, bojkoty niemieckich towarów, inspirując wreszcie zamachy na drugo i trzeciorzędne figury hitlerowskiego reżimu (zamordowanie przywódcy NSDAP w Szwajcarii – Wilhelma Gustloffa, śmiertelne ranienie sekretarza ambasady niemieckiej w Paryżu Ernsta von Ratha, którego zresztą trudno byłoby podejrzewać o zoologiczną nienawiść do Żydów; natomiast o homoseksualizm – jak najbardziej).

Godzi się przy okazji wspomnieć, że ta ryzykowna i samobójcza polityka spotykała się z protestem ze strony wielu niemieckich Żydów – hołdujących tradycyjnemu przywiązaniu (żeby nie powiedzieć: szczerej miłości) do kraju uważanego za jedyną ojczyznę. Przyznajmy, że było to trudne i tragiczne uczucie bez wzajemności**.

Stosunki niemiecko-żydowskie w latach trzydziestych XX wieku (a nawet

* Hitler już u początków swojej kariery politycznej zastanawiał się nad kwestią emigracji Żydów z Niemiec. Być może zainspirował go swymi przemyśleniami Arthur Trebitsch-Lincoln (Moses Pinkeles), 100% Żyd, z którym na początku lat dwudziestych utrzymywał bliskie kontakty (Trebitsch m. in. wyłożył pieniądze na *Voelkischer Beobachter*). To właśnie Trebitsch uzmysłowił mu albo tylko ugruntował w nim przekonanie o jedności celów nazistów i syjonistów (szerzej o Żydzie-antysemicie Trebitschu, patrz B. Hamann, *Wiedeń Hitlera, lata nauki pewnego dyktatora*, Warszawa 1999, s. 223-228).

** Uważam, ze gdyby w przedwojennej masie 3,5 miliona polskich Żydów znalazło się zaledwie 40% autentycznych polskich patriotów (czy aż tak wiele wymagam?), nie istniałby problem uzasadnionych pretensji „rdzennych" Polaków do Żydów. Tak samo, jak nie istnieje antagonizm na linii: „tubylcy" – polscy Ormianie, Tatarzy, Karaimi, wielkopolscy bambrzy itd.

później, w pierwszej fazie II wojny światowej) mają też inne oblicze, wyznaczone wspólnotą celów hitlerowców i żydowskich nacjonalistów-syjonistów. W końcu jedni i drudzy zgadzali się na uznanie Żydów za odrębny naród (czemu przysłużyły się Ustawy Norymberskie) mający aspiracje państwowe.

Najcelniej wyraził to rabin Leo Baeck*, który stwierdził, że Hitlerowi i syjonistom chodzi o to samo : dysasymilację (wyodrębnienie) Żydów. Natomiast to, czy wyjadą do Palestyny – jak chcieli syjoniści – czy w inne miejsce (hitlerowcy snuli tu różne koncepcje, czasami fantastyczne) było sprawą drugorzędną.

Jest rzeczą dowiedzioną, chociaż taktownie skrywaną, że syjonizm do roku 1938 (piąty rok władzy Hitlera!) miał się w Niemczech jak najlepiej.

Ukazywały się syjonistyczne książki (w tym sponsorowane przez NSDAP *Państwo żydowskie* Theodora Herzla – bez wątpienia biblia nacjonalistycznie i proemigracyjnie nastawionych Żydów) i czasopisma. W roku 1936 w sercu III Rzeszy, Berlinie, odbył się Kongres Syjonistyczny.

Złowrogie Schutzstaffeln (SS) z wielką gorliwością udzielały szerokiego wsparcia dla działań syjonistów. Przyszli oprawcy wizytowali Palestynę (Leopold von Mildenstein spotkał się w kibucu „Dagania" z przyszłym prezydentem Izraela – Dawidem Ben-Gurionem; innym serdecznym rozmówcą Niemców był przyszły premier tego państwa – Levi Schkolnik – alias Eszkol); hitlerowcy czarterowali i opłacali statki z żydowskimi emigrantami płynącymi do Ziemi Obiecanej (co nie podobało się zresztą Anglikom), wchodzili w kontakty z miarodajnymi politykami żydowskimi i syjonistycznymi instytucjami na Bliskim Wschodzie (SD – służba bezpieczeństwa SS – współpracowała z „Haganą", podziemną organizacją żydowsko-nacjonalistyczną w Palestynie, dostarczając jej między innymi broń; Ziemię Obiecaną wizytował również przed wojną słynny Adolf Eichmann. Rewizytowała go w Berlinie w roku 1939 Golda Meir – zapewne najgłośniejszy premier Izraela w dziejach tego państwa).

Władze niemieckie udzieliły wsparcia syjonistycznym obozom szkoleniowym i kibucom organizowanym na terenie III Rzeszy (było ich kilkadziesiąt, działały do roku 1942, powiewały nad nimi dumnie „Gwiazdy Dawida"), Gestapo służyło wszelką pomocą żydowskim emigrantom, a dzięki tak zwanemu układowi o transferze przekazano z Niemiec do Palestyny około 70 milionów dolarów, co miało wielkie znaczenie dla ekonomicznej stabilizacji żywiołu żydowskiego na tym obszarze. Przykłady tego typu kolaboracji można mnożyć...

Nie możemy potępiać syjonistów – bez wątpienia żydowskich ultrapatriotów –

* Leo Baeck, rabin, działacz społeczny, wybitny teolog. Bynajmniej nie był syjonistą. Do roku 1943 mieszkał w Niemczech, potem zesłano go do obozu koncentracyjnego w Terezinie, gdzie piastował funkcję przewodniczącego obozowej rady starszych. Zmarł 11 lat po wojnie w Londynie w wieku 83 lat.

za kontakty (owocne, bliskie, niemal koleżeńskie) z władzami hitlerowskimi. Ani za to, że w tym szczególnym czasie bardziej dbali o przyszłość niż smutną teraźniejszość istotnej części własnego narodu. Przecież to oni właśnie wygrali Izrael, a pewnie i coś więcej. Zbrodniczy natomiast hitlerowcy okazali się – jak to często w historii bywa – usłużnymi „poputczikami".

BUCHENWALD POZDRAWIA WARSZAWĘ

Nikomu, kto przeżył piekło Powstania Warszawskiego nie muszę tłumaczyć kim był Oskar Dirlewanger i jego chłopcy pacyfikujący Warszawę. Doszło do tego, że SS – Sonderbataillon („Dirlewanger") wzbudzał odrazę nawet wśród nienawykłych do ludzkich odruchów członków „czarnego zakonu" (bądźmy sprawiedliwi: i tu zdarzały się wyjątki).

Dirlewangera, człowieka okrutnego, osobiście odważnego, mającego ciągoty intelektualne, spotkał smutny koniec. W roku 1945 Francuzi zatłukli go jak psa w więzieniu (dla początkujących: Francuzi to taki obrotowy naród, który w czasie II wojny światowej w sprzyjających okolicznościach – czyli gdy wszystko na danym etapie wydawało się jasne – tłukł własnych rodaków, Żydów-cudzoziemców, zdarzało się – Anglików i Amerykanów; w końcu wczorajszych sojuszników – Niemców. Wszystko w imię „wiecznej Francji"). Biorąc jednak pod uwagę fakt, że jego podkomendni trafili do niewoli sowieckiej, mógł się uważać za szczęściarza.

A właśnie – a propos dirlewangerowych żołnierzy. Zazwyczaj podaje się, że byli to mordercy, recydywiści i podpalacze. Rzadko jednak przedstawia się ich jako ofiary takiej, a nie innej polityki III Rzeszy.

Sprowokowani ogólniejszym rewizjonizmem historycznym powiedzmy sobie wprost: ci okrutnicy i mordercy rekrutowali się również z obozów koncentracyjnych. Byli ofiarami i katami jednocześnie, co w historii nie jest w końcu takim rzadkim zjawiskiem, szczególnie w latach 1939-1945 (dobry przykład: Niemcy w roku 1939 zlikwidowali Czechosłowację, a później tysiące Czechów i Słowaków; Czesi w roku 1945 mordowali wziętych do niewoli żołnierzy Wehrmachtu i napełniali parkowe stawki trupami niemieckich mieszkańców Sudetów).

Byli wreszcie ludźmi, którzy do roku 1933 nierzadko należeli do niemieckich partii lewicowych, głównie komunistycznej. I za to właśnie trafili do KL-ów.

Niedowiarkom sądzącym, że autor postradał zmysły – uprzejmie przypominam: 7 października 1944 roku Oskar Dirlewanger wystąpił z propozycją do Heinricha Himmlera, aby straty, jakie poniósł jego batalion w Powstaniu Warszawskim uzupełnić ochotnikami, bojownikami... antyfaszystowskimi osadzonymi w obozach koncentracyjnych. Himmler, dając dowód realizmu, wyraził zgodę kilka dni później. Akcja ruszyła. Transporty szły z Buchenwaldu, Mauthausen...

I co z tego, zapytałby ktoś. Parszywe owce zdarzały i zdarzają się w każdej społeczności, nawet tej obozowej (a może szczególnie w warunkach zamkniętego, okrutnego świata drutów).

Oczywiście mają rację. Ja tylko twierdzę, że pewni osobnicy w każdych warunkach i zawsze powinni być izolowani. Zresztą niekoniecznie w obozach koncentracyjnych.

A poza tym to wstyd, aby III Rzeszy bronili komuniści przed komunistami.

OKRUCIEŃSTWA WOJNY

Każda wojna obfituje w okrucieństwa właściwe wszystkim wojującym państwom, czy blokom państw. Problem polega jednak na tym, że po ich zakończeniu strona zwycięska eksponuje przede wszystkim własną martyrologię, przypisując pokonanemu przeciwnikowi cechy właściwe diabłu. Sama natomiast przedstawia się na podobieństwo świętego Jerzego gromiącego smoka – męża czystego, szlachetnego, bez skazy.

Nie inaczej było i jest z konfliktem globalnym lat 1939-1945. Mam nieodparte wrażenie, że młodzi ludzie postrzegają tę fatalną i samobójczą dla Europy wojnę jednostronnie, według schematu: ludobójczy Niemcy (tudzież Japończycy) – dobrzy Amerykanie, Anglicy, Rosjanie, wszelkiej maści partyzanci, konspiratorzy itd.

Rzeczywistość tymczasem – jak to ona – jest dużo bardziej skomplikowana. To prawda, hitlerowcy i potomkowie samurajów popełniali masowe zbrodnie. Zostały one rozpoznane, odpowiednio ocenione (być może nie zawsze) i ukarane. Nie one będą zatem przedmiotem naszych krótkich rozważań. My skupimy się na kilku przykładach okrucieństw popełnionych przez Aliantów; potworności, które w społecznej świadomości uchodzą bądź to za wojenną konieczność bądź słuszną odpowiedź na bezeceństwa popełniane przez nieprzyjaciela. Nie muszę dodawać, że nie zostały one poddane nie tylko osądowi prawnemu, ale i moralnemu. Zwycięzcom nikt nie patrzy na ręce.

Jedną z największych potworności ostatniej wojny było bezpardonowe bombardowanie niemieckich miast, ofiarą którego padała głównie ludność cywilna. Inicjatywa tego barbarzyństwa bezsprzecznie należała do Brytyjczyków.

W roku 1942 rząd Churchilla przyjął plan postulujący zmasowane i umyślne nękanie z powietrza cywilów. Efekty nie dały na siebie długo czekać. W czasie dziesięciodniowego bestialskiego bombardowania Hamburga w roku 1943 zginęło od 60 do 100 tysięcy mieszkańców tego dumnego miasta, w tym wielu pracujących tam robotników przymusowych. Półtora roku później dywanowe naloty anglo-amerykańskie na Drezno – miasto pozbawione znaczenia militarnego – pozbawiły życia do 90 tysięcy ludzi. Oblicza się, że w wyniku tego powietrznego bandytyzmu poniosło ogółem śmierć 400 tysięcy Niemców.

Aby ukazać jego skalę, niech wolno mi będzie zastosować następujące porównanie: na jednego Brytyjczyka zabitego przez niemieckich lotników podczas wojny przypadało dziewięciu Niemców zabitych przez ich anglo-amerykańskich odpowiedników; na każdą tonę niemieckich bomb zrzuconych na Wielką Brytanię przypadało 315 ton bomb alianckich spuszczonych na głowy Niemców. Jeszcze większe dramaty stały się udziałem cywilów japońskich tępionych bronią konwe-

ncjonalną i atomową.

Po wkroczeniu na obszar Rzeszy jak najbardziej alianckie oddziały Armii Czerwonej masowo gwałciły kobiety i mordowały niewinnych ludzi*. Podobnie postępowały na Węgrzech i w Austrii.

Rosjanie z premedytacją zatapiali bezbronne niemieckie statki przewożące cywilnych uchodźców; ofiarą tego bestialstwa padło kilkanaście tysięcy kobiet i dzieci.

Podczas ucieczki 15 milionów Niemców ze wschodnich terenów Rzeszy śmierć poniosło na pewno kilkaset tysięcy ludzi. Częściowo były to ofiary mordów lub „specjalnego sowieckiego traktowania".

Podczas walk na wschodzie wielu niemieckich żołnierzy po dostaniu się do niewoli sowieckiej było natychmiast rozstrzeliwanych**, a ci którzy uniknęli szybkiej śmierci w zdecydowanej większości znalezli ją w Kraju Rad jako jeńcy wojenni. Wykończono ich nadludzką pracą i niedożywieniem. Tylko garstka powróciła do Niemiec w roku 1955.

Podczas wojny w ramach Wehrmachtu i sił pomocniczych walczyło do 1 miliona sowieckich obywateli – ochotniczo lub właściwie przymusowo. Po zakończeniu działań wojennych Brytyjczycy i Amerykanie, którym się poddali, wydali tych prawdziwych nieszczęśników Sowietom (wcześniej zapewniali ich, że ekstradycja nie wchodzi w rachubę). Ludzie ci zostali wymordowani przez NKWD i jugosłowiańskich komunistów lub zesłani na pewną śmierć do Gułagów. Dotyczyło to tak żołnierzy, jak i cywilów.

Wyzwalanie Europy Zachodniej również dalekie było od ideału. W roku 1944 na froncie włoskim operowała dywizja marokańska pod dowództwem „Wolnego Francuza", generała Juin. Siała ona śmierć i zniszczenie między Neapolem a Rzymem. Marokańczycy zgwałcili do 3 tysięcy kobiet w wieku 11-86 lat, a nawet niektórych mężczyzn. 100 kobiet zamordowano. Podobny los spotkał 800 mężczyzn próbujących je chronić. „Liberatorzy" zniszczyli nadto 81% mieszkań i zabudowań gospodarczych, ukradli 90% zwierząt hodowlanych oraz przywłaszczyli sobie wszystkie co cenniejsze kosztowności należące do cywilnych Włochów.

W tej samej Italii podczas wojny Amerykanie ściśle współdziałali z mafijnymi zbirami, przyczyniając się do restauracji ohydnej „Cosa Nostra" – organizacji powalonej przez Mussoliniego***.

* Drobny przykład. Jesienią 1944 r. żołnierze niemieccy odbili z rąk sowieckich wschodniopruską miejscowość Nemmersdorf. Zastali tam kobiety przybite żywcem gwoździami do wrót stodół, wielokrotnie zgwałcone dziewczęta, zamęczonych na śmierć starców.

** Było to zjawisko nagminne. Los taki spotkał np. wielu niemieckich żołnierzy broniących się w poznańskiej Cytadeli.

*** Wykonawcą zaleceń duce był prefekt Cesare Mori. Mafia może egzystować tylko w warunkach demokracji!

W wyzwolonych częściach Francji i Włoch szalały komunistyczne szwadrony śmierci, mordujące bez wyroku (lub po parodii procesu) każdego, kogo uważali za kolaboranta. Ciekawe, przy okazji, co sami robili w latach 1940-1941, gdy Stalin i Hitler byli sojusznikami?

Ich sowieckich kolegów natomiast instruowano by „porywali niemieckich żołnierzy, torturowali, a następnie wystawiali ich okaleczone ciała tak, aby zbrodnie te w oczach okupanta obciążały ludność miejscową"* (chodziło o spowodowanie niemieckich represji, które przyciągały do partyzanckich oddziałów mieszkańców wsi i miasteczek).

Celem tego krótkiego wywodu nie było umniejszanie licznych okrucieństw dokonywanych przez państwa Osi. Te są nie do obrony. Pragnąłem tylko uzmysłowić młodym ludziom, że sprzeciw wobec zbrodni musi obejmować ich ogół, ponieważ wszelka selekcja w tym względzie prowadzi do moralnego relatywizmu – źródła prawdziwego zła współczesnego świata.

* J.F.C. Fuller, *The Decisive Battles of the Western World*, Londyn 1956, vol. 3, s. 438

KTO WYWOŁAŁ II WOJNĘ ŚWIATOWĄ?

Odpowiedź na wyżej postawione pytanie wydaje się więcej niż oczywista: Niemcy pod przewodem agresywnego, bezwzględnego i psychopatycznego Adolfa Hitlera.

Tyle okolicznościowa propaganda. My zajmijmy się historią – tym bardziej, że od zakończenia działań wojennych mija 55 lat (wyobrazmy sobie – nawiasem mówiąc – Polskę roku 1920. Właśnie pokonaliśmy bolszewików pod Warszawą, ludzie nadal nie mogą otrząsnąć się z przerażenia, jakie wywołały działania zbrojne Wielkiej Wojny, a nasi historycy i politycy nic tylko zajmują się Powstaniem Styczniowym, od zakończenia którego mija właśnie... 55 wiosen) i należałoby wreszcie nieco chłodniej spojrzeć na samobójstwo Europy lat 1939-1945.

Historia jest powiązana z geografią. Gdy spojrzymy na mapę Europy i świata w roku 1939 (przed wybuchem wojny), stwierdzimy, że widnieją na niej cztery terytorialne, surowcowe i przemysłowe monstra: Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Związek Sowiecki, Francja oraz trzy – szczególnie na ich tle – mikrusy: Niemcy, Japonia oraz słoneczna Italia Mussoliniego. Państwa te wprawdzie wzmocniły swoją pozycję w latach trzydziestych, niemniej nie miały szans na zbudowanie interkontynentalnych imperiów rządzących światem na zasadzie wyłączności bądź tylko niekwestionowanego pierwszeństwa. Chciały też jedynie dołączyć do „koncertu" mocarstw pierwszego sortu, co w przypadku np. Niemiec nie było niczym nowym od kilkudziesięciu lat.

•

Naprawdę, ten kto utrzymuje, iż pod koniec lat trzydziestych Niemcy, Japonia i – pożal się Boże – Italia umyślnie dążyły do wybuchu ogólnoświatowego konfliktu, żyje w krainie latających niedźwiedzi lub jest wyznawcą teorii samobójczych. Podobnie jak ten, który wierzy w historyjkę, iż trzy mikrusy są winne wszelkich niegodziwości podczas wojny, a nie jest w stanie zaakceptować poglądu, że zwycięskie USA, Wielka Brytania i ZSSR w latach 1939-1945 i później prześcignęły Adolfa Hitlera w masakrach, deportacjach, systematycznym łupieniu zdobytych krajów.

Powiedzmy sobie szczerze: Katyń, Archipelag Gułag, barbarzyńskie, kowbojskie zbombardowanie Drezna, Hiroszimy, Nagasaki, mordercze wędrówki Niemców pochłaniające olbrzymie ofiary, oddanie połowy Europy w sowieckie łapy... Czy wszystkie te niegodziwości nie zasługiwały na II Trybunał Norymberski?

Podobnie jak na Proces Tokijski-bis zasługiwały Stany Zjednoczone, które spro-

wokowały wojnę na Pacyfiku (z pokorą donoszę: pod koniec listopada 1941 roku prezydent Roosevelt wysyła Japończykom ultimatum, przyjęcie którego sparaliżowało by Cesarstwo pod względem ekonomicznym. Uwagi współpracowników – „Panie Prezydencie, to oznacza wojnę" – zbywa krótkim: „Wiem, wiem". Poza tym po złamaniu japońskiego kodu Roosevelt doskonale wiedział, że przeciwnik zaatakuje Pearl Harbor na Hawajach. Nie zrobił jednak nic by np. rozproszyć okręty wojenne zgromadzone w porcie. 7 grudnia pozwolił amerykańskim marynarzom umierać w kojach. Teraz miał świetny pretekst do wywołania wojennej histerii we własnym kraju. Przy okazji – jeżeli oskarżamy Niemców o rasizm, to podobne uwagi kierujmy również pod adresem wojennej propagandy Stanów Zjednoczonych, która określała Japończyków mianem „żółtych, wściekłych małp", czyli nawet nie podludzi. A wódz III Rzeszy widział w nich honorowych... Aryjczyków).

Jeżeli więc będziemy szukać odpowiedzialnych za wybuch II wojny światowej lub ferować wyroki, nie zapominajmy i o tym, że Niemcy były przygotowane jedynie do wojny europejskiej i to zasadniczo zorientowanej na Wschód (Drang nach Osten).

Z drugiej zaś strony w wywołaniu konfliktu globalnego, w którym III Rzesza i jej sojusznicy nie mieli żadnych, absolutnie żadnych szans na zwycięstwo, czy tylko znośny remis, zainteresowani byli demoliberalni, kolaborujący od rewolucji bolszewickiej z Sowietami „krzyżowcy", wśród których nie najmniejszą rolę odgrywało zorganizowane i dobrane towarzystwo amerykańsko-europejskich elit żydowskich.

W końcu to te właśnie kręgi, po niedawnym wykończeniu zbędnych już Sowieciarzy (komuniści w roli „usłużnych durniów"!!!), rządzą niepodzielnie prawie całym światem. Do kolejnego, poprzedzonego okresem „burz i naporu" rozdania.

AMERYKAŃSKA PIĄTA KOLUMNA

Od ponad pół wieku polityka wewnętrzna i zagraniczna Stanów Zjednoczonych są w dużym stopniu podporządkowane interesom Izraela – państwa, które istnieje i rozwija się dzięki amerykańskiej pomocy wojskowej i ekonomicznej.

Faktom nie można zaprzeczyć. Amerykańscy podatnicy przekazują rocznie Izraelowi 3,5 miliarda dolarów. Oblicza się, że od roku 1948 suma ogólnej pomocy USA dla państewka mniejszego terytorialnie od Belgii, o liczbie mieszkańców porównywalnej z Chorwacją, wyniosła 150 miliardów dolarów. A mówimy tylko o pomocy oficjalnej, bez uwzględniania „datków cichych" – chociażby w postaci amerykańskiej technologii wojskowej przekazywanej izraelskim siłom zbrojnym.

W ten sposób Stany Zjednoczone odpowiedzialne są między innymi za masakry, gwałty, represje i szczególny rodzaj rasizmu – istotne komponenty izraelskiej polityki względem Palestyńczyków, Libańczyków i innych Arabów.

Podkreślają to nawet uczciwi amerykańscy Żydzi (i przede wszystkim patrioci własnego kraju), tacy jak Alfred M. Lilienthal, czy Noam Chomsky. Pierwszy z nich nie omieszkał również wspomnieć o wspieraniu przez USA propagandy Holocaustu, która sprzyja wzbudzaniu wojowniczego nacjonalizmu i ekskluzywizmu właściwego Izraelczykom i Żydom z diaspory. Nie od dzisiaj wiadomo, że odpowiednio zinterpretowana przeszłość działa na korzyść chwili bieżącej i przyszłości.

Jednym z ważnych czynników „specjalnych stosunków USA – Izrael" jest zorganizowane amerykańskie żydostwo – prawdopodobnie najbardziej agresywna i zacietrzewiona część „narodu wybranego".

Amerykańscy Żydzi, a dokładnie wściekli i prominentni syjoniści, wykorzystują każdą, absolutnie każdą okazję by móc wspomóc Izrael. Ich bliskowschodni mocodawcy nigdy zresztą specjalnie nie kryli roli, jaką im wyznaczono w Tel Avivie i Jerozolimie. Chyba dobrze ujął ją Ben Gurion, stwierdzając na 23 Kongresie Światowej Organizacji Syjonistycznej, iż zbiorowym obowiązkiem syjonistów w każdym kraju jest bezwarunkowa pomoc Izraelowi, nawet gdyby pomoc ta nie korespondowała z interesem państwa, którego Żydzi są formalnymi obywatelami*. Ten sam polityk uprzejmy był również stwierdzić: „Gdy Żyd w Ameryce, czy Południowej Afryce mówi do swoich współbraci o naszym rządzie, ma na myśli rząd Izraela"**.

Ta podwójna lojalność wielu amerykańskich Żydów (również europejskich) została dostrzeżona przez polityków i publicystów. Wskazują oni nie tylko na

---

* B. Gurion, *Task and Character of a Modern Zionist*, „Jerusalem Post", 17. 08. 1952.

** *Rebirth and Destiny of Israel*, 1954, s. 489.

moralny aspekt sprawy (Polacy powiedzieliby: „czyj chleb jesz kolego"), ale starają się ocenić stopień penetracji amerykańskich newralgicznych instytucji przez wewnętrzne lobby oraz Izrael.

A jest on głęboki, podlegają mu Kongres, Senat, Biały Dom, siły zbrojne, mass-media, uniwersytety.

Posłużmy się kilkoma cytatami i krótkimi streszczeniami wywodów kontestatorów takiego stanu rzeczy.

Senator Fullbright, przewodniczący senackiej komisji spraw zagranicznych, podsumował rezultaty swojego dochodzenia w rzeczonej sprawie w sposób następujący: „Izraelczycy kontrolują politykę Kongresu i Senatu" (wywiad dla CBS z 7 października 1973 r.). W następnych wyborach utracił miejsce w Senacie.

Paul Finley, który był kongresmanem przez 22 lata opublikował w roku 1985 książkę pt. *They Dare to Speak Out*. Zarzucił w niej proizraelskiemu lobby sprawowanie kontroli nad Kongresem, Senatem, Departamentem Stanu, Pentagonem, mass-mediami, uniwersytetami i kościołami. W tej samej pozycji przytoczył również ciekawą rozmowę, jaką w roku 1973 odbył admirał Thomas Moorer z attache wojskowym Izraela w Waszyngtonie – Mordecai Gurem, przyszłym szefem sztabu izraelskich sił zbrojnych. Panowie rozmawiali o samolotach uzbrojonych w „inteligentne" pociski „Maverick", które były przedmiotem izraelskiego pożądania. Moorer pamięta, że powiedział Gurowi: „Nie mogę panu dostarczyć tych samolotów. Mamy tylko jeden dywizjon. Zaklinaliśmy Kongres, że je potrzebujemy". Izraelczyk z rozbrajającą szczerością odparował: „Dacie nam samoloty. A co do Kongresu – zajmę się tym". W ten sposób – jak zauważył Moorer – „jeden dywizjon wyposażony w mavericksy poszedł do Izraela".

8 czerwca 1967 roku izraelskie lotnictwo bombardowało przez 70 minut amerykański okręt „Liberty", wyposażony w czułe detektory władne wybadać izraelskie zamierzenia wojskowe względem pozycji syryjskich na Wzgórzach Golan. W wyniku tego celowego ataku zginęło 34 marynarzy, a 171 zostało rannych. Poważny incydent zatuszował prezydent Lyndon Johnson, obawiając się wściekłej reakcji ze strony amerykańskiego podatnika płacącego ciężkie pieniądze na izraelskie zbrojenia*.

Rezolucja Narodów Zjednoczonych z listopada 1967 roku zażądała od Izraela ewakuacji wojsk z terenów okupowanych w wyniku krótkotrwałej wojny z arabskimi sąsiadami. Prezydent de Gaulle, jeden z niewielu polityków zachodnich nie ulegających Izraelowi, ogłosił embargo na dostawę broni do tego kraju. Amerykański Kongres postąpił podobnie, ale Johnson uległ presji wielce wpływowego oficjalnego żydowskiego lobby – „American Israeli Public Affairs Commitee" – i

* Sprawa została ujawniona przez oficera z „Liberty" – Jamesa M. Ennesa juniora w książce jego autorstwa: *Assault on the Liberty*.

dostarczył sojusznikowi samoloty „Phantom".

Każdy powojenny prezydent USA, nie tylko nad wyraz służalczy Johnson, w zasadniczych kwestiach działał pod dyktando potężnego żydowskiego lobby – tej prawdziwej politycznej, finansowej i medialnej „megaośmiornicy" (wyjątek stanowił człowiek starej daty – Eisenhower). Przypominam kilka faktów.

Prezydent Harry Truman stwierdził w obecności grupy dyplomatów (a były to czasy, gdy syjonistyczna panienka jeszcze nieśmiało drobiła po trotuarze): „Przykro mi panowie, ale muszę (pozytywnie – DR) odpowiedzieć setkom tysięcy ludzi, którzy spodziewają się sukcesu syjonizmu. Wśród moich wyborców nie ma tysięcy Arabów".

Podczas spotkania z Ben Gurionem w Astoria Waldorf Hotel w Nowym Jorku wiosną 1961 roku, John F. Kennedy (dzisiaj zresztą pomawiany o antysemityzm) przyznał, że został wybrany dzięki głosom Żydów (i dzięki ich subsydiom – dodajmy).

Prezydent Ronald Reagan wykazujący pewne niezadowolenie z proizraelskiego szarogęszenia się w Waszyngtonie, połknął gorzką pigułkę, gdy protestując przeciwko izraelskiej aneksji Wzgórz Golan musiał wysłuchać bezczelnej riposty Menachema Begina: „Czy my jesteśmy bananową republiką albo waszym wasalem?!"

Nie muszę dodawać, że każdy kto oprotestowuje tę anormalną sytuację wodzenia za nos supermocarstwa przez facetów z wypchanymi portfelami, jest oskarżany o antysemityzm, postponowany, lżony, pozbawiany politycznego znaczenia, środków egzystencji lub czegoś więcej.

Taka jest współczesna Ameryka i zamerykanizowana Europa. Lubimy ulegać modom.

CZARNI ANTYSEMICI I ŻYDOWSCY RASIŚCI

Sprawa jest arcydelikatna i „niefotogeniczna". Okazuje się bowiem, że istotna część amerykańskich Murzynów (czyli w polityczno-poprawnej nowomowie: Afroamerykanów), których „guru" jest nawrócony na islam czcigodny Louis Farrakhan, żywi uczucia antysemickie. Twierdzą oni, iż „koalicja żydowsko-murzyńska" (nazwijmy ją „Związkiem Ludów Przez Wieki Prześladowanych") jest historycznym fałszerstwem, gdyż w „Holocauście czarnych" wybitną rolę odgrywali właśnie synowie „narodu wybranego".

Czarni amerykańscy islamiści, posiłkując się zródłami wytworzonymi przez przeciwnika, uważają, że Żydzi byli autorami „mitu chamickiego", zgodnie z którym rasie czarnej przypisywano „od zawsze" rolę niewolników mających służyć białym panom (przypominam, że według biblijnej Księgi Rodzaju jeden z trzech synów Noego, Cham, był protoplastą ludów kananejskich i afrykańskich). Mit ten miał być podstawą prymitywnego myślenia plantatorów na południu Stanów Zjednoczonych, Ku-Klux-Klanu, Burów w Afryce, a także wielu chrześcijańskich grup wyznaniowych – na przykład Mormonów.

Maltretowanie czarnych przez Żydów ma także wymiar całkiem praktyczny, wynikający z zaangażowania się tych drugich w haniebny proceder handlu niewolnikami. Żeby nie być gołosłownym islamiści, powołując się na żydowskie autorytety w tej sprawie, przedstawiają następujące fakty z historii Ameryki Południowej i Środkowej:

Lee. M. Friedman, swego czasu prezes Amerykańsko-Żydowskiego Towarzystwa Historycznego, stwierdził, że w Brazylii gros handlu niewolnikami pozostawało w rękach żydowskich osadników.

Marcus Arkin napisał, iż Żydzi z holenderskiego Surinamu dysponowali „wieloma tysiącami" czarnych niewolników.

Herbert I. Bloom przyznał, że „handel niewolnikami był jednym z najważniejszych żydowskich zajęć w Surinamie oraz w innych koloniach". Opublikował przy tym pochodzącą z roku 1707 listę żydowskich kupców z wyszczególnieniem ilości nabytych przez nich niewolników.

Cecil Roth, autor 30 książek i setek artykułów poświęconych żydowskiej historii, dowodził, że niewolnicze rewolty w wielu częściach Ameryki Południowej „były głównie skierowane przeciwko (Żydom – DR), jako największym posiadaczom" ludzkiego towaru.

Wilfred Samuels przyznał: „... Żydzi (z Barbadosu – DR) robili świetne interesy

nabywając, a potem wynajmując (plantatorom – DR) negroidów...".

Na Curacao, będącym jednym z głównych rynków handlu niewolnikami, prawie każdy tamtejszy Żyd zakupił od 1 do 9 niewolników – dla siebie lub w celu odsprzedaży.

Moshe Kahan oświadczył bez ogródek, że w latach 1653-1658 „żydowscy kupcy (najczęściej przechrzczeni marranowie – DR) całkowicie zmonopolizowali hiszpański i portugalski handel (niewolnikami – DR)...".

***

Jeżeli chodzi o kolonie brytyjskie w Ameryce Północnej (przyszłe Stany Zjednoczone) faktem jest, że Żydzi w mniejszym stopniu byli tam zaangażowani w bezpośredni handel niewolnikami. Niemniej jednak pozostawali znaczącymi beneficjentami niewolniczej gospodarki. Należy bowiem pamiętać, iż biali plantatorzy za ich pośrednictwem sprzedawali swoje towary. Mogli również liczyć na żydowskie pożyczki, dostawy narzędzi, odzieży dla niewolników itd.

Nie znaczy to bynajmniej, że Żydzi nie mieli własnych niewolników. Przeciwnie, aż 75% Izraelitów na amerykańskim Południu posiadało „swoich czarnych", podczas gdy w odniesieniu do całej populacji białych procent ten wynosił 36. Może dlatego też próżno byłoby szukać Żydów w szeregach abolicjonistów (z nielicznymi wyjątkami), czemu dało wyraz Amerykańskie i Zagraniczne Towarzystwo Antyniewolnicze w swym sprawozdaniu z roku 1853. Czytamy w nim m. in.: „Żydzi ze Stanów Zjednoczonych nie zajęli stanowiska w kwestii niewolnictwa", a przecież jako przez wieki prześladowani „winni być wrogami wszelkich kast i przyjaciółmi idei wolności uniwersalnej".

***

Współcześnie natomiast czarni aktywiści zarzucają Żydom wręcz rasizm. Przypominają, że żydowscy naukowcy – Michael Levin, Vincent Sarvich i Richard Hernstein (współautor książki *Bell Curve*) – utrzymują, iż Murzyni są upośledzeni pod względem intelektualnym; Howard B. Abikoff i Rachel Klein („Long Island Medical Center" i „Columbia University") oraz Gail Wasserman z Wydziału Psychiatrii Dziecięcej zajmują się badaniami mającymi udowodnić istnienie związku między genetyką, a problemem przemocy w „czarnych" i latynoamerykańskich miejskich gettach; żydowscy dziennikarze (Jeff Greenfield, Norman Podhoretz i inni) nabijają się z czarnych gdzie tylko mogą; hollywoodcy producenci – bezsprzecznie „żydowska mafia" – produkują telewizyjne sitcomy ośmieszające Murzynów (dobrym przykładem niech będzie serial „Sugar Hill"); żydowska Liga Antydefamacyjna prowadzi działania operacyjne (z użyciem szpiegów, podsłuchu itd.) w stosunku do wielu organizacji zrzeszających ludność kolorową; amerykańscy Żydzi sprzeciwiali się wizycie Nelsona Mandeli i biskupa Desmonda Tutu w USA w roku 1990, określając ich jako antysemitów, gdy tymczasem 110 tysięcy Żydów w RPA

przez długie lata tuczyło brzuchy na systemie apartheidu; żydowski showman radiowy, Howard Stern (popularny skandalista, mitoman, wreszcie wariat) w jednej ze swoich audycji „puszczał" piosenki... Ku-Klux-Klanu, a poza tym w ciągu 10 minut 55 razy użył terminu „czarnuch" (nigger). Nie omieszkał też nazwać Murzynów „werandowymi małpami" i „podwórkowymi małpoludami". Et cetera, et cetera...

Nie mnie sądzić, czy czarni przesadzają z pretensjami pod adresem amerykańskich (i nie tylko) Żydów. Jako nierzadko zdeklarowani rasiści sami nie są bez winy. Przypominając wszelako, że ich adwersarze na przestrzeni wieków – jak to w życiu – byli nie tylko ofiarami, ale i oprawcami, zaprzeczając żydowskiemu mitowi „wyjątkowych i bezprzykładnych cierpień" obiektywnie zbliżają się do prawdy.

NIECH ŻYJE ZDROWIE (HEIL GESUNDHEIT)!

Różnego rodzaju lewicowcy-postępowcy przekonują nas, że winniśmy odrzucić używki, kompleksowo odtruć nasze organizmy, a ogólniej wziąć się za siebie i za innych.

Oczywiście każdy człowiek posiada jakiś tam rozum (postępowiec akurat ściśle ograniczony) i sam decyduje o tym, czy pije lub pali, czy też wybiera leśny jogging powiększający objętość płuc lub – w skrajnych przypadkach – kończący się rozległym zawałem mięśnia sercowego... Jego sprawa – i tyle.

Natomiast wszelka „propaganda zdrowotna" to jeden z elementów politycznej poprawności; to kształtowanie nietolerancyjnego społeczeństwa spychającego na margines palaczy (żeby było jasne – nie zwłok, a cienkiej bibułki opasującej różne gatunki tytoniu), notorycznych pochłaniaczy cholesterolu i kogo tam jeszcze. Żresz, pijesz, palisz – nie pasujesz do nas: młodych, uśmiechniętych postmasonów, wyznawców „New Age", wielbicieli jogi tantrycznej i filozofii zen.

Jesteś nikim, robalem, glistą, popaprańcem, no chyba, że skończysz z nałogami (małe ustępstwo czynimy dla młodych biznesmenów działających na kulturalnym „haju"). Dopiero wtedy zaistnieje możliwość zainstalowania ci „czipa" do główki byś gadał(a) oraz zachowywał(a) się jak agresywna tygrysica z firmy marketingowej lub jej męski odpowiednik, prywatnie członek „Rotary Club".

To truizm, ale postępowość serwowana nam przez obecnych władców świata polega na tworzeniu systemu zakazów i nakazów, które zamieniają nas w stado baranów reagujących do tego na wzór „sobak Pawłowa". Wierny jak pies – głupi jak to niewielkie, wełniste bydlę – oto wizja społeczeństwa panów spod znaku „New World Order".

Miało być jednak o zdrowiu...

Szukając antenatów szanownych współczesnych uzdrawiaczy społecznych, tych wszystkich profesorów dumnych z faktu, że już na budowie Nowej Huty rzucili palenie (byli palacze „szlugów" to wyjątkowo wredne typy – jak przystało na neofitów), sięgnąłem po wydaną niedawno książkę autorstwa profesora Uniwersytetu Pensylwania, Roberta N. Proctora, zatytułowaną *Hitlerowska wojna przeciwko rakowi.*

Poważny uczony – bynajmniej nie zwolennik socjalizmu ze swastykową twarzą – doszedł do wniosku, że hitlerowskie Niemcy wyraźnie przodowały w „reformach zdrowotnych".

Przede wszystkim to właśnie niemieccy uczeni korzystający z otwartości władz

III Rzeszy, jako pierwsi stwierdzili, że palenie papierosów wywołuje raka płuc (tak naprawdę do dnia dzisiejszego nie stwierdzono tego w 100%) i w konsekwencji wszczęli najagresywniejszą w historii kampanię antynikotynową.

To pod ich wpływem wielkoniemiecki rząd wprowadził ograniczenia dotyczące m. in. stosowania pestycydów, nawozów sztucznych, barwników spożywczych. Hitlerowcy promowali także tzw. zdrową żywność – tak, tak zwariowani wegetarianie, hare krisznowcy i miłośnicy zwierzątek – a to: chlebek pełnoziarnisty lub pieczywo z białkiem mlecznym, fasolkę sojową, konserwy rybne „nowego typu" itd. Nie zaniedbywano również profilaktyki, propagując siłami jednostek medycznych SS masowe badania rentgenowskie (wyobrażacie sobie Państwo: puk, puk do drzwi: „Guten Tag, jesteśmy z SS i serdecznie zapraszamy do szpitala!").

Nie muszę dodawać, że książka jest fascynująca. Wynika z niej jasno, iż sponsorowani przez obiektywnie postępową III Rzeszę naukowcy byli właściwymi twórcami systemu nachalnej propagandy zdrowia – ważnego składnika totalitarnej, polityczno-poprawnej ideologii.

Dlatego apeluję do zjadaczy kotletów z otrębów, wielbicieli margaryny, zdrowego razowca oraz zwolenników palenia papierosów na stosach: postawcie w Dzień Zaduszny świeczkę na symbolicznym grobie staruszki Wielkoniemieckiej Rzeszy. Niech się babcia cieszy w zaświatach.

DIABEŁ TKWI W SZCZEGÓŁACH

Film „Lista Schindlera" w reżyserii Stevena Spielberga oglądałem trzy razy. Jest to niewątpliwie obraz wstrząsający, zrobiony z maestrią właściwą człowiekowi, który dysponuje nieograniczonymi funduszami. Jako historyk muszę jednak stwierdzić, że w kilku co najmniej partiach przekłamuje on i tak dostatecznie ponurą wojenną rzeczywistość.

Dobrze – powie ktoś – to tylko film fabularny, a nie przekaz dokumentalny. To prawda, ale nie do końca. Przecież jego twórcy poprzez zastosowanie „techniki czarno-białej" i wprowadzenie innych paradokumentalnych nowinek – dają nam do zrozumienia, że nie jest to „taki sobie film", lecz dzieło prawdziwie i ściśle relacjonujące wypadki sprzed ponad pół wieku.

A stąd już tylko krok do uznania „Listy..." za prawdę objawioną, co zresztą zdają się przyznawać nauczyciele historii od Los Angeles po Ustrzyki Dolne. Nie dziwmy się przeto, że oto pewnego pięknego dnia dzisiejszy młodzian wyedukowany na Spielbergu, pisząc pracę magisterską z historii, całkiem serio umieści dzieło reżysera w przypisach. Tak było i koniec!

Nie chcę w tym miejscu szerzej opisywać kłamliwych antypolonizmów umiejętnie – przyznajmy – wplecionych w fabułę. Powiem tylko, że gdybym był polskim aktorem za żadne pieniądze nie nosiłbym za czwartym asystentem Spielberga przysłowiowej halabardy (na szczęście nie jestem przedstawicielem „jednego z najstarszych zawodów świata").

Nie napiszę również o samym Schindlerze – według Spielberga bezwzględnym kapitaliście, który pod wpływem żydowskiej niedoli oczyścił się był; podług wdowy po nim i niezależnych historyków – cwaniaku oraz agencie Abwehry. Skupię się jedynie na szczególe, analiza którego dowodzi, że „Lista..." jest tylko kolejnym filmem fabularnym o II wojnie światowej.

Czy przypominają sobie Państwo jedną z najbardziej dramatycznych scen w spielbergowskim obrazie, gdy półnagi komendant obozu koncentracyjnego Płaszów – Amon Goeth (postać historyczna, bezsprzecznie człowiek nie liczący się z ludzkim życiem, do tego malwersant pociągany do odpowiedzialności przez swych zwierzchników), po upojnie spędzonej nocy, odprężony i zrelaksowany, strzela z balkonu swojego domu do losowo wybranego więźnia? W nocy „zaliczył" dziewczynę, rano pojedynczy ludzki kosmos. Ot, banalność zła.

Powyższy przekaz, noszący pozornie wszelkie cechy prawdopodobieństwa, jest jednak „poetycką wizją". Jak ujawniają bowiem zdjęcia lotnicze z tego okresu (a są one raczej bezwzględne w demaskowaniu fałszerstw) dom komendanta Goetha był

usytuowany u podnóża wzgórza, na którym znajdował się wspomniany lagier. Tak więc już tylko z przyczyn – powiedzmy – geograficzno-terenowych, Niemiec nie mógł nikogo zabić z rzeczonego balkonu. Mógł co najwyżej w pijanym widzie celować w niebo do przelatujących ptaków lub ostrzeliwać (gdyby był kompletnym idiotą) wraże samoloty.

I na tym delikatnym, wręcz zalotnym poskrobaniu Hollywoodu poprzestańmy. Lepiej nie wywoływać wilka z lasu.

ŻYDZI W WEHRMACHCIE

Bryan Rigg, niespełna 30 letni absolwent Uniwersytetu Yale, nie skrywa swoich żydowsko-niemieckich korzeni.

Kilka lat temu dosłownie wygrzebałem z powodzi gazetowej publicystyki historycznej jego dociekania dotyczące Żydów – żołnierzy Wehrmachtu, pomieszczone w *The Daily Telegraph* (2. 12. 1996).

Według Rigga w styczniu 1944 roku Wehrmacht sporządził listę 77 żydowskich albo żydowsko-niemieckich (tzw. miszlungów) wysokiej rangi oficerów, w tym 15 generałów i 2 feldmarszałków. Wszyscy oni zostali osobiście zapewnieni przez Fuehrera III Rzeszy, że przynależą do „niemieckiej krwi". Dobrze to świadczy o realizmie Hitlera. Co więcej; Rigg uważa, iż lista ta jest niepełna i powinna być uzupełniona o następne 60 nazwisk prominentnych oficerów niemieckiej armii, którym można udowodnić żydowskie lub pół-żydowskie pochodzenie.

Wstrętne dociekania Rigga – bez wątpienia żydowskiego antysemity – pozostawiam bez komentarza. Dodam tylko, że jego rodak – Bernard Levin jest nimi wyraźnie przerażony (*Times*, 6. 12. 1996). Biedak nie może zrozumieć, dlaczego niektórzy Żydzi dobrowolnie i z pełnym przekonaniem mogli walczyć w hitlerowskim wojsku przeciwko alianckim wybawcom ich współbraci.

A jednak mogli.

NASZE „SKURCZYBYKI"

Wyobraźmy sobie następującą sytuację. Obywatel Stanów Zjednoczonych żydowskiego pochodzenia, Isaac Feingold, zostaje aresztowany w jednym z krajów muzułmańskich. Nie żeby był jakiś szczególny powód. Ot, tak dla kaprysu.

Reakcja jest natychmiastowa. Żydowskie organizacje szaleją, prezydent Clinton (niekoniecznie on – może być również republikanin) wygłasza przemówienie pełne pogróżek pod adresem władz państwa tolerującego takie bezeceństwo (wspomina nawet o Holocauście), a amerykańscy oficjele bezustannie czuwają nad bezpieczeństwem pechowego turysty.

Kilka miesięcy później, po szczęśliwym powrocie Isaaca do domu, Steven Spielberg kręci film fabularny o gehennie swojego rodaka, który zostaje nominowany do nagrody „Oscara" (ostatecznie zwycięża inny jego obraz poświęcony pionierskim Żydom – budowniczym pierwszych kibuców w Palestynie – z Debrą Winger, Winoną Ryder, Jeffem Goldblumem, Topolem oraz zwyczajowo Barbarą Streisand w rolach głównych).

A gdyby tak na odwrót...

•

W roku 1989 młody Palestyńczyk, Anwar Mohamed, opuścił okupowany przez Izrael zachodni Brzeg Jordanu. Osiedlił na Florydzie, otrzymał amerykańskie obywatelstwo. Dziewięć lat później wiedziony tęsknotą Arab postanowił spędzić trzytygodniowe wakacje w starej ojczyźnie.

Nie zapomni ich do końca życia. Aresztowano go w momencie, gdy postanowił odwiedzić siostrę mieszkającą w sąsiedniej Jordanii. Podczas przesłuchań przywiązywano nieszczęśnika do krzesła tak dokładnie, że stracił czucie w rękach. Jego głowę zdobił brudny worek, a ogólną atmosferę uprzyjemniała nieznośnie głośna muzyka rockowa. Izraelczycy zaserwowali mu nadto „ślepą", betonową celę i mocno dietetyczne jedzenie. Wiadomo – izraelska demokracja w działaniu. Nie o nią jednak chodzi, wszak nie zajmujemy się pojęciami i zjawiskami abstrakcyjnymi.

Ciekawsza jest reakcja pracowników amerykańskiego konsulatu na cierpienia było nie było – rodaka. Otóż odwiedzili go dwukrotnie w więzieniu, ale raczej nie uwierzyli w martyrologiczną wersję wydarzeń przedstawioną przez ofiarę. Jeden z nich jasno oświadczył skołowanemu Mohamedowi, iż nie może działać w sprawie oskarżeń o tortury, ponieważ „byłoby to pańskie słowo przeciwko ich (oprawców – DR) słowom".

Incydent z Anwarem Mohamedem zdenerwował nie na żarty Amerykanów arabskiego pochodzenia, którzy nie bez racji oskarżyli rodzime władze o stosowanie

„podwójnych standardów" postępowania wobec obywateli. Najcelniej rzecz ujął James Zogby, prezydent Instytutu Arabsko-Amerykańskiego w Waszyngtonie, stwierdzając bez ogródek, że gdyby coś takiego przydarzyło się amerykańskiemu Żydowi, można tylko wyobrazić sobie skalę oficjalnych protestów.

Afera ta ma jednak i pozytywny, bo edukacyjny walor. Amerykańska opinia publiczna dowiedziała się bowiem, że Izrael stosuje konwencjonalne dla Bliskiego Wschodu metody śledcze. W ten sposób po raz kolejny zakwestionowany został dziewiczy wizerunek głównego sojusznika USA w tym rejonie świata (i nie tylko w tym). Być może zmusi to w przyszłości amerykańskiego prezydenta do wypowiedzenia tych kilku szyderczych słów: „Izraelczycy? Te orientalne skurczybyki... No, ale nasze skurczybyki!".

HOLLYWOOD W KIELCACH?

Istnieją z grubsza w polskiej historiografii i publicystyce historycznej dwie wersje wydarzeń, jakie rozegrały się w Kielcach 4 lipca 1946 roku. Pierwsza, szeroko rozpropagowana przez badaczy-filosemitów – głosi, że wprawdzie pogrom kieleckich Żydów nosi wszelkie znamiona ubeckiej prowokacji, to jednak okolicznością jej sprzyjającą był wrodzony antysemityzm kielczan (szerzej Polaków), którzy spontanicznie wzięli w nim udział.

Pogląd drugi, wyrażany m. in. przez Krzysztofa Kąkolewskiego w jego świetnym (i celowo przemilczanym) *Umarłym cmentarzu*, redukuje udział społeczeństwa w mordach niemal do zera, przerzucając winę na komunistycznych oprawców – także tych o niepolskim rodowodzie. Nie ukrywam, że jest mi on bliski.

Z publicystycznego obowiązku przedstawiam oto wersję trzecią proponowaną przez „Polskie Towarzystwo Historyczne", małą, biedną jak mysz kościelna placówkę polonijną ze Stanów Zjednoczonych nie ukrywającą (ale też przesadnie nie manifestującą) sympatii do rewizjonizmu historycznego.

Poniższy, nie komentowany przeze mnie cytat, pochodzi z listu, jaki do redakcji jednej z polskich gazet w USA nadesłał w roku 1996 sekretarz PTH, Tadeusz Kierszniowski: „Nowy Prezydent Polski (Aleksander Kwaśniewski – DR) ustami ministra Rosatiego w pierwszym swoim pociągnięciu przeprosił za <brutalną rzeź Polaków> na Żydach 4 lipca 1946 roku, związaną z posądzeniem niedobitków żydowskich o mord rytualny... w Kielcach.

Kwaśniewski niedawno przyobiecał Światowemu Związkowi Żydów Polskich, że będzie brał udział w międzynarodowej pielgrzymce w celu upamiętnienia tego brutalnego mordu około 50-ciu niewinnych Żydów: mężczyzn, ciężarnych kobiet i nawet noworodków.

Wszystkim było wiadomo, że sprawa kieleckiej masakry i pogromu, ostatniego w tym stuleciu związanego z posądzeniem o mord rytualny, trąci prowokacją (...).

Po długiej i darmowej pracy dopiero w tym miesiącu (prawdopodobnie w lipcu 1996 r. – DR) udało nam się (tj. PTH – DR) odszukać dziewięć zdjęć ofiar kieleckiego pogromu. Po ich obejrzeniu zrozumieliśmy dlaczego ich nigdy nie publikowano i dlaczego one w Polsce są nadal tajemnicą państwową! Na zdjęciach widzimy żywych statystów – którzy udają martwych. Jest jeden trup w poważnym stanie rozkładu, przywieziony do kostnicy dla postrachu zagranicznych reporterów. W szpitalu zdrowi, nieporanieni pacjenci udają chorych w gipsie, który tak jak w kiepskim studio w Hollywood polano krwią albo czerwoną farbą (...). Koniecznie i to szybko musimy wydać książkę na ten temat i... wysłać 50, sto stronicowych „press

kits"..., tak jak to dawniej zrobiliśmy dla Patricka Buchanana odnośnie Karmelitanek, Katynia i Treblinki (...).

Cały kielecki pogrom to była radziecka mistyfikacja i nie było w nim żadnych śmiertelnych ofiar. Nie wolno tego nie opublikować i przyznać się do winy, której nie tylko nie popełniliśmy, ale której w ogóle nie było".

Czy wersja podana przez PTH zasługuje na wiarę? Śmiem wątpić, chociaż z drugiej strony istnieją pewne poszlaki karzące zastanowić się nad ewentualnym „drugim dnem" kieleckiej prowokacji.

Otóż w Kalifornii mieszka Dana I. Alvi, nasza rodaczka z okupacyjnym, warszawskim stażem. Pani Dana jest przewodniczącą (chairwoman) „Polish-American Public Relations Commitee" z siedzibą w Santa Monica – organizacji, która w warunkach amerykańskich prowadzi m. in. heroiczną walkę o dobre imię Polski i Polaków. Inaczej; prostuje rozsiewane głównie przez szowinistyczne koła żydowskie kłamstwa na nasz temat.

W kwietniu 1999 roku Alvi w korespondencji do dr Jean Pierre Rollina, konsula generalnego RFN w „Mieście Aniołów", obok wielu spraw związanych z ahistorycznym podejściem władz niemieckich do kwestii Holocaustu, poruszyła także sprawę wypadków kieleckich. Przedstawmy jej punkt widzenia i... spuśćmy kurtynę milczenia:

„Nie ma żadnej adnotacji na temat ludzi, którzy mieli odnieść kontuzje i trwałe uszkodzenia ciała podczas <pogromu kieleckiego>. Nie ma śladu w żadnym z polskich szpitali po ludziach, którzy mieli być leczeni z ran odniesionych w wyniku zastosowania przemocy (w Kielcach – DR) opisywanej przez żydowskich komunistów oraz w filmie Braunera (chodzi o antypolski w swej wymowie film pt. „Z piekła do piekła" autorstwa Artura Braunera, który wyświetlany był również w... niemieckim konsulacie w Los Angeles! – DR).

<Ranni>, początkowo zabrani do szpitala w Kielcach, zażądali przeniesienia do szpitali poza miastem. Jednakże nigdy nie pojawili się w nich – po prostu wyskoczyli z pociągów.

Fotografie ofiar autorstwa agentów UB są spreparowane w tak nieudolny sposób, że obalają twierdzenia Żydów o pogromie. Fotografie te wycofano jako dowód i oczywiście nigdy nie opublikowano ich w prasie (...).

Z jakichś tajemniczych przyczyn trumny podczas oficjalnego pogrzebu <ofiar> były zabite metalowymi gwoździami, co stoi w sprzeczności z żydowskimi zasadami religijnymi. Nie znaleziono nikogo, kto widziałby ciała (ofiar – DR) przed zamknięciem trumien. Liczba złożonych do ziemi trumien była większa niż liczba ofiar (rzekomych wg autorki – DR). Czynniki oficjalne nadal odmawiają badań, które ustaliłyby co pochowano w ziemi. Najwyraźniej ofiary nie posiadały krewnych, jako że nikt nie wnosił o odszkodowania".

DZIEDZICTWO POŁUDNIA

Okazuje się, że „polit-poprawność" obejmuje swym zasięgiem nie tylko – co nawet zrozumiałe – przeszłość niedawno minioną, ale i tę zdawałoby się martwą jak kłoda drzewa. Wprawdzie rewizjoniści utartych „prawd" przebrzmiałych epok nie mają sposobności bliższego zaznajomienia się z prokuratorem (to pozostawiają rewizjonistom wiadomego tematu), nie znaczy to jednak, iż nie przeżywają moralnych katuszy czytając, wysłuchując, a następnie trawiąc wywody socliberalnych kłamczuszków obwieszonych medalami chwały na podobieństwo „ruskich" generałów.

Ot, pierwszy przykład z brzegu. Amerykańska „wojna domowa" 1861-1865. Pojedynek dobrej Północy z nieludzkim Południem.

Wiadomo, stany rebelianckie to więzienie zacnych Murzynów, którzy jęczą pod jarzmem niewolnictwa głośniej niż galicyjscy chłopi. Biały pan co pewien czas jednego z nich batoży (za pośrednictwem amerykańskiego ekonoma, tępego draba rodem z równie białej hołoty-biedoty, wiecznie coś żującego w pysku), a po wypiciu kilku głębszych masowo defloruje co ładniejsze czarnulki (dlatego też współcześni „Afroamerykanie" są „Afroeuropejczykami", czyli Mulatami).

Na postępowej Północy natomiast przepojeni współczuciem abolicjoniści, XIX-wieczni przyjaciele czarnych, namawiają prezydenta Abrahama Lincolna – kiedyś zwolennika wyekspediowania Negroidów „gdzie pieprz rośnie", czyli z powrotem na kontynent przyszłości – by pomyślał o „prawach człowieka" i dał wolność żywej substancji plantacji.

Wybucha wojna, konfederaci dostają w kość, Murzyni otrzymują upragnioną wolność (i w przypływie gorących uczuć do jankesów wkrótce zalewają północnoamerykańskie miasta), a zatęchli południowcy, obskurni „red necks", kombinują z Ku-Klux-Klanem, segregacją rasową („równi i owszem ale osobno") by w końcu dać tyły w latach sześćdziesiątych i pogrążyć się w marazmie i tumiwisizmie.

Półprawdy walczą o lepsze z ordynarnymi kłamstwami...

„Wojna domowa" była w istocie wojną o uzyskanie niepodległości przez Południe. Przymiotnik „secesyjna", właściwy polskiej historiografii, całkiem dobrze opisuje rzeczywistość. Na Południu tamtejsi biali, a więc większość mieszkańców regionu, uzyskali już świadomość bycia narodem (zapewne nie był to jeszcze proces zakończony) odrębnym mentalnie i pochodzeniowo (element anglosaski) od coraz bardziej internacjonalnych mieszkańców stanów północnych.

Problem niewolnictwa na Południu (chodzi niemal wyłącznie o „Old South") wymaga też istotnego retuszu. Rzecz jasna zdecydowana większość białych w ogóle

niewolników nie posiadała. Zdarzali się natomiast nieliczni wolni Murzyni posiadający własną niewolną siłę roboczą, we wcześniejszym zaś okresie funkcjonowała instytucja „intendent servants", czyli białych niewolników (skazańców itd.).

Na małych i średnich plantacjach niewolników traktowano z reguły dobrze; często pracowali ramię w ramię z ich właścicielem albo byli nadzorowani przez czarnego „brata". Jadali nie gorzej – sądzę nawet, że obficiej – niż robotnicy na Północy. Natomiast „czarna arystokracja" (różni nadzorcy, szefowe kuchni, mamki) traktowana była nieomal jak członkowie rodziny. Właściwie tylko w wielkich posiadłościach, i to przecież nie we wszystkich, zdarzały się przypadki nieludzkiego, wręcz bydlęcego traktowania niewolnych pracowników znane z popularnych seriali telewizyjnych.

Bynajmniej nie usprawiedliwiam instytucji niewolnictwa, to moralne zło i głupota, pragnę tylko podkreślić, że było ono traktowane przez jankesów przedmiotowo. Południe tymczasem walczyło o niepodległość (rozumianą początkowo nierzadko bardzo partykularnie, bo ograniczającą się do konkretnego stanu), nie snuło imperialnych planów w stosunku do żarłocznego sąsiada z północy i ostatecznie wkrótce samo dojrzałoby do zniesienia niewolnictwa. Z powodów nie tyle etycznych, co ekonomicznych.

Porażka południowców i próby brutalnego wdeptania ich w ziemię podczas tak zwanej Rekonstrukcji, czyli okupacji wrogiego terytorium przez armię obcego państwa, musiały wywołać ruch oporu upostaciowany chociażby w słynnym Ku-Klux-Klanie, który początkowo skupiał na zasadach koleżeńskich znajomości byłych żołnierzy Konfederacji. Natomiast jego niewątpliwa w późniejszym czasie „antymurzyńskość" (historia Klanu nie jest jednorodna, to na przestrzeni dziesiątków lat ta sama nazwa, podobna, paramasońska symbolika i odmienne struktury organizacyjne) wynikała po części z prowokacyjnej polityki zwycięzców, którzy z mściwą satysfakcją wypełniali czarnymi analfabetami lokalne szczeble administracji. Nie usprawiedliwia to oczywiście podpaleń i morderstw ze strony jegomościów w białych szatach.

Dzisiaj amerykańskie Południe jest polem walki – w zasadzie pokojowej – między ofensywnymi socliberałami sprzymierzonymi z czarnymi rasistami (czarny rasizm jest O.K.), a budzącymi się z letargu potomkami konfederatów.

Jej przedmiotem stały się drogie „białym sercom" symbole przeszłości, traktowane przez lewicowych oszołomów jako rasistowskie śmieci. Szczególnie dotyczy to konfederackiej świętości – flagi wojennej, czyli „Krzyża Południa".

Czarni, skupieni na przykład w Narodowym Stowarzyszeniu dla Wspierania Ludności Kolorowej (NAACP) twierdzą, że jest ona wyrazem nietolerancji, rasizmu, terroryzmu, niewolnictwa i czego tam jeszcze. Biali natomiast przytomnie zauważają, że przybijające do brzegów Ameryki statki z niewolnikami nie były

zwieńczone „Krzyżem", lecz brytyjskim „Union Jack" lub jankeskim „Stars and Stripes". Może zatem te flagi winny być zakazane?! A ponadto podczas wojny secesyjnej walczyło pod nim 90 tysięcy... Murzynów (i całkiem sporo Indian), co uprzejmie przypomniał swoim czarnym braciom niejaki Nelson Winbush – potomek czarnych konfederatów. Ten starszawy, rozsądny człowiek z Florydy powiedział, że w wojnie secesyjnej nie chodziło o niewolnictwo czy rasizm, lecz o prawa stanowe i bandyckie taryfy celne narzucane Południu przez jankeskich bankierów i spekulantów. Nie omieszkał również zmieszać z błotem północnoamerykańskich żołnierzy palących domy i gwałcących czarne kobiety.

Ogólnie sprawy idą jednak w wiadomym kierunku. Konfederackie flagi nie powiewają nad kwaterą główną (obecnie zamienioną w muzeum) słynnego generała „Stonewall" Jacksona w północnej Wirginii. Podobnie w Appomattox Court House, gdzie zakończono działania wojenne. W Południowej Karolinie, mateczniku konfederatów, ściślej w historycznym Charleston, czynione są wysiłki, wsparte przez takich czarnych luminarzy jak Martin Luther King III, by flagę południowców „wyprowadzić" ze szczytu tamtejszej stanowej budowli lub ewentualnie dodać jej w charakterze politycznie poprawnej opiekunki tzw. czarną flagę wyzwoleńczą.

A jeżeli dodamy do tego jeszcze metodyczne usuwanie z miejsc publicznych Alabamy, Georgii, Południowej Karoliny czy Luizjany śladów po wybitnych południowcach (ostatnio, w lipcu 1999 roku los ten spotkał głównodowodzącego wojsk Konfederacji, generała Roberta E. Lee, którego portret w mundurze „rebelianckim" zdjęto w muzeum w Richmond na żądanie czarnych rasistów) i zastępowanie ich jakimiś podejrzanymi indywiduami, to stwierdzenie stanu niejakiej degrengolady wśród podobno hardych „czerwonych karków", potomków dzielnego przecież „Dixie", nie będzie dalekie od prawdy.

Żeby nie być posądzonym o pesymizm powiem, że nie wszyscy upadają na duchu. Zapewne nie jest to początek inwazji konfederatów na Waszyngton a przydałoby się pogonić tamtejszych cwaniaków, homosiów i feminazistki – odnotujmy jednak, że w roku 1999 ukonstytuowała się „Partia Południa", która zapowiada nieustępliwą walkę o ochronę dziedzictwa „megaregionu".

Waszyngton wzgardliwie podśmiewuje się z tej inicjatywy, ale lider partii, Ron Holland, jak na potomka zawadiackich podkomendnych generała Lee przystało, przestrzega: „Wkrótce nie będzie im do śmiechu. Południe powstanie".

O CYWILIZACJACH

Twórcą oryginalnej koncepcji historiozoficznej, wedle której bieg dziejów determinowany jest przez ścieranie się (walkę) czterech podstawowych cywilizacji, był Polak – profesor Feliks Koneczny.

Koneczny urodził się w Krakowie w roku 1862. Podobnie jak u wielu wybitnych Galicjan płynęła w jego żyłach również krew czeska (dokładnie morawska). Przez długie lata związany był z Uniwersytetem Jagiellońskim, ostatecznie jednak objął samodzielną katedrę na uniwersytecie w Wilnie i to dopiero w roku 1920. Z przekonań był narodowcem, w żadnym więc razie do „pieszczochów" reżimu sanacyjnego nie należał. Warto również zaznaczyć, że jego spuścizna naukowa została w znacznej mierze uratowana dla potomności dzięki wielkiemu (z wielu względów) Jędrzejowi Giertychowi, który podczas nielegalnego pobytu w Polsce w roku 1945 spotkał się z sędziwym profesorem w Krakowie, otrzymał od niego cenne maszynopisy, a następnie powrócił do Anglii i wkrótce zajął się wydaniem dzieł wybitnego, ale niemal zupełnie zapomnianego uczonego.

Koneczny jest gorącym zwolennikiem cywilizacji zachodniej albo łacińskiej, gdyż jej wspólnym narzędziem przez wieki był język łaciński. Przy okazji niejako uważa, że w najczystszej postaci cywilizacja ta rozwinęła się w Polsce może dlatego, iż przez wieki nasz kraj był obronnym przedmurzem zachodniego świata chrześcijańskiego.

Według profesora cywilizacja to swego rodzaju styl życia, system organizujący życie zbiorowe oraz przede wszystkim zagadnienie moralne; mierzyć ją trzeba etyką. Jej najznakomitszą, niemal idealną formą okazała się cywilizacja łacińska, to znaczy cywilizacja wytworzona w świecie zachodniego chrześcijaństwa, mająca naturalnie oparcie w dorobku cywilizacyjnym, moralnym i prawnym starożytnego Rzymu.

Ale i to jest dla naszych rozważań ważne – cywilizacja ta jest niszczona i dezorganizowana przez wpływ trzech innych cywilizacji, które zdobyły sobie poprzez wieki dostęp do świata zachodniego i które przenikają w ten świat, a ściślej niszczą go swoimi pojęciami. Tak było w przeszłości, tak jest i obecnie. Owi trzej agresorzy atakujący zachód to cywilizacje: turańska, bizantyjska (w tym wypadku uwspółcześniłem nazwę) i żydowska.

Cywilizacja turańska, ukształtowana w Centralnej Azji, wywarła decydujący wpływ na Rosję poprzez wieki rządów mongolskich, ukształtowała Turcję i nadal wywiera niejaki wpływ na Europę.

Jej zasadą jest, że władca znajduje się ponad prawem i etyką i że życiem

zbiorowym rządzi samowola państwa, a społeczeństwo właściwie nie istnieje. Z tego punktu widzenia dzieje Rosji – carskiej i bolszewickiej – to stałe oddziaływanie na ten kraj cywilizacji turańskiej. To samo spostrzeżenie można współcześnie odnieść do niektórych państw totalitarnych. Oczywiście dzisiejsza Rosja zachowała również spore obszary tej cywilizacji.

Cywilizację turańską charakteryzuje swoisty prymitywizm i azjatyckie okrucieństwo. Dlatego też stanowi względnie małe niebezpieczeństwo dla cywilizacji łacińskiej. Jest od niej po prostu diametralnie („na pierwszy rzut oka") różna i nie ma jej nic do „zaoferowania". Dla inteligentnego świata zachodniego nie jest pod żadnym względem „atrakcyjna".

O wiele groźniejsza, gdyż zdobywająca przyczółki (i to bardzo spore) w świecie łacińskim, jest cywilizacja bizantyjska. Pierwotnie była to cywilizacja antycznego Wschodu, a zatem tych wszystkich Babilonii, Persji, Egiptów, które podbił Aleksander Macedoński i które – zaprawione wpływami helleńskimi – stały się później cesarstwem wschodnio-rzymskim, a następnie zamieniły się w Bizancjum i przekształciły pod wpływem chrześcijaństwa.

Cywilizację bizantyjską łączy ze światem zachodnim podstawowa wspólność wiary, ale jej podkład przedchrześcijański jest bardzo odmienny od rzymskiego. Jest to podkład nie helleński, a orientalny.

Rysem znamiennym cywilizacji bizantyjskiej – i to czyni ją dosyć „atrakcyjną", bo „łatwą w odbiorze" – jest rozbrat w dziedzine moralnej między życiem prywatnym a publicznym. Cywilizacja ta nakazuje postępować w życiu prywatnym wedle zasad moralności chrześcijańskiej, ale w obliczu spraw państwowych i w ogóle w życiu publicznym (w biurze, szkole, redakcji, na uniwersytecie, w polityce itd.) demonstruje swą bezsiłę.

Wedle niej nie ma moralności w polityce i w działalności państwa. Tu leży zasadnicza różnica między „bizantyjczykami" i „łacinnikami", gdyż według świata zachodniego również polityka, państwo, władca, mąż stanu, czy chociażby skromny urzędnik podlegają obowiązkom i ograniczeniom nakładanym przez etykę. Nie muszę dodawać, że na tym właśnie polu cywilizacja łacińska musi się bezustannie bronić – z różnym skutkiem – przed szkodliwym i niszczycielskim wpływem „Bizancjum".

Dla niejednego z Czytelników dzieł Konecznego, które zresztą nie są łatwą lekturą, niespodzianką może być jego pogląd, że głównym bastionem cywilizacji bizantyjskiej w Europie są Niemcy. Profesor uważa, że średniowieczne Cesarstwo wzorowało się na Bizancjum i chętniej ze wschodu niż z Rzymu – z którym było w bezustannym niemal konflikcie – czerpało swe wzory cywilizacyjne, moralne i prawne.

W jeszcze większym stopniu wpływy bizantyjskie oddziaływały na Zakon Krzyżacki, który przeniesiony został nad Bałtyk z Ziemi Świętej i który miał bardzo wiele cech orientalnych, także tych ocierających się o modne wśród rycerzy-zakonników idee antychrześcijańskie, wręcz satanistyczne. A dalszym ciągiem państwa krzyżackiego były Prusy – czynnik wywierający decydujący wpływ na nowoczesne Niemcy.

W ogóle Niemcy od wieków są terenem bezustannej walki między pojęciami łacińskimi, a bizantyjskimi. A ponieważ w świecie zachodnim odgrywają jedną z kluczowych ról, przeto pierwiastkami bizantyjskimi zarażają także i inne kraje z naszego obszaru cywilizacyjnego.

Niemcy zatem – z pominięciem krain południowych i południowo-zachodnich, przynależnych do obszaru łacińskiego – są swego rodzaju koniem trojańskim obcych wpływów cywilizacyjnych w Europie. Nie oznacza to oczywiście, że nie istnieli i nie istnieją wybitni Niemcy, którzy są zagorzałymi obrońcami cywilizacji łacińskiej. Jest ich nawet całkiem sporo. Nie oni jednak „tworzą rząd" – są w mniejszościowej opozycji.

Myślę, że dobrą ilustracją tego, czym są bizantyjskie pojęcia moralne i prawne w rozumieniu Konecznego jest typ „sługi" państwa, który kocha żonę i dzieci, lecz jednocześnie na rozkaz „z góry" zamienia się w amoralną, bezuczuciową bestię zdolną wykonać najgorsze draństwo.

Trzecią niszczącą świat zachodni siłą jest cywilizacja żydowska, której pojęcia w ostatnich wiekach wywierają niemały wpływ na sposób myślenia Europy nie tylko w jej protestanckiej, ale i katolickiej połowie. O współczesnej Ameryce Północnej nie wspominając (i znowu jak w przypadku Niemców: istnieje wcale nie tak mało osób pochodzenia żydowskiego – obrońców cywilizacji łacińskiej).

Rysem szczególnym tej cywilizacji jest jej „apriorycznośc", a więc skłonność do naginania życia do teorii „powziętych z góry" i często najzupełniej utopijnych, nie mających związku z realnym życiem. Niewątpliwie na przykład komunizm jest wytworem cywilizacji żydowskiej, a w ogóle wszelkie totalitaryzmy to efekt piorunującej mieszanki żydowsko-bizantyjsko-turańskiej. To połączenie żydowskiej, bezdusznej teorii z bizantyjskim rozchwianiem moralnym i azjatyckimi metodami właściwymi „turańczykom".

Po drugie, rysem tej cywilizacji jest jej sakralność, a więc „sztywne skostnienie" życia religijnego i sprowadzenie go do bezdusznego formalizmu, z którego treść duchowa dawno już uleciała.

Po trzecie, etyka żydowska wyraźnie różni się od łacińskiej; jest to etyka podwójna, inna dla „swoich" – inna dla obcych.

Po czwarte, cechą cywilizacji żydowskiej jest jej sucha i formalistyczna prawniczość; to znaczy życie staje się mniej ważne od litery prawa. Co najwyżej literę tę można naginać sztuczną i obłudną interpretacją.

Cywilizacja łacińska niszczona jest przez łączny wpływ pojęć pochodzenia turańskiego, bizantyjskiego i żydowskiego przede wszystkim w dziedzinie etyki i prawa. Wedle pojęć łacińskich prawo wywodzi się z etyki i ma za zadanie wcielać zasady etyki w życie. W cywilizacji żydowskiej i turańskiej oraz bizantyjskiej prawo jest ponad etyką. Zależy ono od „widzimisię" władzy, państwa, biurokracji...

Myślę, że historiozoficzna koncepcja Konecznego może być dla młodych Czytelników jego dzieł pożyteczna w wymiarze bardzo praktycznym. Umożliwia bowiem zastanowienie się nad sobą, nad swoim postępowaniem oraz nad jednostkową przynależnością do określonej formacji cywilizacyjnej.

Wbrew pozorom nie jest to trudne. Jeżeli na przykład ktoś dopuszcza aborcję „ze względów społecznych", a wstrętni są mu mordercy taksówkarzy, zdunów i „babć klozetowych" – jest człowiekiem moralnie dwuznacznym i na pewno nie przynależy do cywilizacji łacińskiej. Podobnie jak ten, który godzi się na zabijanie taksówkarzy, natomiast wszelkie inne mordy traktuje z odrazą.

PIĄTA CYWILIZACJA?

Istnieją poważni autorzy, którzy sądzą, że obok podanych przez Feliksa Konecznego czterech podstawowych cywilizacji istnieje i piąta – germańska (piąta albo czwarta, gdyż można ją traktować również jako rozwinięcie lub przetworzenie Bizancjum w duchu niemieckim). Naturalnie stoi ona w opozycji do cywilizacji łacińskiej.

Chodzi o to, że przeważająca terytorialnie część Niemiec znajdowała się poza granicami Imperium Romanum, a germańskie ludy tam zamieszkujące nie zostały poddane procesowi romanizacji, co było warunkiem koniecznym wstępu w obręb cywilizacji rzymskiej, której przedłużeniem i twórczym rozwinięciem stała się chrześcijańska (katolicka) cywilizacja łacińska.

Ludy te w przyszłości będą oczywiście zapożyczały wiele ze zwyczajów i prawa rzymskiego, ale to tylko przyswoją, co pozostanie w zgodzie z ich germańskim duchem, przede wszystkim więc pierwiastki bizantyjskie obecne i w Rzymie.

Prawdą jest, że Germanie szybko nawracają się na chrześcijaństwo i przyjmują jego cywilizację, ale śmiem twierdzić, iż – w przeciwieństwie do późniejszego nawrócenia „Słowian polskich" – nie jest to ani uczciwe ani głębokie. Niemcom chodziło bowiem raczej o zagarnięcie spadku po Imperium Romanum i zbudowanie na jego gruzach nowego Imperium Germanicum. Cel zaborczy dominował nad wolą szczerego poddania się urokowi cywilizacji łacińskiej.

Przecież – patrząc obiektywnie – wypaczyli oni każdą instytucję chrześcijańską, wykoślawiając ją, a przede wszystkim przystosowując do własnych, plemiennych celów. To oni, a wcale nie mam na myśli jedynie Zakonu Krzyżackiego, będą mieć imię Chrystusa na ustach, jednak chrześcijaństwo nie przeniknie prawdziwie do ich umysłów i serc. W imię Boże, pod wodzą swych tłustych opatów i biskupów wycinać będą w pień całe ludy. W ten sposób na zgliszczach i trupach słowiańskich tubylców powstanie późniejsza Austria i prawdziwy bękart Europy – Prusy. Takich metod nie stosował żaden naród prawdziwie łaciński – nawet w „barbarzyńskim" średniowieczu.

Niemcy zawsze odczuwali cywilizację łacińską jako coś obcego, narzuconego i sprzecznego z ich naturą. Gdyby mogli, szybko zrzuciliby „rzymskie szaty" i przywdziali skóry, oraz rogate nakrycia głowy. Niemiecka pycha nigdy nie mogła pogodzić się z faktem, że to nie oni dali światu cywilizację, że wyszła ona ze znienawidzonego Rzymu. Chcą więc narzucić innym własną cywilizację – opartą na „zdrowym, witalnym" (dopowiedzmy: i prymitywnym) duchu germańskim.Cóż, kompleks niższości rodzi agresję, a Niemcy – przyznajmy – walczyć potrafią...

Ten bunt cywilizacji germańskiej przeciwko Rzymowi znajdzie ujście w protestantyzmie i przez protestantyzm ujawni się właśnie oblicze cywilizacyjne Niemiec. Niemiecki protestantyzm zatem to nie tylko przecięcie łączności organizacyjnej chrześcijaństwa, to przede wszystkim zerwanie z cywilizacją łacińską.

Powiedzmy dobitniej: protestantyzm jest odrodzeniem (przyznajmy, że w odpowiednim momencie, czyli w chwili moralnego osłabienia Rzymu) cywilizacji germańskiej, która do tej pory tkwiła pod cienką warstwą cywilizacji łacińskiej; odrodzeniem o tyle groźnym, że wyciśnie ono decydujące piętno na historii Niemiec. Myślę głównie o stosunku człowieka do społeczeństwa i państwa oraz religii do państwa.

Protestantyzm podporządkował religię państwu. Stała się ona po prostu jedną z dziedzin życia państwowego, a jej duchowni zwykłymi urzędnikami. Jeżeli dodamy do tego rozwój w XIX wieku w Niemczech pogańskiej idei Boga-Państwa, to właśnie to nowe bóstwo będzie wymagać od swych podwładnych czci i służby nieomal religijnej. Tym bardziej, gdy na horyzoncie pojawi się wyrosły z protestantyzmu hitleryzm – to swoiste połączenie nienawiści do Rzymu, nabożnego stosunku do germańskich, przedchrześcijańskich obrzędów, poszanowania dla Marcina Lutra i koncepcji rasowych zrodzonych w szalonych głowach różnych von Listów, Lanzów von Liebenfelsów, Weiningerów, Chamberlainów – całej tej menażerii złożonej z dumnych Aryjczyków, przeżywających kryzys tożsamości Żydów, Anglików i niespełna rozumu bab w rodzaju madame Bławatskiej*.

Niemcy są cywilizacyjnie obcym ciałem w Europie pozostającym w konflikcie z cywilizacją łacińską. Ich germańska cywilizacja odrodzona w XVI wieku poprzez zerwanie z Kościołem i zaprowadzenie fałszywego chrześcijaństwa – protestantyzmu, cywilizacja pełna nieuzasadnionej pychy, doprowadziła ich do hitlerowskiej aberracji. Hitleryzm nie był więc „niemieckim wypadkiem przy pracy" (tak samo, jak takim wypadkiem nie jest współczesna koncepcja „Mitteleuropy", czy mówiąc wprost: niemieckiej Europy). Był konsekwencją kilkusetletniej, świadomej walki z chrześcijańską cywilizacją łacińską.

Te gorzkie słowa pod adresem Niemiec i Niemców nie wynikają z nienawiści. Tym bardziej, że naród ten dał światu wspaniałych „łacinników". Nadal wierzę w odrodzone, pokorniejsze, prawdziwie chrześcijańskie i europejskie Niemcy...

* Rok – dwa temu czytałem w jednym z tzw. polskich kolorowych pism kobiecych entuzjastyczny artykuł poświęcony wybitnej „żenszczinie" – pani Bławatskiej. Cóż, feminazistki chwalą rasistkę posiadającą telepatyczny kontakt z Dalajlamą. Jest w tym jakiś „new age-owski" sens.

KATOLEWICA – „ZATROSKANI" DYWERSANCI

Współczesny Kościół rzymsko-katolicki musi zmagać się nie tylko z jawną antykościelną propagandą właściwą środowiskom lewicowym, laickim, pozostającym w orbicie wpływów socliberalnego śmietnika ideologicznego, granice którego wyznacza polityczna poprawność. Prawda, to jest trudna walka, ale przejrzysta: przeciwnik dosyć jasno określa własne stanowisko, nawet nie stara się ukryć niechęci do Wiecznej Instytucji.

Problem o wiele poważniejszy polega na tym, że istnieje także drugi, wewnętrzny front walki. W tym wypadku przeciwnik Kościoła jest jeszcze bardziej niebezpieczny, działa jako ksiądz, znany teolog, prominentny dygnitarz w szatach duchownych...

Czasem tych szacownych dywersantów, ukrytych stronników lewicy, masonerii i herezji tytułuje się mianem „katolewicy". Inni mówią o kościelnych postmodernistach, czy progresistach.

Mniejsza o terminy – ważne jest to, że u progu XXI wieku to mieszane towarzystwo świeckich i duchownych „katolików" opanowało wiele strategicznych przyczółków w Kościele i w jego pobliżu. Polska może nie jest jeszcze wzorcowym przykładem tego „blitzkriegu", ale „V Kolumna" i u nas staje się coraz bardziej bezczelna, heretycka, antytradycjonalistyczna, proprotestancka, wreszcie judaizująca (bp. Pieronek, ks. Czajkowski, ks. Piotrowski, o. Musiał, abp. Życiński, poważne odłamy jezuitów, dominikanów, *Tygodnik Powszechny*, *Więź* itd.).

Ludzie ci podważają dogmaty wiary, starają się „unowocześnić" Kościół, propagują fałszywy ekumenizm sprowadzający się np. do przenoszenia na grunt katolicki pojęć protestantyzmu, czy nawet (a może zwłaszcza) judaizmu.

W trosce o ilustrację poważnych przecież oskarżeń służę nieodległym w przeszłości przykładem – tym bardziej, że sprawy te dla młodzieży (także tej edukowanej w szacownych murach uniwersyteckich) są nieostre, a wielu w ogóle nie orientuje się o co tu chodzi.

W połowie lat osiemdziesiątych na łamach *Tygodnika Powszechnego* ks. Waldemar Chrostowski (dzisiaj – przyznajmy – ostrożniejszy w wypowiedziach; nic tak nie uczy pokory jak nielojalność jednego z partnerów „dialogu polsko-żydowskiego") stwierdził, że wprawdzie Żydzi generalnie powiedzieli „nie" Chrystusowi, ale nadal powinno się ich uważać za naród przez Boga wybrany. Podobnie jak chrześcijan, którzy również zasługują na to miano, a to dlatego, iż powiedzieli Chrystusowi swoje „tak". Ta nielogiczność podbudowana zostaje kolejnym „pocałunkiem

misia" (tym razem tandemu Chrostowski – bp. Muszyński): chrześcijanie i Żydzi mają wspólne świadectwo, muszą się w wierze na siebie otworzyć, muszą pielgrzymować ku pojednaniu.

Jest to ładnie brzmiąca... herezja. To prawda, święty Piotr, czy święty Jan byli Żydami, lecz ich „tak" wobec Syna Bożego spotkało się ze sprzeciwem ze strony innych Żydów. Piotr, Paweł, Jan niewątpliwie należą do wybranego „narodu" chrześcijańskiego – podobnie jak inni Żydzi-chrześcijanie, chrześcijanie Polacy, Francuzi, Hiszpanie. Natomiast podstawowy trzon Żydów stworzył sobie całkiem nową religię, wywodzącą się wprawdzie ze Starego Testamentu, ale radykalnie zmienioną przez nową, nacyjną i ekskluzywną interpretację – wściekle antychrześcijański Talmud.

Tak więc prawowitymi dziedzicami Starego Testamentu są chrześcijanie, natomiast Żydzi są odszczepieńcami, którzy świadomie odrzucili swe pierwotne wybraństwo mówiąc „nie" Chrystusowi. Oczywiście należy się za nich modlić – tak jak to czynił święty Maksymilian Maria Kolbe – by zawrócili ze złej drogi. Należy również cierpliwie przekonywać ich do prawd zawartych w katolicyzmie (bo taka jest istota katolickiego ekumenizmu: uporczywe przekonywanie do wyznawanej wiary).

Nie należy natomiast dokonywać syntezy między chrystocentryzmem i judeocentryzmem, gdyż nie da się pożenić nacyjnie zorientowanego, podwójnie moralnego, nienawistnego innym judaizmu z uniwersalnym, pełnym miłości i przebaczenia prawdziwym chrześcijaństwem – katolicyzmem.

Zdajmy sobie wreszcie sprawę – posiłkując się powyższym, jakże skromnym przykładem „katolewicowej" herezji – że wewnętrzny front walki w łonie Kościoła istnieje i potężnieje, spychając tradycjonalistycznych (czyli normalnych) katolików, a nawet część polskiego Episkopatu do wyraźnej defensywy.

Obrona Prawd Wiary, Kościoła i Ojczyzny ze strony ks. Jankowskiego, czy ojca Rydzyka nie wystarczy... Ja wiem: nie przemogą! – jak słusznie twierdzi profesor Maciej Giertych. Nie przystoi jednak katolikowi pozostawiać „kontrreformacyjnego" trudu przyszłym, zwycięskim pokoleniom. Grzech lenistwa to też grzech.

CHRZEŚCIJANIN WEDŁUG *TALMUDU*

Ponad 100 lat temu skromny ksiądz, Justyn Bonawentura Pranajtis, magister świętej teologii, profesor języka hebrajskiego w Cesarskiej Rzymsko-Katolickiej Duchownej Akademii w Petersburgu, wydał swoje największe dzieło: *Christianus in Talmude Judeorum*, które miało później wydanie niemieckie, rosyjskie, a w końcu i polskie*.

Wydanie przez polskiego księdza (dokładnie polsko-litewskiego) książki o skrywanych tajemnicach *Talmudu*, zostało przyjęte w Rosji przez środowiska żydowskie bardzo źle. Była to typowa reakcja „narodu wybranego" na próbę obiektywnego przedstawienia rzeczywistego stosunku Żydów do gojów, w tym przede wszystkim chrześcijan.

Zarzucano Pranajtisowi stronniczość, złą wolę, w końcu przyjęto sprawdzoną metodę zamilczania niewygodnej pozycji, chociażby poprzez... masowy jej wykup z księgarni (przyznajmy, że dzisiaj już tej czasochłonnej i drogiej metody politycznie poprawni nie stosują; po prostu milczą jak zaklęci).

Duchowny jakoś przeżył to pierwsze starcie. Ówcześni znawcy tematu uważali nawet, że miał dużo szczęścia, na pewno więcej od księdza profesora Chiariniego, który po przetłumaczeniu *Talmudu* na włoski nagle rozstał się z tym pięknym światem, lub mnicha wileńskiego, Didakusa, przechrzty ubitego za ujawnienie żydowskich tajemnic. No cóż, nie komentuję. Przypominam tylko opinie mas ludowych (i nie tylko) z poprzedniego wieku.

Po raz drugi Pranajtis naraził się Żydom w roku 1911. Otóż dnia 12 marca zamordowano w bestialski sposób w Kijowie 13 letniego chłopczyka, Andrzeja Juszczyńskiego. O dokonanie zbrodni posądzono żydowskiego rzeźnika, Mendla Bejlisa. Został on wprawdzie uniewinniony (nie bez nacisków ze strony bogatych Żydów na dwór carski!), ale wcześniej sąd musiał zapoznać się z opinią biegłego eksperta – czyli Pranajtisa, który oceniając charakter ran zadanych dziecku obiektywnie stwierdził, iż przypominają one cięcia rytualne znane przecież z przeszłości**.

---

* Prócz wydań niemieckiego, rosyjskiego i polskiego ukazało się również wydanie w języku angielskim – *The Talmud Unmasked, The Secret Rabbinical Teachings Concerning Christians* (tłumaczenie z I wydania w języku łacińskim). Zostało ono wydane w USA przez Liberty Bell Publications, Reedy, West Virginia. Egzemplarz w zbiorach wydawcy.

** Mordy rytualne, o które podejrzewano Żydów na przestrzeni wieków były bardzo często wytworem niezdrowej wyobraźni ludu. Ale nie zawsze. W roku 1491 grupa Żydów i konwertytów (tzw. marranów) dokonała rytualnego mordu na chrześcijańskim

Od czasu wydania ekspertyzy ksiądz nie miał już spokoju. Rozpoczęto przeciwko niemu nagonkę na międzynarodową skalę. Zrobiono z duchownego złodzieja, plagiatora, nieuka. Wszystkie zarzuty były oczywiście kłamstwami, ale od kiedy to prasa (tym bardziej niechętni Pranajtisowi dziennikarze żydowscy) dba o fakty.

Kilka lat później, w roku 1916, ksiądz przyjechał z Turkiestanu (gdzie objął placówkę) do Piotrogradu. Tu nagle zachorował i zmarł. Nie wykluczano otrucia.

Przejdźmy obecnie do syntetycznego przedstawienia zawartego w tytule tematu, opierając się na ustaleniach Pranajtisa. Wprzódy jednak ustalmy czym dla tradycyjnego Żyda jest i z jakich części *Talmud* się składa.

Talmud wywodzący swoją nazwę od słowa „lamad" jest zasadniczą nauką i wiedzą narodu żydowskiego. Jest objaśnieniem *Pisma świętego*, czyli tylko *Starego Testamentu* (Tanach).

Talmud składa się z Miszny (teksty prawa) i Gemary (komentarz i ostateczne rozstrzygnięcie prawa). Ta ostatnia jest dwojaka: Jerozolimska i Babilońska, co tworzy też *Talmud Jerozolimski* (niezbyt poważany) oraz obszerny i respektowany *Talmud Babiloński*. Oprócz tego *Talmud* uzupełniają dodatki wyjaśniające (Tosefot – np. rabina Aszera), dodatki do tych dodatków (wyjaśnienia do wyjaśnień) – czyli Piske Tosefot oraz komentarze Perusz rabina Mosze-ben Majmona (Majmonidesa).

Talmud składa się z sześciu głównych części: 1. Zeraim – o nasionach, płodach, owocach, ziołach, drzewach; 2. Moed – o świętach i uroczystościach; 3. Naszim – o kobietach (pojmowanie i oddalanie żon, obowiązki, choroby, usposobienie kobiet); 4. Nezikin – o szkodach wyrządzonych przez ludzi i zwierzęta; 5. Kodaszim – o świętościach; 6. Tohorot – o oczyszczeniach (czystość i oczyszczenie naczyń, sprzętów oraz ich nieczystości i skalanie). Dzielą się one wewnętrznie na traktaty (księgi), te zaś na rozdziały.

Wobec takiej wielkości *Talmudu* (samych rozdziałów jest 524, do tego dochodzą cztery krótkie traktaty dodane później) pożądany był skrót. Został on dokonany przez Majmonidesa w średniowieczu, a następnie Jakuba ben Aszera. Jako, że nie we wszystkim się ze sobą zgadzali, kolejnego skrótu dokonał rabin palestyński Józef Karo w wieku XVI.

I ostatnia uwaga porządkująca: *Talmud* jest dla Żydów świętością, stawiają go wyżej od Tanach.

Uwagi odnoszące się do chrześcijan rozproszone są w różnych częściach *Talmudu*. Nazywani są oni Nocrim (nazareńczycy), lecz także i wszystkimi innymi

dziecku w miejscowości La Guardia w prowincji Toledo (T. Miłkowski, P. Machcewicz, *Historia Hiszpanii*, Wrocław 1998, s. 125). Jestem daleki od kategorycznych sądów, ale również grupa zbirów mordujących syna Bolesława Piaseckiego, Bohdana, świadomie lub nie posłużyła się elementami szczególnej symboliki (nóż zanurzony głęboko w ciele pierworodnego).

nazwami, które w *Talmudzie* oznaczają nie-Żydów, np.: akum, minim, edom, goim.

Według Żydów chrześcijanie to przede wszystkim bałwochwalcy i mordercy. Traktat Aboda zara 22 „a" rzecze: „Nie będzie się człowiek (tj. Żyd – DR) przyłączał do nich (pogan), ponieważ podejrzewani są oni o zbrodnie rozlewu krwi".

Dalej – konsekwentnie – to nierządnicy. Traktat Aboda zara 15 „b" głosi: „Nie należy umieszczać zwierząt w zagrodach gojów, ponieważ podejrzewani są o skłonność do czworonożnych, i niech kobieta (Żydówka) nie łączy się z nimi, ponieważ są podejrzani o popęd do rozpusty". A gdy „goje przyjdą do domu swego bliźniego, by cudzołożyć z ich żonami i w domu ich nie znajdują, wchodzą w związek zamiast z nimi – z bydlętami tam będącymi" (Aboda 22 „b").

Chrześcijanie uważani są za nieczystych, gdyż jedzą rzeczy nieczyste, wstrętne i pełzające (traktat Szabbat 145 „b") i nie są obrzezani (komentarz do Szulchan aruchu-Biur hetib wylicza kilka „rzeczy" nieczystych: pies, osioł, świnia, koń, wielbłąd i akum).

Właściwie nie są ludzmi. W traktacie Keritot 6 „b" bowiem czytamy: „... napisane jest... wy trzody moje, trzody pastwiska mego, ludźmi jesteście. Wy nazywacie się ludźmi, goim zaś nie nazywają się ludźmi". Albo: „Stworzył ich (Bóg) w kształcie ludzi na cześć Izraela, nie są bowiem stworzeni akum w innym celu, jak dla służenia im (Żydom) dniem i nocą; i nie można im dać nigdy spoczynku od tej ich niewoli. Nie przystoi bowiem synowi króla (Izraelicie), aby mu służyły zwierzęta we własnej postaci, lecz zwierzęta w postaci ludzkiej" (Midrasz talpiot, karta 255 „b").

Jeżeli nie są ludźmi, to – logicznie – zespalają się w interpłciowym stosunku na kształt bydląt: „Stosunek płciowy goja jest jak parzenie się zwierzęcia" (Traktat Sanherid 74 „b", Tosefta), także ich „nasienie... uważa się za nasienie zwierzęcia". (Traktat Ketubot 3 „b", Tosefta). Natomiast po śmierci stają się padliną – pegarim (jest to określenie trupów bezbożników lub zwierząt).

A tak w ogóle to chrześcijan należy unikać („... Żydzi winni trzymać się z dala od wszystkiego, co w czymkolwiek zdradza zwyczaje i postępowanie chrześcijan"), wolno im szkodzić (ci natomiast, którzy starają się „dobrze czynić akumowi... po śmierci nie zmartwychstaną"), obelżywie nazywać ich religijne symbole, święta itd. (święta Bożego Narodzenia to „nital" – wytępienie; Wielkanoc – „kesach" – szubienica; nabożeństwa to „mezabbechim" – gnojenie; chrześcijański krzyż to nic innego jak obraz powieszonego, marność, gwiazda, bożek; księża są „komarim" – wróżbiarzami, kościół to „turaf szel lecim" – dom sromoty wyszydzonych).

Nie muszę dodawać, że specjalne miejsce w tej „litanii tolerancji" zajmuje Jezus Chrystus, czyli według *Talmudu* „Jeszu" („niech będzie wymazane imię jego i pamięć jego"), który miał być nieprawego łoża, synem menstruującej (to jest nieczystej), głupcem, kuglarzem, uwodzicielem, bałwochwalcą. Został też pogrzebany w piekle.

Po co o tym wszystkim przypominać? Przecież realne życie wymusza inny rodzaj relacji między Żydami i „gojami"; przecież Żydzi w znakomitej większości traktują wskazania *Talmudu* odnoszące się do chrześcijan bardzo teoretycznie, a wielu zupełnie to nie obchodzi. Może i „swoje myślą", ale jakie to ma właściwie znaczenie?

To prawda. Nie chodzi o wzbudzanie niezdrowych uczuć do innej religii, nie chodzi nawet o podkreślanie nietolerancji stanowiącej – moim skromnym zdaniem – istotny czynnik judaizmu. Każdy ma prawo wyznawać taką religię, jaką uważa za stosowną dla siebie i swoich dzieci. A poza tym świat jest pojemny – pomieści wszystkich. Chodzi jednak o to, że próby łączenia chrześcijaństwa z przeciwstawnym mu światem wartości nie mają żadnego sensu.

ZDRAJCA *TALMUDU* (CZYLI CZEGO W NIM NIE PRZECZYTACIE)

Nietolerancyjny bełkot *Talmudu* od dawna budził oburzenie chrześcijan. Przypomnę, że już edykt Justyniana z roku 553 zakazał propagowania ksiąg talmudycznych w Imperium. Przez całe średniowiecze papieże mieli do tej żydowskiej świętości jednoznacznie negatywny stosunek, a synom Izraela nie pozostawało nic innego, jak głęboko ją skrywać.

W wieku XVI, korzystając z wynalazku druku i osłabienia Kościoła, byli bardziej szczerzy, wydając *Talmud* w Wenecji z tradycyjnymi, bluźnierczymi wobec chrześcijaństwa passusami.

Później jednak, po synodzie rabinów w Piotrkowie Trybunalskim z roku 1631, widząc, że ich księgi studiują również goje, postanowili wykreślić najbardziej kompromitujące fragmenty. Oczywiście nadal pozostawały i pozostają one w mocy, tyle tylko, że rabini i nauczyciele „winni uczyć tych ustępów... ustnie. Dzięki tej ostrożności uczeni spośród Nazareńczyków (chrześcijan – DR) nie będą już mieli pretekstu atakowania nas na ten temat". Sprytne, nieprawdaż? Treść wyparowała, duch pozostał.

My powróćmy jednak do harmonijnego średniowiecza, epoki, w której ludzie odróżniali dobro od zła, prawdę od fałszu. Przedstawmy zatem zwolennikom wykastrowanych, koncyliacyjnych wersji *Talmudu* antychrześcijański wymiar tej księgi.

W XIII wieku przechrzczony Żyd (ale i były talmudysta) Mikołaj Donin wniósł do papieża Grzegorza IX skargę przeciwko *Talmudowi*, gdyż w wielu partiach księga ta nie tylko „haniebnie przedstawia Boga", lecz również „wypełniona jest obelgami pod adresem twórcy religii chrześcijańskiej i Dziewicy". Według Donina *Talmud* uznaje też, że bezduszne oszukiwanie chrześcijanina jest jak najbardziej dopuszczalne.

W związku z powyższym wystąpieniem papież nakazał Żydom przekazać na ręce dominikanów i franciszkanów wszystkie będące w ich posiadaniu księgi, a to w celu dokonania stosownych analiz. Gdy okazało się, że wyrok braci zakonnych pozostaje w zgodzie z oskarżeniem specjalisty, to jest konwertyty Donina, księgi powyższe zostają oddane płomieniom w dniu 9 czerwca Roku Pańskiego 1239.

We Francji Ludwika IX natomiast rzeczy mają się jak następuje.

Oto czterech wybitnych rabinów z północnej Francji dostało od króla polecenie stawienia się na publiczną dysputę ze zdrajcą żydowskiej świętości, wspomnianym już Doninem. Postawione przed nimi zadanie było względnie proste: mieli obalić

oskarżenie lub przyznać, że *Talmud* rzeczywiście zionie nienawiścią do chrześcijaństwa. Jednocześnie, co nie jest bez znaczenia, królowa matka Blanka Kastylijska miała stać na straży ich osobistego bezpieczeństwa. Dobrze to świadczy o bezstronności średniowiecznej władzy państwowej.

Wydawało się więc, że nie stoi nic na przeszkodzie, by uczeni żydowscy mężowie uczciwie i po ludzku przyznali, że te wysoce obraźliwie passusy istnieją, że zostały napisane na przykład pod wpływem niepotrzebnych emocji, że ranią uczucia religijne mieszkańców kraju, że wreszcie powinny być usunięte.

Niestety, miast przyjąć tak oczywiste rozwiązanie, które raz na zawsze zdjęłoby z *Talmudu* piętno niegodziwości, czcigodni rabini zwyczajnie skłamali, oświadczając: „Te wstrętne fakty dotyczą Jezusa, syna Pantery, nie zaś Jezusa z Nazaretu".

Takie ordynarne łgarstwo znalazłoby obrońców – najpewniej nowojorskich adwokatów – u progu XXI wieku. Król Ludwik wierzył wszelako w sprawiedliwość. Księgi poddano próbie ognia.

MORD RYTUALNY

Wydaje się, że wyimaginowanym pucharem dla „Najodważniejszego Polaka" Anno Domini 1998 powinni podzielić się dwaj ludzie: Tadeusz Miłkowski, autor pierwszej części *Historii Hiszpanii* (T. Miłkowski, P. Machcewicz, *Historia Hiszpanii*, Ossolineum, Wrocław 1998) oraz Zbigniew Rutkowski, wydawca książki *Mord rytualny* (Dr A. Czołowski, Dr J. Caro, Ks. G. Pikulski, *Mord rytualny*, Wers, Poznań 1998).

Odwaga pierwszego z wymienionych polega na tym, że niemal od niechcenia, ot tak, jakby XV-go wieku nie podpatrywało już cyklopie oko politycznej poprawności, „palnął" na stronie 125 wymienionego dzieła, iż w miejscowości La Guardia (prowincja Toledo) Roku Pańskiego 1491 grupa Żydów i przechrztów (konwertytów, marranów) dokonała rytualnego mordu na chrześcijańskim dziecku, co wywołało ogromne wrażenie i bezpośrednio przyczyniło się do postawienia hiszpańskich Żydów wobec niewesołego dylematu: zostać i ochrzcić się lub emigrować.

Kategoryczność stwierdzenia autora osłabia wprawdzie przytoczona przezeń uwaga Juliana Caro Baroja, iż mord stanowił efekt działania osób chorych psychicznie, ale ma to jakby mniejsze wrażenie, gdyż dla zdroworozsądkowo myślącego człowieka każdy, kto morduje „na sposób rytualny" – jest wariatem (podobnie wariacka jest religia, która każe swoim wyznawcom postępować w ten sposób).

Ważne jest natomiast użycie przez Miłkowskiego przymiotnika „rytualny" – i to świadczy o jego samobójczej odwadze. Tym bardziej, że mniej więcej 10 lat temu niejaka Liga Przyjaciół Judaizmu postanowiła sfinansować prace badawcze mające udowodnić, że mord rytualny jest historycznym kłamstwem rozsiewanym w wiadomym celu przez antysemitów. Myślę, że większość hierarchów Kościoła skłania się obecnie ku temu właśnie poglądowi.

A tu – proszę, Tadeusz Miłkowski, bynajmniej nie antysemita, a poważny historyk dofinansowany przez Komitet Badań Naukowych, wyskakuje jak przysłowiowy „Filip z konopi"... Naprawdę, panie Tadeuszu, czyż nie należało dla własnego bezpieczeństwa napisać: „mord na chrześcijańskim dziecku" albo jedynie: „mord na dziecku"?

Chociaż, z drugiej strony, jeżeli już Miłkowski zaserwował Czytelnikom termin: „rytualny", winien nieco bliżej przedstawić szczegóły owego mordu. Nie robiąc tego – naraża się na zarzut gołosłowności. Co bardziej dociekliwi szperacze mogą mu nawet zadać pytanie wprost: na czym Szanowny Autor opiera pewność, że w tym przypadku mamy do czynienia z morderczym rytuałem?

My wszelako wierzymy Miłkowskiemu „na słowo". W końcu Zakład Narodowy im. Ossolińskich nie wydaje książek „byle komu" (ta – nawiasem mówiąc – jest

wartościowa i dobrze napisana).

Szkoda mi tylko tej nieszczęsnej Ligi Przyjaciół Judaizmu, gdyż teraz każdy „antysemita" będzie mógł jej w stosownym czasie wysłać lub przynieść w zębach ksero strony 125, I części *Historii Hiszpanii* (Wrocław 1998) autorstwa bohaterskiego Tadeusza Miłkowskiego. I cała praca na nic – pieniądze wyrzucone w błoto.

Bądźmy jednak poważni. W tym samym roku Zbigniew Rutkowski, dyrektor poznańskiego Wersu, wydaje wspomniany już *Mord rytualny* (Poznań 1998); pozycję źródłową, arcyciekawą, niewygodną i... niemal zupełnie przemilczaną (o jedyną recenzję na łamach *Wolnej Polski*, nr I/II, wiosna 1998, pokusił się Krzysztof Koczwara).

Ta niewielka objętościowo książka odnosi się do słynnej dysputy, jaka miała miejsce w roku 1759 w Bazylice Metropolitarnej obrządku łacińskiego we Lwowie między przedstawicielami żydowskiej sekty Frankistów (którzy wkrótce po niej gremialnie przeszli na katolicyzm), a rabinami.

Jej przebieg przedstawia dr Aleksander Czołowski (dyrektor Archiwum Miejskiego we Lwowie, typ rzeczowego naukowca) w tytułowej pracy *Mord rytualny, Epizod z przeszłości Lwowa*. Ale to nie wszystko.

Po jej opublikowaniu – ripostuje lwowski rabin, dr Jecheskiel Caro. Odpowiada mu z kolei Czołowski, który – co należy podkreślić – oparł swą broszurę m. in. na relacji z dysputy pióra ks. Gaudentego Pikulskiego *Sąd żydowski we lwowskim Kościele Archikatedralnym 1759 r.*

Przedstawione wyżej broszury i polemiki stanowią treść wydanego przez „Wers" *Mordu rytualnego*.

Nie jest oczywiście moim zadaniem rozstrzyganie, czy mord rytualny był praktykowany (Frankiści – nierzadko ex-rabini – byli o tym więcej niż przekonani; podobnie dr Czołowski, beznamiętny badacz przeszłości i spokojny polemista; lwowska dysputa w tym punkcie nie przyniosła rozstrzygnięcia), czy też rację miał nieco histeryczny, nie cofający się przed rzucaniem nieparlamentarnych słów pod adresem „Frankistowskiej hołoty" rabin Caro, który rzecz całą między bajki wkładał.

Nie o to tutaj chodzi. Idzie o problem ogólniejszy – moim zdaniem świetnie wyeksponowany w wydawniczym wstępie do *Mordu rytualnego*. Wstępie koncentrującym się na psychicznym stosunku Żydów do gojów. A był (i jest) on jednoznaczny, co potwierdza szeroko cytowany przez wydawcę prof. Izrael Szahak, autor m. in. znanej niektórym polskim Czytelnikom książki *Żydowskie dzieje i religia. Żydzi i goje – XX wieków historii* (Fijorr Publishing, Warszawa-Chicago 1997).

Ten szczególny żydowski rewizjonista historyczny, patriota własnego narodu i może dlatego jego wszechstronny, dogłębny oraz do bólu szczery krytyk, uważa, że w przeszłości (i nie tylko przeszłości) wielu jego rodaków żywiło w stosunku do gojów (w tym chrześcijan) trudno dla nas wyobrażalne uczucie pogardy, obrzydzenia, wrogości i nienawiści (co siłą rzeczy skutkowało gojskim antyjudaizmem i antysemityzmem).

W tym miejscu wydawca wysnuwa słuszny, gdyż logiczny wniosek: Szahakowe wywody natury ogólnej umożliwiają również przekroczenie cienkiej, czerwonej linii, to jest przełamanie „zmowy i nakazu milczenia o mordach rytualnych". Tylko tyle.

Ja natomiast zrobię mały kroczek do przodu – i to nie dlatego, że jestem przeciwny wszelkim administracyjnym zakazom i nakazom wymyślanym przez „urzędników od historii". Nawet nie dlatego, że chcę być oryginalny, szokujący, prowokujący. Przeciwnie; to co napiszę jest mało oryginalne, a sprowadza się do stwierdzenia, że gdyby dziś jakiś historyk napisał dobrze udokumentowaną książkę poświęconą rzeczywistym mordom rytualnym na przestrzeni wieków – nie czułbym się specjalnie zaskoczony. Byłyby one tylko praktycznym spełnieniem żydowskiego prawa religijnego pozwalającego, zachęcającego, a nawet nakazującego zabijać nie-Żydów.

Byłyby nie oznacza – były; oczywiście pomijając rytualny mord na chrześcijańskim dziecku w La Guardia. Ale jak już wiemy – dokonali go... pomyleńcy*.

Stary, mądry Żyd Szahak uczy. Tylko tyle.

---

* A propos zaburzeń psychicznych (uwagi poniższe oczywiście w żaden sposób nie nawiązują do *Mordu rytualnego*). Natrafiłem swego czasu na passus w *Jewish Encyclopaedia*, iż Żydzi są bardziej podatni na choroby systemu nerwowego niż inne ludy wśród których zamieszkują. Podobno histeria i neurastenia są dosyć częstymi „żydowskimi przypadłościami". W Warszawie (dedukuję, że chodzi o lata 20-te naszego wieku) przypadki histerii wśród żydowskich kobiet i mężczyzn były bardzo częste. Natomiast *Jewish World* z 9 listopada 1922 roku podaje, że procent umysłowych zaburzeń wśród Żydów jest dużo większy niż u nie-Żydów, chociaż nie jest to rezultat „plemiennej skłonności", a losu narodu żydowskiego. Jak jest – nie wiem, ale powyższe uwagi korespondują ze współczesnymi spostrzeżeniami mojego nowojorskiego kolegi (mieszkającego w niemal czysto żydowskiej dzielnicy), który zauważył, że wśród jego sąsiadów – obok wielu jednostek o ponadprzeciętnej inteligencji – nierzadko trafiają się osobnicy o wyraźnym odchyleniu psychicznym. Uważa on nawet, że właśnie te liczne przypadki „psychicznych niedyspozycji" powodują, że średni żydowski iloraz inteligencji (przy dużym nagromadzeniu jednostek wybitnych) nie odbiega (ani w górę ani w dół) od podobnych ilorazów właściwych innym nacjom i ludom (podobno nie wszystkim – jak chcą autorzy, w tym jeden Żyd, głośnej książki *Bell Curve*). Powtarzam, jak jest – nie wiem, aliści mogę sobie wyobrazić, że Żydów częściej atakuje neurastenia niż np. Norwegów. Ci drudzy podobno mają wyjątkową skłonność do choroby psychicznej (ledwie zauważalnej wśród Żydów, Francuzów, Niemców, czy Polaków), która czyni z nich groźnych podpalaczy. Fascynuje ich ogień – i tyle. Ale bliższymi i pewniejszymi informacjami na pewno służą historycy psychiatrii (lub psychiatrzy o zacięciu historycznym).

PROTOKOŁY MĘDRCÓW SYJONU – FAŁSZERSTWO OPARTE NA FAKTACH?

Sprawa wydaje się prosta: *Protokóły Mędrców Syjonu* są wytworem antysemitów, którzy chcieli wykazać, że Żydzi dążą do panowania nad światem. Żeby być bardziej precyzyjnym jest to produkt perfekcyjnej tajnej policji – rosyjskiej Ochrany (gdyby była taka „perfekcyjna" nie dopuściłaby do rewolucji roku 1917. Z drugiej strony nie można wykluczyć, że sama ją inspirowała poprzez swych masońskich mocodawców).

Powyższe twierdzenie wydaje się tym bardziej prawdziwe, że w roku 1935 sąd w Bernie skazał na grzywny młodych Szwajcarów za rozpowszechnianie *Protokołów...*, natomiast pismo uznał za falsyfikat. Wprawdzie podczas rozprawy nie dopuszczono świadków mających świadczyć na korzyść oskarżonych, a nie poskąpiono ich skarżącej żydowskiej Gminie Wyznaniowej, uznajmy jednak, iż taki jest przywilej każdego sądu.

Pomimo tego i w tej zdawałoby się oczywistej kwestii istnieją niejasności, które każą zachować ostrożność przy ferowaniu nieodwołalnych wyroków; wyroków – dopowiedzmy – uniemożliwiających jakąkolwiek dyskusję.

Mnie osobiście zastanawia oświadczenie ks. dr Stanisława Trzeciaka, byłego profesora Akademii Duchownej w Petersburgu, cenionego przed wojną żydoznawcy, bohaterskiej ofiary Powstania Warszawskiego (skądinąd wiadomo, że podczas okupacji ratował również Żydów – podobnie jak wielu innych „antysemitów").

Duchowny ten uznał autentyczność czy fałszerstwo *Protokołów...* za zagadnienie wprawdzie naukowe, ale drugorzędne. Tak naprawdę ważne jest – według niego – to, czy w „dziele" znalazło się odbicie tych samych myśli i dążeń znanych z literatury i pism żydowskich oraz konkretnych wypowiedzi strony „obwinionej".

I uczony ksiądz znalazł przykłady żydowskiego zadufania, „gojofobii" i „myślenia globalnego". Spośród kilku przytoczmy dłuższy fragment z artykułu rumuńsko-amerykańskiego Żyda, Marcusa Eli Ravage*, zamieszczonego w styczniowym numerze *The Century Magazine* z roku 1928 (M. E. Ravage, *A real case against the Jews*, *The Century Magazine*, January 1928):

„Jeśli się wam przygląda (Ravage przemawia do „gojów" w imieniu Żydów, używając formy „wy" dla „aryjczyków" i „my" dla swoich współbraci – DR) i słucha się waszych dziecinnych zarzutów, można mieć wrażenie, że nie macie nawet najmniejszego pojęcia o tym, co się wokół dzieje... Jesteście oburzeni na nas, nie możecie jednak powiedzieć dlaczego!

Niedawno słyszało się zwykle, jakobyśmy gonili za pieniędzmi i tylko patrzyli na własną kieszeń. Teraz lamentuje się, że żaden kierunek sztuki, żaden zawód nie jest wolny od Żydów...

My odsuwamy się od obowiązku obrony ojczyzny w czasie wojny, bo z natury i tradycji jesteśmy pacyfistami. Jesteśmy arcypodżegaczami do wojen światowych i głównie odnosimy korzyści z takich rzezi narodów...

Obwiniacie nas, że wznieciliśmy rewolucję w Moskwie. Niech będzie, my to przyznajemy. No i?...

Robicie wiele krzyku z powodu szkodliwego wpływu żydowskiego na wasze teatry i kina. Pięknie! Zgoda, wasze skargi są usprawiedliwione. Ale co to ma znaczyć w porównaniu do naszego przemożnego wpływu na wasze kościoły, wasze szkoły, wasze prawodawstwa i na wasze rządy?...

Rosyjski prostak fałszuje zwitek papieru i ogłasza w książce, którą nazywa *Protokołami Mędrców Syjonu*. Uważacie tę książkę za autentyczną. Dobrze! Dla dowodu chcemy się podpisać pod każdym słowem (...).

Jeśli istotnie poważnie zajmujecie się całą tą gadaniną o żydowskich sprzysiężeniach, czyż nie powinienem zwrócić waszej uwagi na jedną rzecz, o której opłaciłoby się mówić? Bezcelowym jest tracić słowa na mniemaną kontrolę waszej myśli publicznej przez żydowskich finansistów, wydawców gazet i właścicieli kin, kiedy możecie równie dobrze oskarżyć nas o kontrolowanie waszej cywilizacji poprzez żydowski mit?...

Nie zauważyliście... miary naszej winy. Wciskamy się, jesteśmy burzycielami, wywrotowcami. Myśmy wzięli w posiadanie wasz świat cielesny, wasze ideały, wasz los. Myśmy byli ostatnią przyczyną nie tylko wojny (I wojny światowej – DR), ale prawie wszystkich waszych wojen. Myśmy byli sprawcami nie tylko rewolucji rosyjskiej, ale podżegaczami do każdej większej rewolucji w waszej historii. Myśmy wnieśli niezgodę i zamieszanie w wasze życie osobiste i publiczne (...).

Ale myśmy was nie zostawili. Dostaliśmy was w nasze ręce i zburzyli piękną, wspaniałą budowlę, którąście stworzyli. Zmieniamy cały bieg waszej historii. Myśmy was tak zdobyli, jak nigdy żadna z waszych potęg nie zdobyła Afryki...

Uczyniliśmy to wyłącznie nieodpartą siłą naszego umysłu, ideami, propagandą.

Uczyniliśmy was roznosicielami naszej misji światowej, bez waszej woli lub bez waszej świadomości... Weźcie trzy główne rewolucje w naszych czasach, francuską, amerykańską i rosyjską. Czym innym były one, jak nie tryumfem żydowskiej idei sprawiedliwości społecznej, politycznej i gospodarczej (...).

Czyż nie jest dziwne, że bierzecie nam to za złe? (...).

* Marcus Eli Ravage (właść. Revici), ur. 25 czerwca 1884 r. w Rumunii z ojca Judy i matki Belli, z domu Rozenthal. W roku 1900 emigruje do USA i zmienia nazwisko. W latach 1909-1913 studiował na uniwersytetach w Missouri, Illinois i w Nowym Jorku, gdzie się doktoryzował.

Dlaczegóż w całym świecie nie macie oburzać się na nas? Gdybyśmy byli na waszym miejscu, czulibyśmy więcej niechęci niż wy do nas. Tylko, że wypowiedzielibyśmy to bez skrępowania".

Cóż sądzić o tego typu enuncjacjach? Czy są one wyrazem narodowej megalomanii czy też zawierają „jądro prawdy"? Czy są właściwe wielu Żydom czy tylko garstce? A może Marcus Eli Ravage jest ukrytym Żydem – antysemitą lub szczególnym przypadkiem psychiatrycznym? Albo człowiekiem nad wyraz szczerym? Wreszcie typem żydowskiego dowcipnisia?

Doprawdy nie mnie to sądzić. Tym bardziej, że wywodzę się z narodu, który przedstawionymi wyżej kategoriami nie śmie nawet myśleć. Oto polska pokora i dobry smak.

ŻYDZI A NIEPODLEGŁOŚĆ POLSKI

Żydzi przyjęli upadek Polski pod koniec wieku XVIII obojętnie. Nie zmienia tego fakt, że niewielka ich część wzięła udział w Insurekcji Kościuszkowskiej.

Za czasów Księstwa Warszawskiego problem żydowski nie został rozwiązany. Jego władze – idąc śladem Napoleona – wstrzymały polityczne równouprawnienie Żydów. Nic też dziwnego, że Izraelici kierują swoją sympatię w stronę Rosji, a podczas kampanii moskiewskiej roku 1812 – przynajmniej na Litwie – jawnie jej sprzyjają. Zauważył to sam car, wyrażając uznanie kahałom za gorliwą i wierną służbę żydowskich deputatów w Kwaterze Głównej, gdzie pełnili funkcje gospodarcze i wywiadowcze.

W Królestwie Polskim przed wybuchem powstania toczyła się ostra polemika wokół kwestii żydowskiej (bardzo nieprzychylny starozakonnym był m. in. Stanisław Staszic – daleko nie on jeden), wszelako wybuch nieszczęsnej insurekcji w Warszawie został powitany z dużym zadowoleniem przez niemałą część aktywnych przedstawicieli ludności żydowskiej. W rewolucyjnych działaniach w listopadzie 1830 r. wyróżnili się m. in. uczniowie Szkoły Rabinów, wchodzący w skład akademickiej gwardii narodowej.

Później było już gorzej. W czasie regularnej wojny polsko-rosyjskiej roku 1831 Żydzi byli bierni. Próby zasymilowanych konwertytów (gen. Jakub Lewiński, Jan Czyński) przeciągnięcia ich na polską stronę spełzły na niczym. Polacy twierdzili nawet, że Żydzi pragnęli jedynie rewolucji, a gdy generał Józef Chłopicki zdusił ją niemal w zarodku, sprawa polska przestała ich interesować.

Apogeum zbliżenia polsko-żydowskiego stały się wydarzenia poprzedzające wybuch Powstania Styczniowego. Przyczynił się do tego niewątpliwie (i nieumyślnie) hrabia Wielopolski, który wyjednał dla Żydów prawa polityczne w maju 1861 roku.

I stała się rzecz niesłychana. Wyemancypowani Żydzi, bynajmniej nie zawsze zwolennicy asymilacji, poczęli uczestniczyć niemal we wszystkich patriotycznych manifestacjach organizowanych w roku 1861. W tej najsłynniejszej, zakończonej śmiercią pięciu ludzi, wielu Żydów ucierpiało od rosyjskich kul.

Po manifestacji w składzie delegacji, która udała się do namiestnika Gorczakowa by żądać zadośćuczynienia za przelaną krew, znajdował się rabin Majzels – ortodoksyjny Żyd, ale i sympatyk formacji rewolucyjnych, autor sławnego, zapewne oddającego częściowo istotę rzeczy kalamburu: „Die Juden haben keine Rechte".

Dobrym i tragicznym zarazem przykładem polsko-żydowskiej solidarności był również pogrzeb sybiraka, ks. Stobnickiego. Za trumną szli pospołu katolicy i żydzi.

Tłum powracający z żałobnych uroczystości połączył się z manifestantami na Placu Zamkowym. Doszło do szarży kozaków. Zginęli Polacy i Żydzi, w tym młody Izraelita wznoszący ponad głowy zebranych chrześcijański krzyż.

Po uśmierzeniu powstania relacje polsko żydowskie ulegały stałemu pogorszeniu. Narastała niechęć i wrogość Żydów do prób odzyskania przez ich katolickich sąsiadów niepodległości.

Niektórzy z nich zostali na trwałe zatruci ideologią socjalistyczną i komunistyczną, w których widzieli szansę na wyzwolenie społeczne i narodowe. Ich prawdziwą ojczyzną po roku 1917 stanie się sowiecka Rosja.

Inni przeszli na pozycje żydowskiego nacjonalizmu (syjonizmu), widząc przyszłość w budowie siedziby narodowej w Palestynie. Nie przeszkadzało im to zajmować skrajnie antypolskiego stanowiska.

Natomiast tradycjonalistyczni chasydzi, jak to oni, żyli we własnym, religijno-mistycznym świecie.

Pod koniec wieku XIX pojawiają się nadto w Królestwie Polskim Żydzi-Litwacy wyrzuceni, często brutalnie, z „Rosji właściwej". Pomimo tego to oni właśnie, lojalnie i gorliwie współpracując z carską administracją w nowych miejscach osiedlenia na ziemiach polskich, staną się zdecydowanymi – żeby nie powiedzieć: fanatycznymi – wrogami polskich dążeń niepodległościowych.

Jest wreszcie stosunkowo wąska grupa zasymilowanych Żydów, których można już uważać za Polaków*.

Niechęć przeważającej części Żydów do polskich dążeń niepodległościowych, pogłębiona nadto pojawieniem się obozu wszechpolskiego, tego prawdziwego budziciela polskości w szerokich masach ludowych, skutkuje określonymi akcjami politycznymi, deklaracjami i zakulisowymi naciskami na forum międzynarodowym.

Jeden z pierwszych tego typu śladów odnajdujemy w roku 1906, gdy carska Rosja – przymuszona okolicznościami – rozważała koncepcję autonomii dla Polaków w „Kongresówce". Na odbytym w tym samym czasie III Ogólnorosyjskim Zjeździe Syjonistycznym w Helsinkach przyjęto program, iż na wypadek autonomii dla Polski Żydzi w Królestwie zażądają pełnego równouprawnienia, stosownych praw dla żargonu (jidysz) i języka hebrajskiego w szkołach i życiu publicznym.

Wściekła propaganda antypolska nasila się podczas Wielkiej Wojny i po jej zakończeniu. Światowe żydostwo sprzeciwia się idei powstania niepodległej Rzeczypospolitej, a gdy to okazuje się niemożliwe, zakulisowo działa na rzecz nieuszczuplania niemieckiego stanu posiadania w byłym zaborze pruskim*. Oskarża wreszcie Polaków o organizowanie antyżydowskich pogromów, nie dbając przy tym o realia i zwykłą ludzką uczciwość.

* Zakończoną sukcesem okazała się konwersja (masowa, kilkudziesięciotysięczna!) żydowskiej sekty frankistów w drugiej połowie wieku XVIII. Ludzie ci wtopili się w rody szlacheckie i stali się Polakami – również prawdziwymi patriotami. Z tej sekty wywodzi się familia Jeziorańskich – antenaci „kuriera z Warszawy".

Żydowski antypolonizm, bezczelny i głupi zarazem, jest rzeczywistością. To nie tylko II wojna światowa, Kielce i rok 1968; to także przedstawione powyżej (litościwie skrótowo) fakty. Całość układa się w ponad wiekowy ciąg kłamstw, przeinaczeń i półprawd na temat Polski i narodowego charakteru Polaków.

Nie zakładajmy jednak własnych „lig antydyfamacyjnych". Bądźmy mądrzejsi i roztropniejsi od żydowskich nienawistników. Prawda obroni się sama. No, może z małą pomocą...

* Twórca polskiego sukcesu podczas Konferencji Pokojowej kończącej I wojnę światową – Roman Dmowski (najwybitniejszy polityk polski XX wieku) podczas jej trwania musiał nie tylko staczać boje z Anglikami, ale i „Anonimowym Mocarstwem". Zacytujmy w tym miejscu fragment wspomnień z tejże Konferencji sekretarza generalnego polskiej delegacji – Stanisława Kozickiego: „Prawa Polski do ziem b. zaboru pruskiego były oczywiste, interes Państw Sprzymierzonych wskazywał niezbicie, że te ziemie powinny były być Polsce zwrócone. Do 19 marca (1919 r. – DR) sprawy w Paryżu szły zupełnie pomyślnie (...) Niespodziewanie po posiedzeniu Rady Najwyższej 19 marca premier angielski Lloyd George podniósł, że do Polski przyłączono zbyt dużo Niemców (...).

Jednocześnie ujawniają się jakieś tajemnicze wpływy działające przeciw Polsce i przeciw Delegacji polskiej. Warto przypomnieć, że w końcu marca przybyli z Ameryki delegaci ŻYDÓW AMERYKAŃSKICH (podkreślenie moje – DR), którzy mieli dostęp bezpośredni do prezydenta Wilsona i złożyli mu zaraz po przybyciu obszerny drukowany dokument, w którym dużo miejsca poświęcono Polsce i napastowano gwałtownie stronnictwa narodowe polskie za rzekome prześladowanie Żydów.

Wynikiem akcji zakulisowej, wytrwałej i konsekwentnej, było zepsucie pierwotnych wytrwałą pracą Komitetu Narodowego i pierwszych miesięcy istnienia Delegacji zdobytych pozycji, tudzież dążenie do odsunięcia Polski od morza i do odmówienia jej od razu Górnego Śląska. Nie zdołano dojść tak daleko, lecz utworzono wolne miasto Gdańsk, zwężono ów dostęp, to jest korytarz polski ku morzu i wprowadzono plebiscyt na Górnym Śląsku".

(St. Kozicki, Konferencja Pokojowa i podpisanie Traktatu, *Myśl Polska*, 1 lipca 1969).

HOLOCAUST PO FRANCUSKU

Jeżeli kiedykolwiek przyjdzie ci brać udział w uroczystościach upamiętniających „Wielką Rewolucję Francuską", nawet w kameralnych warunkach Ambasady Republiki Francji w Warszawie lub w banalnym mieszkaniu Konsula Honorowego tego kraju, pamiętaj, że uczestniczysz w kolejnym, dwieście którymś tam pogrzebie Wiecznej Francji – mordowanej przez dobrane towarzystwo masonów, rewolucjonistów, ateuszy i zwykłej hołoty.

Jeżeli więc 14 lipca uroczyście, a przede wszystkim świadomie wypijesz kieliszek szampana za zdrowie tej Ladacznicy i zakąsisz żabim udkiem – niechaj stanie ci w poprzek gardła – będę pewny, że miałem do czynienia z bękartem, który...

- Popiera deportacje księży na wyspy Re i Oleron oraz do Gujany. W tej ostatniej istniały obozy śmierci. 70% przybyłych wkrótce umierało na malarię.
- Znieważa ofiary tej umorusanej Kurtyzany, wśród których 69% stanowili chłopi i robotnicy, 22,5% księża, a tylko 8,5% szlachta oraz arystokracja.
- Wypina się na śmierć w wyniku masakry wrześniowej w Paryżu w roku 1792 1.400 osób, w tym 220 księży, drobnych złodziejaszków wyciągniętych z więzień oraz nienormalnych lub niedorozwiniętych pensjonariuszy domów poprawczych i opiekuńczych.
- Lekceważy fakt wymordowania przez rewolucjonistów 3 tysięcy ludzi w Angers, spośród których Jan Paweł II beatyfikował 99 męczenników.
- Pomija deportowanie 60 tysięcy biednych tkaczy lyońskich protestujących przeciwko głodowi (przed rewolucją był on we Francji właściwie nieznany) i zamordowaniu króla.
- Nie dopuszcza do siebie myśli o tragedii francuskich wieśniaków wiernych królowi i mordowanych przez republikańskich sadystów (walka chłopów z rewolucją objęła 2/3 terytorium Francji. W samej Wandei zginęło około 400 tysięcy ludzi. Takich strat Francja nie poniosła w wyniku II wojny światowej!).
- Nie uznaje rewolucji, każdej rewolucji, za WCIELENIE ZŁA.

KONKURS PLUCIA (PO IZRAELSKU)

Obelżywe traktowanie chrześcijańskich symboli religijnych jest wpisane w judaizm. Dla przykładu, plucie na krzyż lub spluwanie przy kościele miało moc obowiązującą dla pobożnych Żydów od około roku 200. Oczywiście później, gdy wzrastała niechęć do „narodu wybranego", czyniono to w mniej ostentacyjny sposób. Prawie nikt w końcu nie jest samobójcą.

Aliści we współczesnym państwie Izrael, tej ekskluzywnej, jednonacyjnej demokracji, obyczaj otwartego wyrażania antychrześcijańskich uczuć wydaje się święcić tryumfy.

Czy wiesz Szanowny Czytelniku wychowany w atmosferze tolerancji, że w latach pięćdziesiątych to agresywne państewko wielkości ziarnka grochu (na mapie) wydało serię znaczków poświęconą izraelskim miastom? Na jednym z nich analityczni szperacze mogli zauważyć milimetrowy krzyż wieńczący kościół w jakby nie było – Nazarecie.

Wybucha skandal, partie religijne wespół z syjonistyczną lewicą żądają wycofania nieszczęsnego znaczka, a przynajmniej usunięcia z niego nienawistnego symbolu. Co też staje się faktem.

Niemal nikt w golusie (świecie nieżydowskim) nie wie, nawet amerykańscy podatnicy – jelenie opłacający dobrobyt Izraela – że ich pupilek przez długie lata walczył z chrześcijańskimi wpływami w... matematyce. Nie podobał mu się znak plus (+), bo za bardzo przypominał krzyż (a dokładnie za takowy uchodził), a trudno sobie wyobrazić, żeby żydowscy uczniowie systematycznie pluli w zeszyty lub na tablicę podczas lekcji tego właśnie przedmiotu. Problem powyższy rozwiązano w sposób, na jaki może się zdobyć tylko państwo o jednoznacznym profilu ideologicznym: zakazano używania „plusa" w szkołach podstawowych i w wielu szkołach średnich.

A słyszał ktoś o tym, że nauczanie o Nowym Testamencie jest w Izraelu zakazane „od zawsze"? I że „kablowanie" na nieposłusznych, czyli uczciwych nauczycieli, którzy starają się obchodzić ten ciężki idiotyzm, jest czymś w rodzaju narodowego sportu?

Jeżeli nie słyszałeś o tym Czytelniku Najdroższy, to mam dla Ciebie i Twoich antyklerykalnych przyjaciół jeszcze jedną dobrą wiadomość: w kibucu Saad odbyło się sponsorowane przez władze izraelskie „Plucie na krzyż dla konwertytów z chrześcijaństwa na judaizm".

Mam nadzieję, że w drodze rewanżu nie urządzisz konkursu spluwania na Gwiazdę Dawida. Nie bądź barbarzyńcą – wybaczaj.

PALESTYŃSKIE MIGAWKI

Takiego obrazu nie zapomina się, chociaż wytresowane i wybiórcze stacje telewizyjne świata zachodniego zrobią wszystko aby przedstawić go jako tragiczny wypadek „przy pracy" czy element „bliskowschodniego pejzażu". Co więcej, zacierający niemiłe wrażenie polityczni komentatorzy żydowskich publikatorów lub ich koniunkturalni gojscy kelnerzy (poznać ich po wytartych „kolanach" spodni – to od łażenia na klęczkach), szybko, na rozkaz, powrócą do swego ulubionego tematu – drugowojennego Holocaustu. I znów zacznie się powódź seriali i filmów o żydowskich, wyjątkowych oraz apokaliptycznych cierpieniach na przestrzeni ostatnich 2000 lat, a dodatkowo na gruncie krajowym Dawid Warszawski et consortes będą pletli androny o złożoności sytuacji, o bliskowschodnim węźle gordyjskim, prawie Żydów do bezpieczeństwa, niecnych arabskich terorystach... Po czym, dla odwrócenia uwagi, kolesie ci wskażą palcem kolejnego „antysemitę" czającego się w gimnazjum, na uniwersytecie albo w internecie.

A tymczasem ja mam przed oczyma ten właśnie obraz: w pobliżu osiedla Nicanim, Anno Domini 2000, żydowscy snajperzy za cel biorą 12 letniego Palestyńczyka, Mohameta Adirę. Jego ojciec, Dżamei błaga w języku hebrajskim uzbrojonych drani by przerwali ogień. Nie przerywają. Syn ginie.

Nie pierwszy to (i nie ostatni) przykład utraty dziewictwa przez Żydów na ziemi, którą konsekwentnie, kawałek po kawałku, wydzierali jej prawowitym gospodarzom – Palestyńczykom. Prawowitym – boć to element autochtoniczny w stosunku do Żydów; nie tylko tych przybyłych w ciągu ostatnich 100 lat w okolice Jerozolimy.

Pamiętajmy, cofając się do zamierzchłych czasów, że dalekimi przodkami Palestyńczyków, będącymi oczywiście częścią wielkiego i regionalnie zróżnicowanego narodu arabskiego, są również Kananejczycy i Filistyni (od tych ostatnich zresztą Palestyna wzięła swą nazwę), których częściowo wyrżnęły plemiona żydowskie przybywające na te tereny około 1000 roku przede Chrystusem.

Nie chcę być nadmiernie złośliwy, ale podobne Holocausty nie były w starożytności obce Żydom. Tyle tylko, że nikt już dzisiaj o nich nie pamięta albo – co pewniejsze – stara się zapomnieć. Cóż, słynne i powtarzane w tej pracy: „było, minęło"...

Któż więc ma większe prawa do Palestyny: arabsko-palestyński sprzedawca cytrusów z Jerozolimy, potomek antycznych ludów autochtonicznych, czy też syn lub wnuk żydowskiego domokrążcy z Lublina? Piszący te słowa nie ma wątpliwości: ten pierwszy. I proszę mi przy tej okazji nie zarzucać osławionego antysemityzmu, gdyż lubię i podziwiam semickich Arabów jako całość, trochę mniej – lubię i podziwiam wielu współczesnych Żydów, nie lubię natomiast i krytykuję ich zwa-

riowane, nadmiernie rozdęte elity, które w idiotycznej krótkowzroczności roszczą sobie prawo do wszelkich – materialnych i duchowych – dóbr tego świata.

Cóż, jestem Polakiem, dlatego też bliższy memu sercu jest palestyński młodzieniec rzucający kamienie w stronę opancerzonego jeepa, niż jego żydowski (tak: właśnie: żydowski, a nie izraelski gdyż w konflikcie bliskowschodnim to Żydzi, nie zaś anonimowi Izraelczycy, walczą z Arabami; stosowanie tego słownego eufemizmu jest zresztą działaniem celowym: dla przykładu „agresja izraelska" brzmi lepiej dla ucha aniżeli „agresja żydowska") odpowiednik uzbrojony w najnowocześniejsze wojskowe „cudeńka".

Tak samo jak bliższy memu sercu jest Jaser Arafat (chociaż nie jest to człowiek kryształowy, a wielu Palestyńczyków ma go już powyżej „dziurek w nosie") niż zmarłe 20 lat temu żydowskie połączenie Józefa Stalina i Adolfa Hitlera – generał Mosze Dajan. Ten jednooki bandzior, „Hannibal Syjonu" (w formacie kieszonkowym), dyszący wręcz zwierzęcą nienawiścią do Arabów, był niezłym przykładem talmudycznego „miłosierdzia" względem innych nacji (ale tego nie znajdziesz Drogi Czytelniku, w jego biogramie pomieszczonym w multimedialnej Encyklopedii PWN 99 – zadbały o to pobratymcze „duszki").

Tak, Żydzi wielokrotnie utracili dziewictwo na Bliskim Wschodzie. Świat pamięta o ich tragedii w latach II wojny światowej, ale wstydliwie przemilcza późniejsze wydarzenia; te wszystkie mniejsze w sensie ilościowym, lecz takie same pod względem jakościowym i moralnym Holocausty, których sprawcami stali się syjonistyczni oprawcy.

Któż pamięta na Zachodzie o tragedii arabskiej wioski w pobliżu Jerozolimy – Deir Jassin? 10 kwietnia 1948 roku, trzy lata po zakończeniu II wojny światowej, pięć lat po wybucha Powstania w warszawskim getcie, żydowscy zwyrodnialcy z Irgunu pod wodzą Menachema Begina oraz z oddziału Stoma (jednym z jego dowódców był Icchak Szamir – kurduplowaty specjalista od „antysemityzmu wysysanego wraz z mlekiem polskich matek"), zgotowali osadzie istne piekło na ziemi: zastrzelili lub zarąbali 260 mieszkańców – mężczyzn, kobiety i dzieci.

Czy był to nakaz ich Jahwe? Czy Hollywood upamiętniło to wydarzenie filmem fabularnym z powiedzmy – Paulem Newmanem w roli głównej? Czy morderców spotkała zasłużona kara? A może tą karą było przyznanie – w roku 1980 Menachemowi Beginowi pokojowej Nagrody Nobla?!

Czy amerykańskie dzienniki wschodniego wybrzeża nagłośniły kiedykolwiek nagminne przypadki wyciągania podczas Intifady przez żydowskich żołnierzy rannych, arabskich dzieciaków z sal operacyjnych lub bicie palestyńskich kobiet w ostatnim miesiącu ciąży?

A czy Dawid Warszawski w lutym 1988 roku przynajmniej pochylił głowę nad tragicznym losem palestyńskiego chrześcijanina z Gazy – Taraziego, którego żydo-

wscy siepacze pochwycili, gdy wracał z zakupów na targu spożywczym? Czy odczuwał ból, gdy żydowscy żołdacy pałami łamali mu nogi, rozkrzyżowali na masce wojskowego pojazdu, ręce przykuli do zderzaka i zabawiali się „ostrą" jazdą po ulicach Gazy? A może słyszał trzask łamanego kręgosłupa i rytmiczne dudnienie głowy ofiary obijającej się o maskę jeepa?

Że co, że są to odosobnione przypadki zezwierzęcenia i braku wojskowej dyscypliny? Jak w takim razie potraktować broszurę armii izraelskiej (żydowskiej oczywiście), opublikowaną przez dowództwo Centralnego Rejonu (obejmuje on Zachodni Brzeg Jordanu), w której Naczelny Kapelan dowództwa pisze: „Gdy nasze oddziały natkną się na cywilów, czy to w czasie działań zbrojnych, pościgu za wrogiem czy rajdu zwiadowczego, to dopóki nie ma pewności, że cywile ci nie zagrażają naszym oddziałom, zgodnie z halachą mogą, a nawet powinni zostać zabici... Pod żadnym pozorem nie należy wierzyć Arabowi, nawet jeśli sprawia wrażenie osoby cywilizowanej... W czasie wojny, gdy nasze oddziały atakują wroga, halacha zezwala, a nawet zaleca by zabijały nawet niegroźnych cywilów, to znaczy z pozoru niegroźnych". No – jak potraktować? Może jako przyzwolenie dla „niekontrolowanego" strzelania do ludzi?

Dlatego też, Szanowni tropiciele „antysemitów" i specjaliści od shoah-biznesu, wykażcie więcej pokory i spójrzcie do własnego, bliskowschodniego ogródka.

Atakując natomiast inne narody i państwa za rzekomy brak tolerancji, ciemnotę, ksenofobię i faszyzm, pamiętajcie o mądrym spostrzeżeniu innego Żyda – byłego kanclerza Austrii, Brunona Kreisky. Ten wybitny polityk u schyłku życia twierdził, że Izrael uprawia politykę semi-faszyzmu... „Żeby dostrzec ten semi-faszyzm, nie trzeba daleko szukać, wystarczy spojrzeć, co wyprawiają Begin i Szamir (ich następcy zresztą też – DR). Stosują go wobec Palestyńczyków, którymi rządzą. Sytuacja Palestyńczyków w Izraelu i na terytoriach okupowanych to apartheid. Nie mają żadnych praw, są na marginesie życia politycznego i ekonomicznego. Pozostają pod pełną kontrolą izraelskiej armii. Faszyzm nie kończy się na tym jak Hitler potraktował Żydów. Faszyzm to brutalna siła. Izrael ciągle się przechwala, że jest jedynym demokratycznym państwem na Bliskim Wschodzie. Ale jakaż to potwarz dla prawdziwej demokracji!".

Ale przede wszystkim powiedzcie tym Waszym żołdakom: „bydlaki – nie strzelajcie do dzieci".

CYGANIE NIE CYGANIĆ!

Mój stosunek do Cyganów jest niejednoznaczny. Lubię ich wielobarwność (obecnie w zaniku), autentyczne przywiązanie do dawnych (prawda: niewyszukanych) obyczajów oraz podziwiam ten szczególny ekskluzywizm, który pozwolił im przetrwać jako osobna grupa etniczna. Szanowałem również typowy do niedawna dla Cyganów brak cierpiętnictwa, co korzystnie odróżniało ich od Żydów.

Z drugiej strony nie mogłem nie zauważyć, że kradną (jasne – nie wszyscy, ale nikt nie twierdzi też, że każdy Anglik to homoseksualista, a Szkot kutwa; chodzi o tak zwaną skłonność), szachrują i – będąc w liczebnej przewadze – są niebezpieczni. To można jednak przeboleć.

Tradycyjna u mnie „procygańskość" ostatnimi czasy wystawiona została na poważną próbę, z której ostatecznie wyszła w odmiennym – że użyję tego sformułowania – stanie. Cyganie bowiem zostali wzięci w „subiektywną" obronę przez poprawne politycznie mass-media (one po prostu żyją z protekcji wszelkich „minoritów"), polegającą na tym, że cokolwiek zrobi Rom (dalej Cyganem zwany) jest dobre, a przynajmniej uzasadnione wielowiekową nienawiścią większości do tej malowniczej, właściwie nieszkodliwej i marginalnej grupy nomadów.

No i Cyganie rozbestwili się. Poczęli kłuć w oczy sąsiadów bogactwem, tymi ich architektonicznymi „gargamelami", luksusowymi samochodami, a ogólniej dobrami, które z uczciwą pracą mają tyle wspólnego, co ja z Unią Wolności czy jakimiś innymi socliberalnymi kanciarzami. A przede wszystkim poczuli się straszliwie prześladowani, głównie w Europie Środkowo-Wschodniej.

Staliśmy się oto świadkami emigracji grup Cyganów z Polski, Czech, Słowacji na Zachód. Nie byłoby w tym nic zdrożnego – wszak chęć polepszenia sobie bytu ekonomicznego na skróty leży w ludzkiej naturze (pamiętajmy, że biedaków wśród Cyganów nie brakuje) – problem polega jednak na tym, iż nasi niekonwencjonalni sąsiedzi, wzorem Żydów, poczęli oskarżać konkretne narody (w tym Polaków) o rasizm (to jakieś nieporozumienie – Cyganie zaliczają się do rasy białej), antycyganizm, nietolerancję, czyli przyprawiać centralnym Europejczykom tzw. gębę. Jakby mało nam było innych facjat, o co zadbali (w przypadku Polaków) „rodacy" – farbowańcy, emigranci pamiętnego, najtragiczniejszego – co tam zabory, Hitler, Stalin – w 1000 letnich dziejach Polski roku 1968.

To naprawdę przykre i żałosne. Siedzi sobie taki niepiśmienny cygański matołek w Londynie, wygrzewa budzący respekt „zadek" w Hyde Parku (na tle Marble Arch), pluje na „pogromową Polskę", a na otarcie perlistych łez otrzymuje 120 funtów tygodniowo na jedzenie. Anglicy oczywiście wiedzą, że to amator zachod-

niego dobrobytu i generalnie całą tę jego gadaninę o prześladowaniach traktują z przymrużeniem oka. Ale – myślą sobie – może jednak coś tam na rzeczy jest. W końcu ta Polska jest taka tradycjonalistyczna i papistowska...

My i tak mamy szczęście: Cyganów u nas mało. Co natomiast mają powiedzieć biedni Czesi i Słowacy? Chyba tylko budować dźwiękoszczelne płoty. A propos Czechów: tropicielka nietolerancji, Maria Wiernikowska, rozbawiła mnie swego czasu reportażem o gehennie Cyganów na Zaolziu tropionych przez miejscowych skinheadów. Filmidło, jak wszystko czego się tknie p. Maria, było idiotyczne. Tym bardziej, że jedynymi „rasistami" okazali się młodzieńcy powracający z ciężkiej pracy w kopalni do domu. Chłopcy z poczarniałymi od sadzy oczami, prawdziwi proletariusze palący tanie papierosy marki „Start", twierdzili, że nie lubią Cyganów – darmozjadów. Ten zbiorowy portret czeskich „zbirów" zapadł na zawsze w mojej pamięci.

Zapewne póki istnieje polityczna poprawność, póty problem cygański w Europie Środkowo-Wschodniej nie da się rozwiązać w racjonalny sposób. I to bynajmniej nie z winy manipulowanych, spełniających rolę maleńkiej „piątej kolumienki" w dziele rozbijania narodowego charakteru państw Cyganów, a ich postępowych protektorów.

Natomiast jeżeli Anglicy wpuszczają na swoje terytorium tych „biedaków", a szerzej – ustami Tony Blaira – prawią o humanitaryzmie, niech stworzą dla nich siedzibę narodową; niech dadzą Cyganom szansę podobną tej, którą wykorzystali Żydzi. Proponuję niemal puste Falklandy. Już po 10 latach od osiedlenia się pierwszych partii smagłolicych przybyszy tamtejsi tubylcy – Brytyjczycy – poproszą o przyłączenie archipelagu do Argentyny.

RANKING NARODÓW

Nie ma doprawdy nic złego w tym, że pewne narody lubimy bardziej od innych. Oczywiście nie ma absolutnie złych i absolutnie dobrych nacji, istnieją natomiast wielkie (i całkiem małe) grupy ludzi połączone więzami pochodzenia, „krwi", języka, tradycji, które wykazują się większym/mniejszym ilorazem inteligencji przeciętnej, wiekszą/mniejszą predylekcją do dokonywania czynów wzniosłych (lub idiotycznych), obdarzone są takimi, a nie innymi zdolnościami (zapewne wiele zależy tu od klimatu: czy widział ktoś Eskimosa – producenta wybornych win albo Buszmena – mistrza olimpijskiego w biegu narciarskim na 50 km?).

Zatem mamy do czynienia z nacjami bardziej lub mniej zasłużonymi na polu kultury, polityki, ekonomii i takiego, a nie innego postrzegania świata przez ludzi współczesnych.

Kierując się wrednym subiektywizmem, stwórzmy sobie prowizoryczny „ranking narodowy" (póki narody jeszcze zipią), pokorny wobec zasług – kpiarski w odniesieniu do zauważalnych „felerów" – bezlitosny dla ciężkiej głupoty.

•

HISZPANIE i PORTUGALCZYCY. Te dzielne narody przywróciły Europie Iberię (jaka szkoda, że nie północną Afrykę), ale przede wszystkim dały światu obie Ameryki. Jest to niepopularne w czasach, gdy ekscytujemy się takimi drobiazgami dla rozwoju cywilizacji, jak osiągnięcia Majów i Azteków (nie mówiąc już o wpływie Irokezów na... konstytucję amerykańską), natomiast pomiatamy „napędem atomowym" ludzkości – wyobraźnią białego człowieka (z pełnym szacunkiem dla innych ras oraz interrasowych „miszlungów"). W przypadku Hiszpanów stwierdzenie: „nigdy tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tak niewielu" – jest tylko skromnym wyrazem hołdu dla tych, którzy odważyli się marzyć i działać.

•

ANGLICY – SZKOCI – IRLANDCZYCY i WALIJCZYCY. Anglicy dali światu ponadczasowe rozwiązania prawne, instytucjonalne i ekonomiczne. Ten z pozoru zimnokrwisty naród (dopiero od czasów wiktoriańskich; wcześniej Anglia uchodziła za bardzo „wesoły kraj") to w istocie harde kreatury, śmiali odkrywcy, ryzykanccy biznesmeni, agresywni zdobywcy, dobrzy administratorzy.

Szkoci – jedyny naród bez państwa znany bardziej niż wiele „nacji państwowych" – mimo liczebnej mizerii wydali wynalazców, finansistów i ekonomistów planetarnej miary. Nadal też pędzą whisky.

Bohaterscy Irlandczycy uratowali, a przynajmniej podtrzymali chrześcijaństwo we wczesnych wiekach średnich.

Walijczycy natomiast... Walijczycy spłodzili Richarda Burtona (Burton był prawdziwym Walijczykiem mówiącym po celtycku; zdaje się, że jego krajan, Anthony Hopkins, od urodzenia jest anglojęzyczny).

•

FRANCUZI. To wygoda, wysublimowanie, kultura w morzu światowego chamstwa oraz obrona wiary katolickiej. Taka jest istota Francji. Zastanawia jednak niefrasobliwość narodu, który wydał ze swego łona łajdaków – twórców rewolucji, skutki której negatywnie oddziaływują na ludzkość 200 lat po jej formalnym zakończeniu.

•

ŻYDZI. Istnieje niezrozumienie roli Żydów w dziejach świata. Jest ona stosunkowo mała w dalszej przeszłości i dużo większa obecnie. Żydzi są normalnym narodem z nieco tylko większym niż w innych nacjach odsetkiem „wariatów" przekonanych o własnej wyjątkowości. Niewątpliwie żydowskim gospodyniom domowym winniśmy dozgonne dzięki za serwowanego... na wigilijnym stole karpia.

•

NIEMCY. Dali światu własne umiłowanie ładu, ersatz masła, Marcina Lutra (niestety) i kilku Niemców żydowskiego pochodzenia – stety (Levi-Strauss) i niestety (Marks).

•

ARABOWIE. Naprawdę nie za wiele dali jeszcze światu. Ludzie niegodziwi, szumowiny bez sumień, twierdzą, że dadzą dopiero wtedy, gdy gęsto zatkną proporce z półksiężycem na pewnym niewielkim odcinku wybrzeża we wschodnim basenie Morza Śródziemnego. „Antysemiccy" Semici.

•

ROSJANIE. Naród niespójny. Wiecznie pijani imperialiści, na azjatycką modłę serdeczni i okrutni zarazem („masz tu dzieciaku cukierka, a ja zaraz zgwałcę twoją mamę"). Gdyby Lenin nie był pochodzenia kałmucko-niemiecko-nadwołżańskiego, powiedziałbym, że dali światu – o zgrozo – Włodzimierza Ilicza.

•

CHIŃCZYCY. Starożytna cywilizacja chińska była hermetyczna, więc poza wyjątkami „dawała" głównie sobie samej. Obecnie Chińczycy dają światu szybko psujące się, wyrabiane przez reedukowanych więźniów, dziecięce zabawki. Mają jedną poważną zaletę: lekce sobie ważą opinię światową i robią swoje.

•

JAPOŃCZYCY. Inteligentny naród odtwórców i imitatorów dający planecie wszelkie możliwe gadżety. Inne nacje są zbyt leniwe, aby zajmować się takimi pierdołkami.

•

AMERYKANIE. A czy istnieje jeszcze taki naród? Jeżeli tak, to podarowali bliźnim: muzułmanina Muhammada Ali, Włocha Ala Capone i Węgierkę Monicę Seles.

•

CZARNE NACJE AFRYKI. Świat z rezygnacją czeka na afrykańskie „datki". Jak długo w końcu można potrząsać łańcuchami i zasłaniać się kolonializmem.

•

ESKIMOSI. Nic światu nie dali i nie zamierzają dać. Pewnie dlatego, że – skubańcy – tylko siebie uważają za ludzi.

PRAWDZIWI TWÓRCY SOWIETÓW

Na początku wieku XX międzynarodowe siły finansowe przechodzą do ofensywy. Ich zdecydowanymi działaniami kieruje chęć ożywienia i ochrony własnych interesów, które mają charakter internacjonalny, globalny. Dlatego też, gdy w poprzek tym zamierzeniom stają państwa i ludzie nie mający zamiaru podporządkować się bezwzględnej, „anonimowej" machinie, środkiem do osiągnięcia celu staje się konsekwentne wspieranie rewolucjonistów – burzycieli porządku społecznego, politycznego i ekonomicznego.

Celem numer 1 stada wypachnionych rekinów jest oczywiście Rosja z jej niezmierzonymi bogactwami, które jednak carat zazdrośnie strzeże, nie chcąc uzależniać się od zachodnich kapitalistów.

Co więcej, niezależna, dumna aż do przesady, przeżywająca niebywały wzrost gospodarczy Rosja (perspektywy rozwoju państwa carów w np. roku 1913 są fantastyczne), staje się ekonomicznym konkurentem dla Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych. Należy go więc wyeliminować, a najlepiej włączyć do strefy „dobrych interesów". Na straży tychże stać mieli nowi władcy: bolszewicy. W ten sposób doszło do bandyckiego sojuszu zwichrowanych inteligentów – rewolucjonistów żydowskiego pochodzenia z anglo-amerykańsko-niemieckim światem pieniądza. Żeby było wszystko jasne: ten drugi w 80% składał się również z Izraelitów.

Ludzie finansujący bolszewików przed rewolucją i robiący z nimi dobre interesy po przewrocie w Rosji, stali na czele skomplikowanego systemu wielkich firm przekraczających państwowe granice. Był to potężny organizm rozrastający się i produkujący nowe odgałęzienia. Ich mechanizm rozwoju przypominał ekspansję komórek rakowych.

Potęgi finansowe Rockefellerów i grupy Morgana* rządziły naftą, miedzią, stalą, tytoniem, centrami bankowymi, przemysłem stoczniowym, przewozami czarterowymi, elektrycznością, kauczukiem, kolejami, firmami ubezpieczeniowymi. Szybko też zaczynają wywierać przemożny wpływ na politykę (i tak już zostało), najczęściej przy współpracy swych wspólników z londyńskiego City, Paryża, Berlina.

Bolszewicy dają im nadzieję na krociowe zyski, dlatego też zrobią wszystko aby wspomóc „społeczne i ekonomiczne wyzwolenie" Rosji. Tym bardziej, że pozostaje

* Twórcą potęgi Morganów był Junius S. Morgan powiązany z wszechwładnym żydowskim Domem Rothschildów. Jego syn – John Pierpont (1837-1913) był właściwym twórcą imperium kontrolującego np. 50 tys. mil dróg kolejowych w USA. Na przełomie wieków uważano go za amerykańskiego finansistę nr 1.

to w zgodzie z globalnymi planami fabianizmu. Dla przybliżenia fascynującego tematu, posłużmy się indywidualnym przykładem Lejby Bronsteina, czyli Lwa Trockiego.

Trocki powrócił z USA do Piotrogradu w kwietniu/maju 1917 r. dzięki interwencji Sir Williama Wisemana*, szefa wywiadu brytyjskiego na półkulę atlantycką i przyjaciela prezydenta Wilsona. Podczas pobytu w Stanach Zjednoczonych ten rygorystyczny rewolucjonista opływał w dostatek. Zajmował apartament, jeździł limuzyną z własnym szoferem. Dziwne to, jeśli zważymy, że oficjalnie dysponował tylko nędznymi 310 dolarami (które i tak miał oddać biednym rosyjskim emigrantom).

Tajemnica pryska jak mydlana bańka, gdy dowiadujemy się, że na wygodne życie i cele rewolucyjne otrzymał 0,5 miliona funtów od jednej tylko pani Fels (z domu... Rothschild), która przekonała swego męża – miliardera i producenta mydła właśnie – by ofiarował ten skromny dar.

Należałoby teraz odpowiedzieć na pytanie w jaki sposób zwycięscy Sowieci odwdzięczyli się swym dobroczyńcom z roku 1917 i później.

Istnieje tutaj znamienny dokument, a mianowicie wyciąg z „Handbook of the Soviet Union", księgi opublikowanej przez amerykańską Izbę Handlową. Wynika z niego, że np. w roku 1930 ZSSR był drugim, a w 1931 pierwszym rynkiem zagranicznym dla sprzętu przemysłowego produkcji amerykańskiej. W tym roku Amerykanie wyeksportowali do ZSSR 27,5% ogólnego eksportu tych właśnie wyrobów. W latach 1932-1933, a więc w czasie gdy dobijano rosyjskiego „kułaka", produkcja „Forda" w ZSSR wynosiła 80% wszystkich traktorów, ciężarówek i samochodów osobowych będących „na stanie" państwa robotników i chłopów.

A cóż powiedzieć o tych wszystkich cwaniackich firmach w rodzaju „Allied American Corporation"**, „Chase National Bank", „International Harvester", „Du Pont", „Alcoa", które przez lata, a często dziesiątki lat tuczyły siebie i swojego nieludzkiego wspólnika?

„Rosyjscy" komuniści w roku 1917 wygrali dzięki Niemcom i w większości

* Sir William Wiseman (1885-1962) obok obowiązków służbowych był także partnerem żydowskiej firmy finansującej bolszewików „Kuhn, Loeb and Company". Firma ta powiązana była ze słynnym Jacobem Schiffem, urodzonym w Domu Rothschildów we Frankfurcie. Po emigracji do USA ożenił się z Teresą Loeb, córką założyciela „Kuhn, Loeb and Company". W ten sposób stał się partnerem firmy. Nie muszę dodawać, że reprezentował interesy Rothschildów w Stanach Zjednoczonych.

** „Allied American Corporation" to jedno z dzieci potomka rosyjskich Żydów – Armanda Hammera. Hammer wytrwale wspierał Sowietów aż do lat osiemdziesiątych (później przestał – musiał w końcu umrzeć). Był właścicielem słynnego „Texaco", którego stacje benzynowe awizowane są czerwoną, bolszewicką gwiazdą. To zapewne ukłon w stronę komunistycznych sympatii Armanda.

żydowskim globalistom. W latach następnych utrzymali, obronili i rozszerzyli swój stan posiadania za przyzwoleniem tych drugich. Przez nich też zostali wykończeni 10 lat temu. Sojusznicy się zmieniają – karawana jedzie dalej.

MOI UKOCHANI ŻYDZI

Nierzadko pomawia się mnie o antysemityzm i żydożerczość. Jest to w ogóle problem ludzi, którzy ośmielają się myśleć krytycznie oraz nie padają na kolana, nie posypują głowy popiołem i nie używają wazeliny w obecności nadmuchanych autorytetów – specjalistów od wszystkiego.

Żydzi, podobnie jak inne narody, to zbiorowisko mędrców i wariatów, ludzi dobrej woli i nienawistników. Będę ich krytykował wtedy, gdy na to zasługują (a tak się składa, że często zasługują), będę ich bronił – jak na prawicowca przystało – w momencie, gdy dzisiejsze tłumy filosemitów zwrócą się przeciwko nim, skandując średniowieczne: „hepp, hepp!"

A tymczasem przedstawiam listę moich ulubionych Żydów.

•

HANNAH ARENDT. Żydowska nonkonformistka, kochanka goja – „nazisty". Uczciwa. No – prawie...

•

JOSCHKA FISCHER. Trzymający dietę były przyjaciel terrorystów oraz wieszak pedalskich dyktatorów mody – oto dumne Niemcy Anno Domini 2000. Ma taką pocieszną facjatę i mały rozumek, że trudno go nie lubić.

•

IZRAEL SZAHAK. Kocha swój naród „trudną miłością" i dlatego krytykuje go za ekskluzywizm, nietolerancję, gojofobię. Należy zatem do rzadkiej kategorii „Żydów-antysemitów".

•

KS. JULIAN UNSZLICHT. Żyd, chrześcijanin, brat znanego łotra-bolszewika. Zdecydowany krytyk żydowskiego antypolonizmu, wielki patriota.

•

RABIN WEISS. Ten prymitywny żydowski awanturnik i „łowca zakonnic" potrafi socjalistę przerobić na endeka. Stu sklonowanych Weissów i obóz narodowy wraca na polską scenę polityczną!

•

MEL BROOKS. Mel – jakby to powiedział Zbigniew Rogowiecki, znawca Hollywood – jest jednym z moich ulubionych Żydów. Twórca znakomitych komedii, żartowniś w najlepszym, żydowsko-amerykańskim stylu. Znawca języka hebrajskiego: określa go jako skomplikowany system pochrząkiwań. Jeden z niewielu reżyserów żydowskiej proweniencji, których stać na drugowojenne dowcipy. Lubi Polaków, czemu dał wyraz na srebrnym ekranie w obrazie „Być albo nie być".

•

DAWID WARSZAWSKI (KONSTANTY GEBERT). Podziwiam go za to, że będąc synem komunistycznego aparatczyka (amerykańskiego, he, he) ostatecznie nie przyłączył się do tabunu synalków i córeczek (albo wnucząt) zaludniających redakcję pewnego wysokonakładowego dziennika. Powrócił do korzeni, co ilustruje kapitalne zdjęcie z albumu autorstwa Małgorzaty Niezabitowskiej (Warszawski et consortes w myckach nad butelką pospolitego wina marki „Rubin"). Jeżeli powstrzyma się od wygłaszania antypolskich, wytartych jak ścierka w barze mlecznym dyrdymał – uznam go za Mesjasza wskrzeszonego polskiego żydostwa. Na razie dedykuję mu refleksję mojego przyjaciela, Polaka ormiańskiego pochodzenia, nałogowego czytelnika gebertowych tekstów: „tu jest Polska, a nie poczta".

•

No i co – Szanowni Pacewicze, Osęki, Datnerówny, Tulli, Singery i inne Śpiewaki. Jestem ci ja antysemitą?

CZESKI PARIOTYZM

Czechów od maleństwa miałem za tzw. ciepłe kluski. No bo to popularne „szwejki", naród mieszczuchów i... zjadaczy knedli. Do tego płoche to jak zając szarak lub jakiś inny „kretek". Nawet rozbójnik Rumcajs, najczystszy bandzior na świecie ukąpany we własnej latorośli – Cypisku, prawdopodobnie zresztą sudecki Niemiaszka z pochodzenia (Rumzeiss?), mi nie imponował.

Z czasem ten mój wredny stosunek do braci-Słowian ulegał zmianie. W końcu poczytałem to i owo o Korpusie Czechosłowackim, który przez pewien czas szachował połowę... Syberii podczas wojny domowej w Rosji (kolaborował tak z „białymi", jak i bolszewikami – wiadomo: Czesi), wyrobiłem sobie zdanie o mądrości narodu, który wyzwalał swoją stolicę w momencie, gdy pan Adolf Hitler od sześciu dni przebywał w zaświatach, a Rosjanie właśnie gwałcili Niemki w zburzonym Berlinie...

Nadal jednak nie mogłem wyzwolić się z niewolniczego schematu: Czech to zasadniczo oportunista i życiowy minimalista. Inwazja wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację w roku 1968 i brak zbrojnego oporu ze strony tubylców tylko go umocniła. Nie mówiąc już o sytuacji w tym kraju w latach siedemdziesiątych („normalizacja") i osiemdziesiątych (ciąg dalszy tejże), gdy „knedle" zdawały się akceptować czerwone gwiazdy i hasło: „Z Sovetskym Svazem a nigdy inak" na każdym kominie fabrycznym.

Przypadek sprawił, że moje wyobrażenie o czeskiej mizerii uległo całkowitej zmianie.

Pewnego pięknego, sierpniowego dnia Roku Pańskiego 1993 jechałem rozklekotanym Volkswagenem „Passatem" w okolicach Złotego Stoku. Zatrzymałem samochód przy drodze wiodącej do Paczkowa i udałem się do pobliskiego lasku „za potrzebą". Miałem pecha. Nieświadomie przekroczyłem granicę państwową Rzeczypospolitej, wdzierając się (co prawda nie głębiej niż 20 metrów) na terytorium Republiki Czeskiej.

Inwazja została powstrzymana przez sympatycznych polskich pograniczników, którzy po 30 minutach trzymania autora tych słów „na muszce" – oddali intruza czeskiej policji (i przy okazji „zarobili urlop"). 15 minut później siedziałem w komisariacie w uroczym miasteczku Javornik, tłumacząc się gęsto, że to nie tak, że żaden przemyt, że nigdy więcej.

I wtedy wszedł młody policjant ubrany na wzór amerykański (wierzcie mi: wyglądał jak nowojorski „krawężnik"), zakończył formalności, a potem – znając z protokołu przesłuchania moją profesję – pochwalił się, że również jest historykiem,

pochodzi z Hluczyńskiego Kraju (20 km od polskiego Raciborza) i jest, co rzadkie wśród Czechów, praktykującym katolikiem.

Policjant wytłumaczył mi na czym polega istota czeskiego patriotyzmu. To przede wszystkim miłość do ojczystego języka („najpiękniejszego języka na świecie!"); ekonomia krwi polegająca na nie upuszczaniu jej wtedy, gdy dla Polaków wydaje się to oczywiste („nie powtórzymy naszego samobójstwa z wieku XVII, byliście szaleńcami niszcząc waszą stolicę przy końcu wojny, należy trudne momenty przeczekać – koniunktura zawsze przyjdzie") oraz autentyczne przywiązanie do własnego kraju („mały, ale nasz").

Siłą rzeczy skracam jego wykład, muszę wszelako stwierdzić, że przypadł mi do gustu. To jest wprawdzie filozofia narodu małego i trochę „zahukanego", nie zawsze przystająca do polskich realiów, ale godna rozważenia w głównych swych nurtach.

Realizm polityczny, ochrona substancji narodowej, spójna wizja narodu i państwa. To Józef Mackiewicz (oraz... Narodowe Siły Zbrojne!), to niestety kropla w morzu polskiej tromtadracji i cierpienia bez godziwej zapłaty.

Czesi elegancko odstawili pechowca na granicę. Wsiadłem do samochodu (w tzw. międzyczasie pozbawionego bocznego lusterka) i ruszyłem z piskiem opon. Po chwili jakiś podpity dureń omal nie wturlał mi się pod koła. Wstał z klęczek, otrzepał spodnie z których wystawała półlitrówka i warknął: „co, k...., człekaś nie widział?".

I tak pożegnałem się z polskim romantyzmem. Pijany samobójca zniknął za śmietnikiem...

TEORIA SPISKU

Spiskowa teoria dziejów – ta bardzo szczególna koncepcja historiozoficzna – nieodmiennie wywołuje uśmiech politowania na twarzach możnych tego świata: polityków, ekonomistów i ich dworskich biografów. „To śmieszne, skończcie z tym obłędem, kompromitacja, zaścianek, parafiańszczyzna, kołtuneria, buraczana filozofia" – zdają się mówić.

Słusznie czynią. Głosy takie pochodzą ostatecznie ze środowiska jak najbardziej spiskowego, a jeszcze nie zdarzyło się, aby przestępca złapany nawet „in flagranti" dobrowolnie potwierdził zamiłowanie do szachrajstw. Na złodzieju czapka gore.

Gdybym miał w maksymalnym skrócie podać istotę spiskowej teorii dziejów (zajmowanie się nią w dzisiejszych czasach jest czynnością względnie bezpieczną: spiskowcy Cię nie uśmiercą, bo oni oczywiście „spiskowcami nie są", a ponadto to kulturalni sybaryci), powiedziałbym tak: przeciętny zjadacz chleba średnio zainteresowany (nawet więcej niż średnio) życiem publicznym, dostrzega wprawdzie podstawowe działania polityczne, ale ich mechanizmy są przed nim głęboko ukryte. Przeważająca część ważnych decyzji i działań politycznych jest w pełni tajna, to jest w ogóle nieudokumentowana.

Zatrzymujemy się zatem przed bramą z napisem „tajemnica", której wyważenie jest dla profanów prawie niemożliwe. W tym miejscu „oficjalny historyk" (np. II wojny światowej albo... schyłkowego PRL-u) zrazu bezradnie rozkłada ręce i po chwili – jak na dworaka przystało – zaczyna... łgać, posiłkując się bezwartościowymi ochłapami rzuconymi litościwie na ulicę przez mieszkańców „domu za bramą" – to jest właściwych spiskowców. W ten sposób sam staje się – mizerną wprawdzie, bo jedzącą okruchy z pańskiego stołu – cząstką misterium nieprawości.

Natomiast badacz niepokorny stara się mimo wszystko dotrzeć do źródeł nieoficjalnych (ma się rozumieć: prawdziwie nieoficjalnych) i pośrednich, a nade wszystko logicznie (indukcyjnie) wnioskować z faktów. Wtedy przy okazji ustala swój los: wyśmiany, poniżony i „obsobaczony" kończy w starannie przygotowanym koszu na śmieci. Taki już los nonkonformistów.

Nie traćcie jednak ducha – ryjące, wiercące, skrobiące plemię. Dołączyliście do Waleriana Kalinki, Władysława Konopczyńskiego, Wacława Sobieskiego, Jędrzeja Giertycha. A grunt to przebywać w zacnym towarzystwie.

CZY POSTKOMUNIŚCI TO POSTSATANIŚCI?

Bądźmy po proletariacku szczerzy: Karol Marks, ojciec komunizmu, w młodości był satanistą. Znamy przecież jego studencki dramat „Oulanem", czy wiersz „Gracz", w których aż duszno od atmosfery piekielnej grozy albo inicjacji satanistycznych z mieczem w tle.

Należałoby zatem postawić pytanie: czy była to szczeniacka, przemijająca fascynacja, czy też satanizmem możemy tłumaczyć późniejszy komunizm brodatego teoretyka?

Stawiam następującą hipotezę. Marks – raczej odrażający typ zakochany nie tyle w sobie, co we własnych poglądach – został komunistą dlatego, że wcześniej był satanistą.

Albo powiedzmy inaczej. Marks przez całe świadome życie (z wyjątkiem okresu szkolnego, gdy deklarował przywiązanie do chrześcijaństwa) był satanistą deklarującym w pewnym momencie komunizm jako cel polityczny.

Przyznajmy, że komunizm – zaprzeczający istnieniu Boga, zastępujący moralność jej brakiem, każący niszczyć i jeszcze raz niszczyć – idealnie pasuje do roli dziecięcia satanizmu. Poza tym jego głupota jest tak bezdenna, że zapewne przez Księcia Ciemności zamierzona.

Nie przesądzając sprawy (w końcu nie jesteśmy marksistami i nie wiemy, czy młodzi komuniści smalą cholewy do dziewcząt, czy też w zapadłym grobowcu, w blasku świec, toczą krew z ropuchy) przypomnijmy tylko, iż spokój ducha Karola zakłócają na cmentarzu Highgate w Londynie wielbiciele... Szatana. Przynajmniej ci pamiętają.

SPRAWA TEMPLARIUSZY

Według niektórych zródeł zakon Templariuszy był protoplastą masonerii – zdecydowanej przeciwniczki Kościoła od 300 już lat. Może właśnie dlatego lewicowi publicyści i historycy nie mogą wybaczyć papiestwu i katolickiemu władcy Francji, iż unicestwili to szczególne rycerskie bractwo.

Przedstawiają oni Templariuszy jako ofiary niecnego spisku, biedne niewiniątka pozbawione owoców swego trudu, męczenników za uniwersalne, humanistyczne ideały. Tymczasem prawda jest inna.

W roku 1118, kilkanaście lat po zakończeniu pierwszej krucjaty, grupa dziewięciu szlachetnie urodzonych mężów stworzyła zakon, celem którego była ochrona pielgrzymów zdążających do miejsc świętych w Palestynie. Nazwali się Templariuszami (pełna nazwa podkreślała ich chrześcijańską pokorę: „Zakon Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona")

Dziewięć lat później, po zatwierdzeniu zakonu przez papieża, otrzymał on regułę bernardyńską zobowiązującą jego członków do ślubów ubóstwa, czystości i posłuszeństwa.

Zrazu zakonnicy-rycerze wyróżniali się niebywałym męstwem w walce z muzułmanami, a władze kościelne uważały ich za wzór cnót chrześcijańskich. W roku 1128 ukazał się nawet traktat sławiący Templariuszy, napisany przez Bernarda, opata Clairvaux, zatytułowany „Traktat pochwalny ku chwale nowego rycerstwa".

Wkrótce jednak na skutek ogromnych darowizn przestali zwracać uwagę na obowiązek ubóstwa, stając się przy końcu XII wieku jedną z najbogatszych instytucji w znanym wówczas świecie. Motto zapisane na ich sztandarze: „Non nobis, Domine, sed nomini tuo da gloriam", zastąpili kultem złota, pychą i rozwiązłością obyczajów.

Coraz bogatsi i bardziej aroganccy rycerze – dumni właściciele czerwonego krzyża „pattee" – poczęli również prowadzić na Wschodzie własną politykę, wchodząc w niepokojące porozumienia z wrogami Chrystusa. Na pewno utrzymywali kontakty z mroczną sektą asasynów, którzy zapewne wykonywali ich rozkazy.

Pod koniec wieku XIII Templariusze stali się obiektem powszechnych plotek. Słusznie oskarżano ich o brak skrupułów, skłonność do zadawania gwałtu, zarozumiałość graniczącą z bezczelnością i przysłowiowe już pijaństwo („pije jak Templariusz"). Templariusze prawdopodobnie nie wzdragali się również przed werbowaniem rycerzy objętych ekskomuniką. Jest pewne, że utrzymywali bliskie stosunki z langwedockimi katarami – więcej: czwarty wielki mistrz zakonu, Bertrand de Blanchefort, wywodził się z tej sekty.

Jednoznaczne opinie na temat zakonników dotarły wreszcie do uszu papieża Klemensa V, który w roku 1305 wezwał Wielkiego Mistrza dobranego towarzystwa swawolników, Jakuba de Molay, do powrotu do Francji (po upadku Akki w roku 1291 zakon założył swoją kwaterę główną na Cyprze).

Papież chciał się dowiedzieć u źródła, czy dochodzące go głosy o niewysłowionym odstępstwie od wiary, „obrzydliwej idolatrii" i hołdowaniu „wielu herezjom" przez rycerzy są zgodne z prawdą. Osobiście jednak powątpiewał by te oskarżenia miały pokrycie w faktach. Przecież Templariusze w przeszłości „często przelewali krew i osobiście narażali się na niebezpieczeństwo w imię Chrystusa oraz okazywali niejednokrotnie swą pobożność...".

Większe zdecydowanie okazał natomiast król Francji, Filip IV Piękny, który nie mogąc doczekać się reakcji ze strony głowy Kościoła, wziął sprawy w swoje ręce i ostatecznie aresztował Templariuszy we Francji w dniu 13 października 1307 roku.

Francuska Inkwizycja przed którą zeznawali, zarzuciła im między innymi, iż podczas ceremonii inicjacji znieważali Krzyż, zaprzeczali istnieniu Boga, adorowali idola i skłaniali się ku nieprzyzwoitościom.

Do wszystkich tych niegodziwości większość rycerzy (w tym de Molay) przyznała się; co więcej – ich zeznania nie różniły się zasadniczo w szczegółach, wyjawiając szokujące wręcz fakty.

Okazało się oto, że podczas przyjmowania do zakonu okazywano kandydatom Krzyż z figurką Chrystusa, a następnie informowano ich, że jest to fałszywy prorok („quia falsus propheta erat, nec erat Deus"). Niektórzy podejrzani zeznali nadto, iż mieli oddawać cześć brodatej głowie lub wprost diabłu („un maufe"). Rozkazywano im również pluć na krucyfiks, a w razie niesubordynacji grożono więzieniem i śmiercią. Dodajmy jednak i to, że kilka z powyższych wyznań zostało uzyskane drogą zwyczajowych w tych czasach wymuszeń fizycznych. Mogły więc być (ale nie musiały!) niezgodne z prawdą.

Dlatego też tym większego znaczenia nabrał kolejny proces Templariuszy – bez udziału tortur – odbyty pod czujnym okiem papieża.

Występowało w nim 72 rycerzy, którzy potwierdzili poprzednie zeznania. Uczynił tak również Jakub de Molay w obecności „trzech kardynałów, czterech notariuszy i wielu innych dobrych ludzi". Po przesłuchaniach klęczący i płaczący zakonnicy prosili o przebaczenie.

Papież, ciągle daleki od podjęcia akcji przeciwko całemu zakonowi, zdecydował się na zwołanie papieskiej komisji w Paryżu.

Jej pierwsze posiedzenie odbyło się w listopadzie roku 1309. Wielki Mistrz i 231 rycerzy zeznawało przed członkami komisji pontyfikalnej. Według Micheleta przesłuchania „były prowadzone powoli, uważnie i w sposób łagodny" przez wysokich dostojników kościelnych. W ich trakcie niektórzy, w tym de Molay, cofnęli wcześniejsze przyznanie się do winy.

Wobec powyższego 12 maja 1310 roku 52 zakonników, którzy ponownie popadli w herezję, spalono na stosie. Podobny, okrutny los spotkał Jakuba de Molay 14 marca roku 1314*.

Wydaje się, że papież wykazał maksimum dobrej woli w stosunku do Templariuszy. Trudno również winić Filipa Pięknego, wybitnego władcę Francji, sprzeciwiającego się instytucji osłabiającej państwo; instytucji – dodajmy – nad którą nie miał żadnej kontroli**.

Niestety, niektórzy Templariusze okazali się niepoprawnymi zdrajcami wiary, swawolnikami, zwolennikami niepokojących nowinek z Szatanem w tle. Ponieśli zatem karę mieszczącą się w średniowiecznym kanonie postępowania z odstępcami.

---

* Godzi się wspomnieć, że w innych krajach Europy kary wymierzane Templariuszom nie były tak surowe. Większość angielskich zakonników uciekła, natomiast tych, których aresztowano spotkały lekkie kary: kilka lat pokuty w jakimś klasztorze. Wielu francuskich i angielskich Templariuszy znalazło schronienie w Szkocji – podobno walczyli u boku Roberta Bruce w bitwie pod Bannockburn w roku 1314. W Niemczech wielu zakonników przyłączyło się m. in. do Krzyżaków. W Portugalii zakon został oczyszczony z zarzutów i zmienił nazwę na „Rycerzy Chrystusa". Zakon ten poświęcał się głównie żeglarstwu. Należał do niego m. in. Vasco da Gama. Czy przetrwała „posttemplariuszowska" konspiracja skierowana przeciwko papiestwu i świeckim obrońcom Wiary – oto jest pytanie!

** Masoni głoszą (lub masonopodobni), że król wszczął śledztwo przeciwko Templariuszom, ponieważ chciał zagarnąć na własność ich bogactwa. To tylko półprawda. Król rzeczywiście nie mógł pozwolić na funkcjonowanie tego ogromnego i niezależnego od państwa imperium finansowego, ekonomicznego oraz politycznego. Z drugiej jednak strony wierzył w winę zakonników. Nie zapominajmy również, że dobra Templariuszy przekazał Szpitalnikom. Natomiast skarb królewski zatrzymał dla siebie pewne sumy pokrywające koszta procesu.

TO NIE MÓJ „HEIMAT"

Fakt, że Opolszczyzna (brzmi tak samo dobrze jak Grójecczyzna) w nowym podziale administracyjnym Polski znalazła swoje miejsce jako osobne województwo (pardon – region), zaprzecza polskiej racji narodowej (bo tylko taką uznaję; tzw. racja stanu to wymysł Aszkenazego, wybitnego historyka, dobrego Polaka żydowskiego pochodzenia i średniego dyplomaty). Przynajmniej w dalszej perspektywie.

Piszę to z ciężkim sercem, gdyż lubię Śląsk Opolski (tak samo jak Ziemię Kłodzką, Świdnicką itd.). Większym wszelako uczuciem darzę moją Ojczyznę – Polskę.

Tymczasem w roku 1998, podczas akcji organizowanych przez komitety obrony województwa opolskiego, stwierdziłem, że polski patriotyzm zastępowany jest regionalnym. Smutno było patrzeć na tych niewątpliwych wariatów upstrzonych w żółto-niebieskie, opolskie barwy, na manifestacje w obronie samodzielności, mdłe festyny pod piwo z grochówką, na to zbratanie „prawicy z lewicą" i Polaków chodzących pod rączkę z prominentnymi cwaniakami z odgórnie, „na befehl", stworzonej mniejszości niemieckiej. Nie było tu Polski, była nowa ojczyzna – pokraczny „Heimat", ersatz prawdziwej i jedynej – „Oppelner Schlesien".

Niestety stało się to, co się stało. Delikatne (?) sugestie z Niemiec, partykularne interesy lokalnych biznesmenów i politykierów oraz rozmemłanie polskiego rządu wykreowały „pre-land", który od Polski będzie się oddalał. Zadbają o to może niezbyt inteligentni, ale skuteczni, bo „podsypywani" z Berlina „śląscy Niemcy" i sprzedajne opolskie „elyty", a całość przyklepią zwykli ludzie, dla których liczy się tylko ten, kto da więcej. W końcu lepiej żłopać piwo za 2 złote na „Imprezach Radości" z okazji obrony województwa opolskiego niż uczyć się w szkołach o III Powstaniu Śląskim.

Naród, który w ten sposób postępuje, który nie potrafi nawet w stopniu elementarnym zadbać o w końcu własny interes, nie zasługuje na wielkość, a nawet średniość.

No więc dobrze! Puszcie się swoją „opolskością", nadymajcie na podobieństwo żółto-niebieskich balonów fruwających nad opolskim ratuszem, wcinajcie kiełbasę i pijcie hektolitrami w tych waszych szkopskich ogródkach piwnych. A potem maczajcie nieświeżą dłoń w nocniku. Nie mam złudzeń – jego zawartość posmakuje. Jest częścią nowej, „heimatowskiej" tożsamości.

CZY WIESZ, ŻE...

- Holandia to kraj dzikusów zabijających własnych, ciężko chorych obywateli.
- Najbardziej zdecydowanymi zwolennikami aborcji są ci, którzy przez przypadek nie zostali jej poddani.
- Amerykańska seks-bomba, Marilyn Monroe, przeszła na judaizm, ale na szczęście nie wyjechała do Izraela.
- *Gazetę Wyborczą* czytają nabzdyczeni „inteligenci" i „feminazistki" na „wysokich obcasach".
- Bożyszcze nastolatek lat pięćdziesiątych, „Buntownik bez powodu", James Dean flirtował swego czasu z Ku-Klux-Klanem.
- Największymi antysemitami w USA są Murzyni.
- W latach 1989-1999 aż dziewięciu polskich Cyganów uzyskało wyższe wykształcenie.
- Jeszcze 400 lat temu Czesi uchodzili za najlepszych żołnierzy w Europie.
- Podczas II wojny światowej Niemcy zajęli należące do Wielkiej Brytanii Wyspy Normandzkie (w Kanale La Manche), zachowywali się tam całkiem poprawnie, a skapitulowali dopiero pod sam koniec wojny.
- Rozstrzelanie przez włoskich prokomunistycznych partyzantów kochanki Mussoliniego, Clary Petacci, było zwykłym draństwem. Nie mówiąc już o powieszeniu jej ciała za nogi w miejscu publicznym.
- Byli niemieccy komuniści (lub ich sympatycy) stanowili istotny procent masy członkowskiej SA i NSDAP.
- Niektórzy amerykańscy uczeni twierdzą, że biali mieszkańcy USA mają wyższy przeciętny iloraz inteligencji (cokolwiek to znaczy) niż czarni obywatele tego państwa.
- Autorem najgorszej na świecie pod każdym względem książki o Republice Południowej Afryki jest Grzegorz Jaszuński (*Czarny prezydent, rewolucja w RPA*, Warszawa 1995).
- Himalaje debilizmu osiąga stacja telewizyjna „Polsat".
- Spiskową teorię dziejów wyśmiewają przede wszystkim ci, którzy spiskowanie traktują jako sens życia.
- Niemieckie sądy od roku 1933 począwszy są stale dyspozycyjne wobec rządzących elit.
- Polscy Cyganie nie rozumieją mowy Cyganów rumuńskich (tych, co żebrzą na ulicach) i gardzą nimi.
- Generalnie polscy Tatarzy i polscy Ormianie byli lepszymi Polakami niż

polscy Żydzi.

- Armia izraelska, złożona również z ocaleńców z Holocaustu (lub ich synów), używała podczas napaści na kraje arabskie w roku 1967 napalmu wypalającego dzieciom ciało do mięśni.
- Mussolini zlikwidował mafię na Sycylii. Ta powróciła wraz z Amerykanami.
- W żyłach znanych aktorów amerykańskich: Kim Basinger, Dona Johnsona, Burta Reynoldsa i Roberta Mitchuma (nie żyje) płynie (płynęła) indiańska krew. Wcześniej indiańscy aktorzy występowali w cyrku Buffalo Billa.
- Sprawcą wybuchu II wojny światowej jest pewien ubogi węgierski Żyd, który przed I wojną światową użyczył Adolfowi Hitlerowi płaszcz, wskutek czego anemiczny młodzieniec nie zaziębił się, nie zachorował na obustronne zapalenie płuc i nie umarł w wieku 20 lat.
- W obozie koncentracyjnym w Jasenovacu proniemieccy „ustasze" przyczynili się do śmierci nie 800 tysięcy, a co najwyżej 60 tysięcy ludzi.
- Bojówki ONR-owskie przed wojną były bezwzględniej atakowane przez Policję Państwową niż ich żydowscy, młodzieżowi adwersarze.
- Według Jana Karskiego, słynnego kuriera, najlepszymi patriotami są Polacy żydowskiego pochodzenia. Dopowiedzmy: Minc, Berman, Fejgin, Borejsza, Brystygierowa, Światło, Różański, Morel, Wolińska, Michnik-Szwedowicz.
- Na Haiti (Santo Domingo) można jeszcze spotkać czarnych jak smoła gentelmenów o typowo mazowiecko-chłopskich rysach twarzy. Bynajmniej nie są to „zombie", a potomkowie naszych dzielnych i płodnych legionistów doby napoleońskiej.
- Kanał Panamski przejęła od Amerykanów Panama, ale chce się tam zainstalować przedsiębiorstwo z Hongkongu. A Hongkong należy do komunistycznych Chin.
- Obok Żydów (nie wszystkich), Niemców (okresowo) także prymitywni południowoafrykańscy Hotentoci zgłaszają pretensję do bycia „narodem wybranym".
- Ksiądz prałat Jankowski jest lepszym kapłanem od księdza biskupa Pieronka, bo nie „intelektualizuje".
- W latach 1794-1945 Rosja (swego czasu Związkiem Sowieckim zwana) stoczyła 43 wojny, ale najagresywniejszym państwem europejskim (o największej ilości stoczonych wojen – do tego zaborczych) w okresie 1480-1940 okazała się Anglia (Wielka Brytania).
- Homoseksualizm jest zboczeniem.
- Psy i koty nie są naszymi „mniejszymi braćmi".
- Ekolodzy gotowi są zabić człowieka w obronie uschniętego badyla.
- Prawdziwy ekumenizm to pokojowe nawracanie innowierców na tradycjonalistyczny w formie i treści katolicyzm.

- Nacjonalizm to nic innego jak aktywny patriotyzm.
- Młodzieżowe grupy antyfaszystowskie to postępowi bandyci.
- W razie konfliktu zbrojnego przegralibyśmy z Białorusią lub innym kaliningradzkim okręgiem wojskowym.
- 5% ludzi na Zachodzie słyszało o Powstaniu Warszawskim, natomiast 95% o Powstaniu w Getcie.
- Niektórzy więźniowie w Auschwitz otrzymywali przepustki zezwalające na wyjście do miasta.
- Ojciec Józef Bocheński twierdził, że w XX wieku więcej Polaków zginęło z rąk żydowskich niż na odwrót.
- Według Charlesa de Gaulle najbardziej polskim z polskich miast jest Zabrze.
- Kontakty z politykami szczebla centralnego narażają Ciebie na straty moralne, a lokalnego – intelektualne.
- Z technicznego punktu widzenia możliwe jest aby głowa państwa bujała się jak „nawalony" Tupolew.
- Według recepty Stefana Kisielewskiego : LEPSZE POLSKIE G.... W POLU, NIŻ FIOŁKI W NEAPOLU.

ANEKS:
GŁOSY O RATAJCZAKU

SPALIĆ RATAJCZAKA (I INNYCH TEŻ)

„W związku z ogromnym oburzeniem, jakie zapanowało po umorzeniu przez sąd pierwszej instancji postępowania przeciwko panu dr Dariuszowi Ratajczakowi (wydaje się, słuchając 8 grudnia br. wiadomości w środkach masowego przekazu, że było to tego dnia największe wydarzenie w kraju, a może i na świecie), proponuję spalić pana doktora na stosie.

Będzie to powrót do, jakże sprawdzonych, metod karania za poglądy i do naszej... europejskiej tradycji. Wydaje się, że i tak żadna inna kara nie zadowoli oburzonych.

Sama książka (*Tematy niebezpieczne* – DR) powinna być już dawno spalona (jeszcze ją ktoś przeczyta i dowie się, że poglądy pana doktora wyglądają nieco inaczej niż środki masowego przekazu to przedstawiają) (...). W przyszłości i tak wszystko zrzuci się na Świętą Inkwizycję (...).

W dalszej kolejności proponuję palić tych, co to twierdzą, jakoby liczba ofiar komunizmu była większa od ofiar Shoah.

Następnie należy zająć się tymi, co to nie bardzo chcą do Związku Socjalistycznych Republik Europejskich. Gwarantuję, że wyniki sondaży się poprawią...

Jacek Mazurek, Ostrów Wielkopolski

Od redakcji: „Przyłączamy się do apelu. Ze względów humanitarnych – trzeba to jednak zrobić dopiero po Świętach".

Najwyższy Czas!, 18-25 grudnia 1999

***

NOWE ŚREDNIOWIECZE – NOWA INKWIZYCJA

(...) Książka doktora Ratajczaka (*Tematy niebezpieczne* – DR) zawierała m. in. przedstawienie poglądów historyków nazywanych <rewizjonistami Holocaustu>. Historycy ci przyczynili się m. in. do znacznego skorygowania w dół liczby ofiar obozu oświęcimskiego, ale nie jest wykluczone, że w jakichś sprawach przesadzają w swoim rewizjonizmie. Tymczasem większość osób komentujących wyrok opolskiego sądu (nawiasem mówiąc, nieprawomocny...) twierdzi, że naganne jest w ogóle samo przedstawianie poglądów <rewizjonistów Holocaustu> nawet wtedy, gdy autor zamierza z nimi dyskutować. Poglądy te mianowicie mają być nie tylko fałszywe, ale i <motywowane nienawiścią>.

Oficjalnie penalizacja <kłamstwa oświęcimskiego> uzasadniana jest potrzebą ochrony pamięci ofiar niemieckich zbrodni w czasie II wojny światowej. Wydaje się jednak, że chodzi o coś więcej, a nawet, że wspomniana ochrona pamięci może być tylko wiarygodnym i onieśmielającym pretekstem. Do takiego wniosku skłoniły mnie gwałtowne protesty środowisk żydowskich również wobec prób tzw. pomniejszania wyjątkowości Holocaustu, czyli masowej zagłady większości Żydów europejskich, będących w zasięgu władzy niemieckiej podczas II wojny światowej. Obiektem takich ataków stał się ostatnio wysoki rangą polityk węgierski. Powiedział on, że Holocaust był <epizodem> czy też jednym z epizodów II wojny światowej.

Opinia na temat rangi Holocaustu pośród wydarzeń II wojny światowej zależy – jak sądzę – od punktu widzenia. Bardzo możliwe, że dla Żydów, przejętych tragedią swego narodu, Holocaust był i pozostanie najważniejszym wydarzeniem tej wojny. Jednakże taki punkt widzenia nie musi być powszechny i to wcale nie z powodu jakiejś nienawistnej czy antysemickiej motywacji, tylko z powodu odmienności doświadczeń. Dla co najmniej 2 milionów Polaków z dawnych Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej najważniejszym wydarzeniem tamtej wojny może być przecież deportacja na Syberię czy do Kazachstanu, połączona z utratą całego mienia, a najczęściej także życia wielu najbliższych. Dla mieszkańców Leningradu najważniejszym wydarzeniem II wojny może być blokada tego miasta, którą setki tysięcy przypłaciły śmiercią z głodu, zimna i od niemieckiej broni. Dla Rosjan w ogóle najważniejszym wydarzeniem tej wojny może być śmierć 22 milionów rodaków, a więc strata o wiele przewyższająca liczbę wszystkich Żydów na świecie. Dla Japończyków najważniejsze mogą być eksplozje bomb atomowych nad Hiroszimą i Nagasaki (...).

A jednak środowiska żydowskie konsekwentnie i uporczywie molestują każdego, komu przytrafi się <pomniejszanie wyjątkowości Holocaustu>. Odnoszę wrażenie, że nie chodzi tu wcale o pietyzm dla pamięci ofiar, bo takie zacietrzewione pieniactwo z pewnością czczeniu pamięci ofiar nie służy. Skoro jednak nie służy temu celowi, to może służy jakiemuś innemu? Sądzę, że nietrudno ten cel wskazać. Jest nim dążenie do narzucenia opinii światowej przekonania o wyjątkowości narodu żydowskiego, nawet nie ze względu na Holocaust, tylko w ogóle (...)".

Stanisław Michalkiewicz

Najwyższy Czas!, 18-25 grudnia 1999

***

NAZYWAĆ KŁAMSTWO PO IMIENIU

„Ci, którzy powołują się na wolność słowa, broniąc prawa do głoszenia takich poglądów, jakie zawarł w swej broszurze Dariusz Ratajczak, muszą pamiętać, że nieograniczona wolność słowa to pożywka dla przyszłego dyktatora. I dzisiaj trzeba przeciwko wypowiedziom łamiącym tabu protestować. Potem może być za późno".

Andrzej Zoll

Znak, lipiec 2000
przedruk: *Nowa Trybuna Opolska*, 19-20 sierpnia 2000

***

„Szanująca się uczelnia powinna go (Ratajczaka – DR) usunąć (...). Ma rację pani Tulli: trzeba wyrzucać, nie podawać ręki...".

Piotr Pacewicz

Gazeta Wyborcza, 10 grudnia 1999

***

OPOLSCY UCZENI

„Nic nie wskazuje, by antysemityzm w naszym kraju miał przycichnąć. Jego formy krańcowej, <kłamstwa oświęcimskiego>, dawniej u nas nie było. A teraz jest".

Andrzej Osęka

Gazeta Wyborcza, 11-12 grudnia 1999

***

WOLNOŚĆ SŁOWA MINUS RATAJCZAK

„Wolność słowa minus Ratajczak nie jest zatem brakiem wolności słowa, ale

wolnością słowa rozumnie ograniczoną (...). Praca Ratajczaka może się... okazać wyjątkowo dobrą pożywką dla aberracyjnych antysemickich teorii spiskowych, zwłaszcza, gdyby znalezli się jego naśladowcy – naszą odpowiedzialnością jest uczynić wszystko, by się nie znaleźli".

Tomasz Merta

Życie, 11-12 grudnia 1999

***

21 KARIER NA XXI WIEK

„Dariusz Ratajczak – doktor historii, sprawca tzw. kłamstwa oświęcimskiego. Po długotrwałych apelacjach publicystów *Gazety Wyborczej* doktor Ratajczak zostanie skazany i umieszczony w szpitalu psychiatrycznym. Tak samo jak swojego czasu w psychuszce został umieszczony przez sowietów rosyjski historyk Władimir Bukowski. Spętany kaftanem, będzie Ratajczak rozpamiętywał swoje błędy i wypaczenia, polegające na tym, że pisał cierpko o Żydach, zamiast słodko o komunistach. Efektem pobytu w psychiatryku będzie to, że ilekroć na Opolszczyznę przyjedzie jakiś zagraniczny dziennikarz, tylekroć po miarodajną opinię będzie się udawał... do Ratajczaka... Będą mu tego zazdrościć równie zawistni, co nijacy koledzy z uniwerku".

Zbigniew Górniak, Mirosław Olszewski

Nowa Trybuna Opolska, 24-26 grudnia 1999

***

„Wracamy do epoki pomówień o czary, sądzenia czarownic. *Gazeta Wyborcza* z 20. X. br. na pierwszej stronie wołała <Łgarza pod sąd>. Jej <intelektualiści> bez zmrużenia oka, zamiast żmudnych dociekań historycznych, z miejsca orzekli, że dr Ratajczak łże. Powinni podać, kiedy doznali iluminacji, który ze starotestamentowych proroków oznajmił im, że dr Ratajczak kłamie, podając relacje znanych historyków zachodnich, wątpiących w niektóre obiegowe sądy, dotyczące sytuacji więźniów w KL Auschwitz i Birkenau (...). Ustawa o tzw. <kłamstwie oświęcimskim> zabrania nie tylko posiadania odmiennego zdania o tym, co się działo w Auschwitz i Birkenau w latach wojny. Kładzie ona tamę wątpieniu naukowemu, bez

którego nie ma nauki (...). Dr Ratajczak przestępstwa nie popełnił. Zachował godną podziwu, niezależną postawę badacza (...). Dr Ratajczak broni wolności nauki. I chwała mu za to".

Ryszard Bender

Głos, 20 listopada 1999

***

UMORZENIE SPRAWY POLSKIEGO HISTORYKA – PÓŁREWIZJONISTY

„Niezadowolony Bernard Osser pisze 9 grudnia 1999 r. w zachodnio szwajcarskim *Temps*: polski historyk nie zostanie ukarany (...). Na szczęście Ratajczak mógł sprzedać tylko 5 egzemplarzy swojej książki – uspokaja czytelników Osser.

Uff, polska demokracja znów wyszła obronną ręką. Gdyby historyk mógł sprzedać 6 egzemplarzy – NATO musiałoby zaraz zbombardować Opole (...). Można obawiać się, że umorzenie jego sprawy zostanie zakwestionowane w wyniku nacisku silnego lobby żydowskiego w Polsce (...). Dr Ratajczak jest człowiekiem o dużej wiedzy, religijnym, obdarzonym charakterem (...)".

Jürgen Graf

Vierteljahreshefte für freie Geschichtsforschung, z. 1, czerwiec 2000

***

PAPON I RATAJCZAK

„Z pozoru te dwa nazwiska – Maurice Papona, byłego prefekta policji w Paryżu i dr Dariusza Ratajczaka z Opola – nic nie łączy. Tylko jednak z pozoru. Obaj zostali oskarżeni: Papon o współudział w holocauście, Ratajczak o tzw. kłamstwo oświęcimskie. Papon ma 89 lat i podczas wojny był funkcjonariuszem rządu Vichy, ale jednocześnie współpracował z antyniemieckim ruchem oporu, ratując wielu ludzi, w tym Żydów, a już po wojnie pozostawał bliskim współpracownikiem gen. De Gaulle. Mimo to oskarżono go o udział w zagładzie tego narodu, czego dowodem ma być deportacja do obozów koncentracyjnych 1 500 Żydów z Bordeaux. Skazany został na 10 lat więzienia. Ratajczak urodził się po wojnie, jest historykiem młodego pokolenia. Jego z kolei oskarżono o to, że w wydanej przez siebie książce *Tematy*

niebezpieczne zreferował poglądy na temat holocaustu tzw. szkoły rewizjonistycznej, zgadzając się z nią tylko w tym, że podawana powszechnie liczba Żydów, którzy zginęli podczas wojny jest raczej przesadzona (co jest np. zgodne z ostatnimi badaniami archiwów Muzeum Oświęcimskiego).

Papon i Ratajczak to ofiary histerii wypływającej wprost z tzw. religii holocaustu. Histerii tej ulegają nie tylko Żydzi, ale może w jeszcze większym stopniu elity polityczne i media. Wystarczy tylko jeden sygnał, by na wybraną ofiarę rzuciła się cała prasa, radio i telewizja, by uznane autorytety zgodnie potępiły każdego, na którego pada cień podejrzeń. We Francji – jak twierdzi Papon – nie było możliwe dojście do prawdy, gdyż wytworzono atmosferę polowania z nagonką (...). U nas powoli zaczyna się dziać to samo. Wystarczyło tylko, by *Gazeta Wyborcza* wskazała cel i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki poważni, jakby się wydawało, ludzie zamienili się w gorliwych oskarżycieli i na wyścigi potępiali w mediach wyczyny doktora z Opola. Szczytem takiego zakłamania była wypowiedź prof. Wojciecha Wrzesińskiego, prezesa Polskiego Towarzystwa Historycznego, który stwierdził publicznie, że Ratajczak utracił prawo nazywania się historykiem.

Już raz w naszej historii przeżywaliśmy okres, kiedy ex cathedra ustalano kto jest, a kto nie jest dobrym historykiem, już raz urządzano polowania na czarownice, wykreślając z panteonu polskiej nauki wybitnych jej przedstawicieli tylko dlatego, że stalinowsko-bermanowska klika uznała ich za antysemitów. Czym to się skończyło, wszyscy dobrze wiemy".

Jan Engelgard

Myśl Polska, 31 października 1999

***

KOMITET PAMIĘCI OFIAR STALINIZMU W POLSCE – ZARZĄD GŁÓWNY WE WROCŁAWIU

Pan dr DariuszRatajczak
Uniwersytet w Opolu

Wielce Szanowny Panie Doktorze!

Mamy nadzieję, że w tych trudnych dla Pana chwilach obrony wolności nauki przyjmie Pan nasze skromne poparcie i wyrazy solidarności.

Komitet Pamięci Ofiar Stalinizmu też konsekwentnie walczy o prawa do wolności

słowa, prasy, rozpowszechniania wyników nauki i doznaje z tego powodu wielu szykan.

Komitet zrzesza ludzi, którzy za te wartości zapłacili i nadal płacą bardzo wysoką cenę.

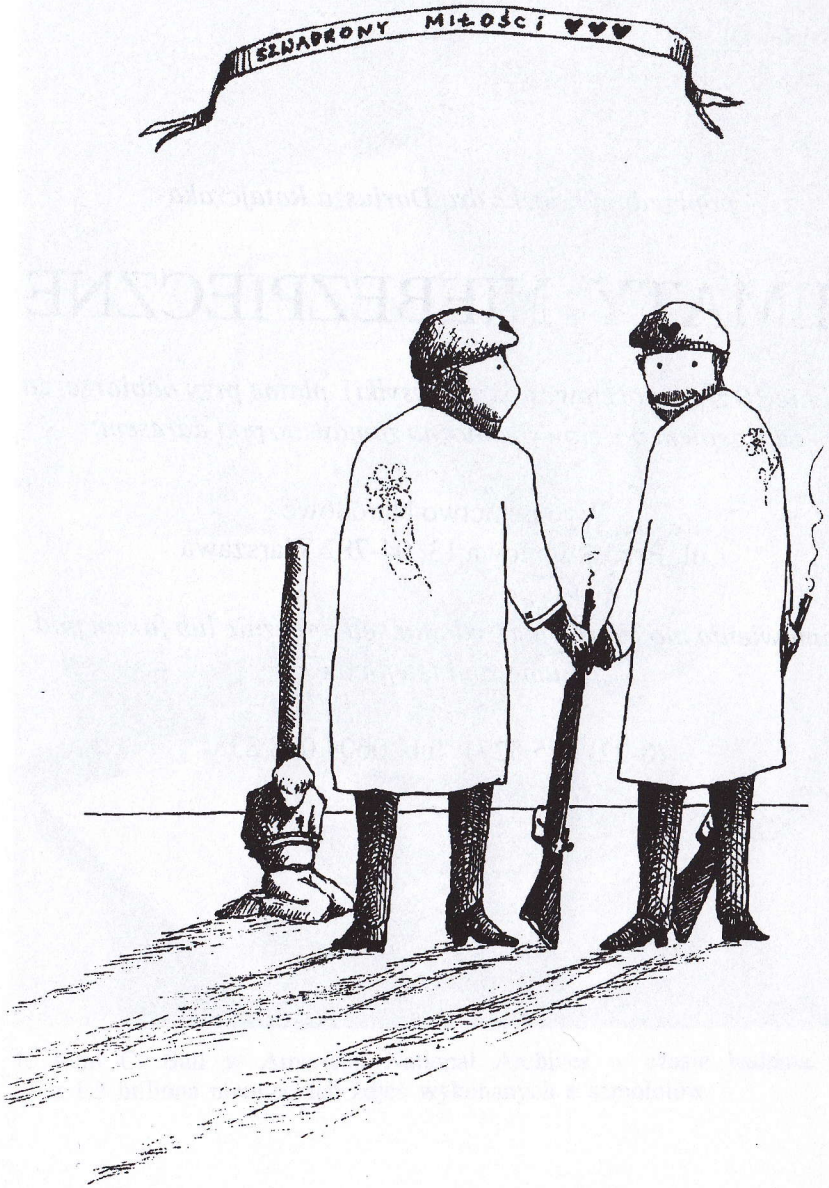
Życzymy wytrwania w obronie wolności nauki.

W imieniu Ofiar Stalinizmu

dr Leszek Skonka

Wrocław, 10 grudnia 1999

***



poprzednią książkę dra Dariusza Ratajczaka

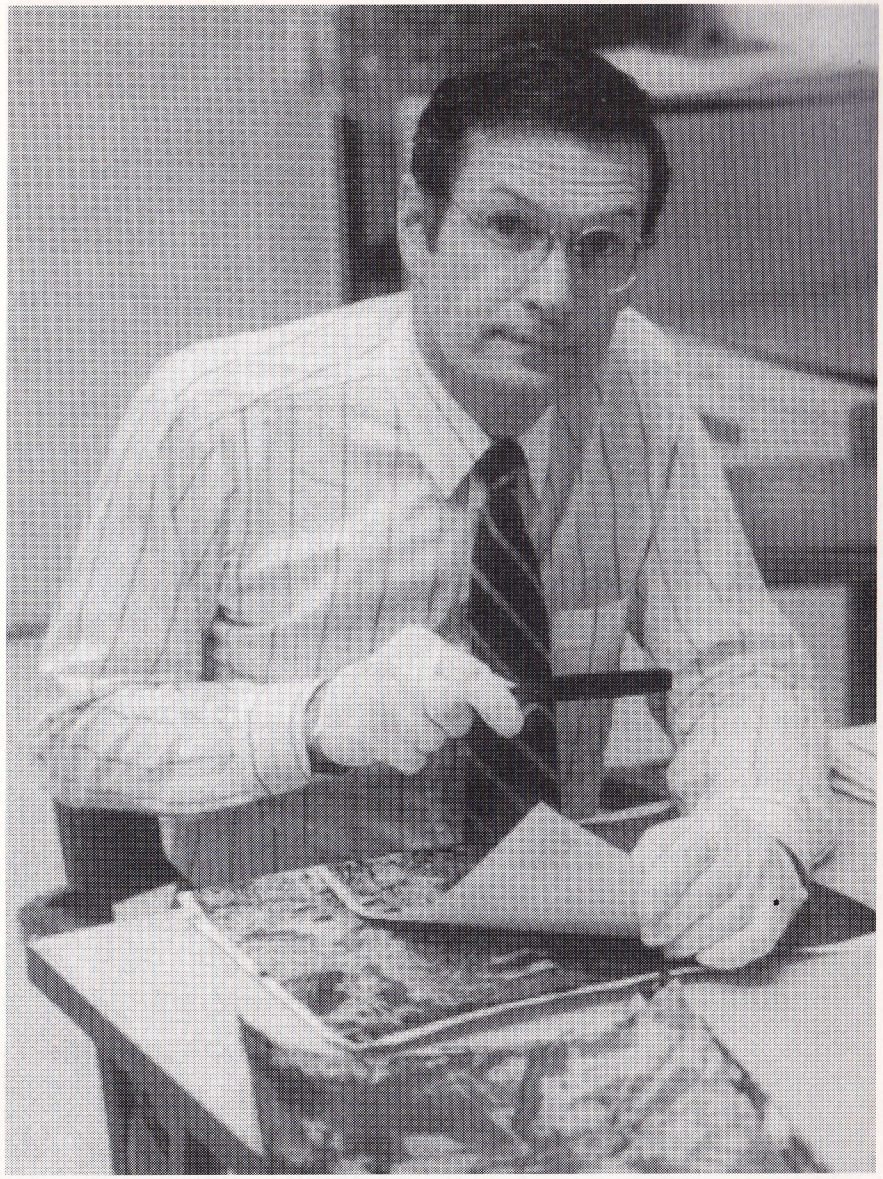
TEMATY NIEBEZPIECZNE

w cenie 10 zł (+ pocztowe koszty wysyłki), płatne przy odbiorze, za zaliczeniem pocztowym, można zamawiać pod adresem:

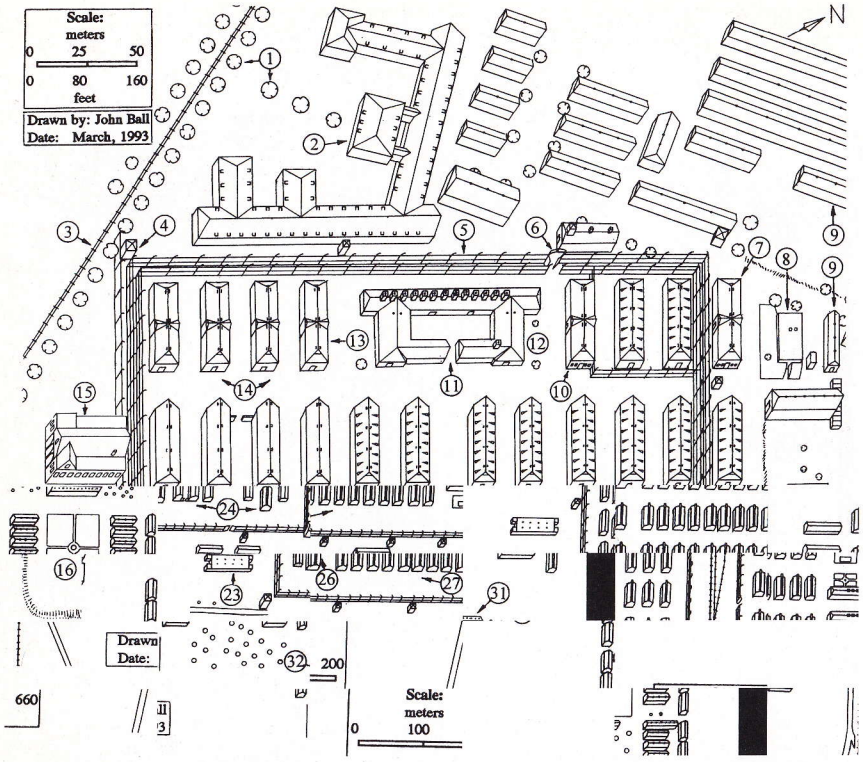
Wydawnictwo Narodowe
ul. Brzoskwiniowa 13, 04-782 Warszawa

zamówienia można również składać telefonicznie lub faxem pod numerami telefonów:

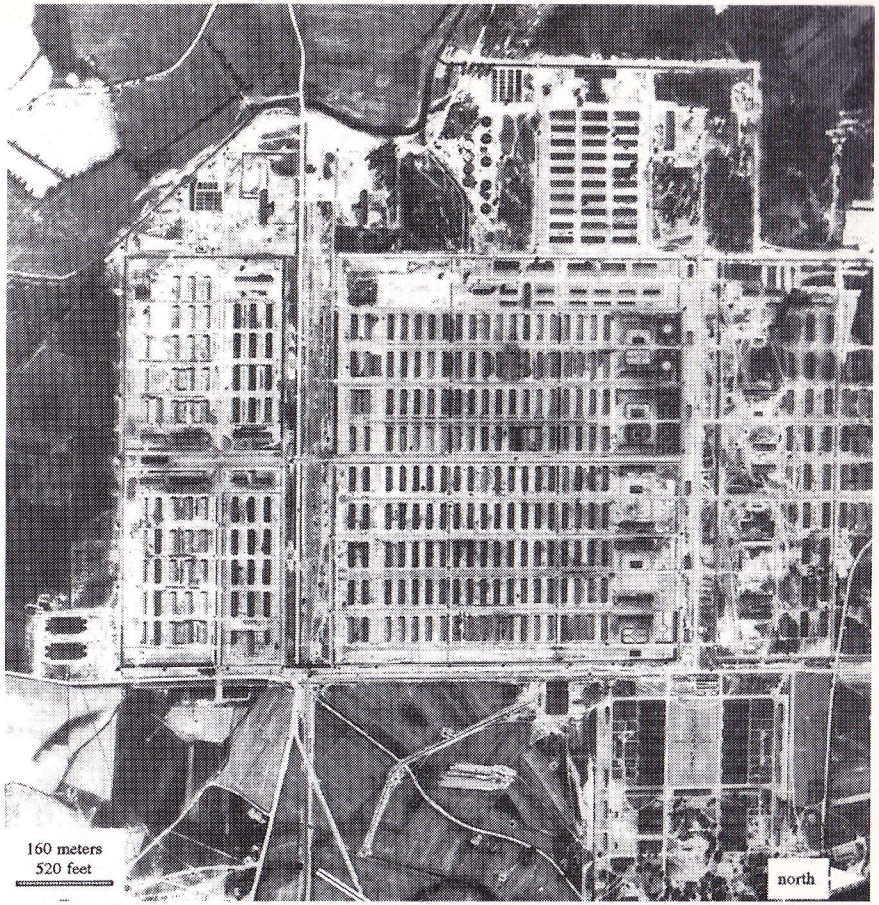
(0-22) 615 5271 lub 0604 088 838



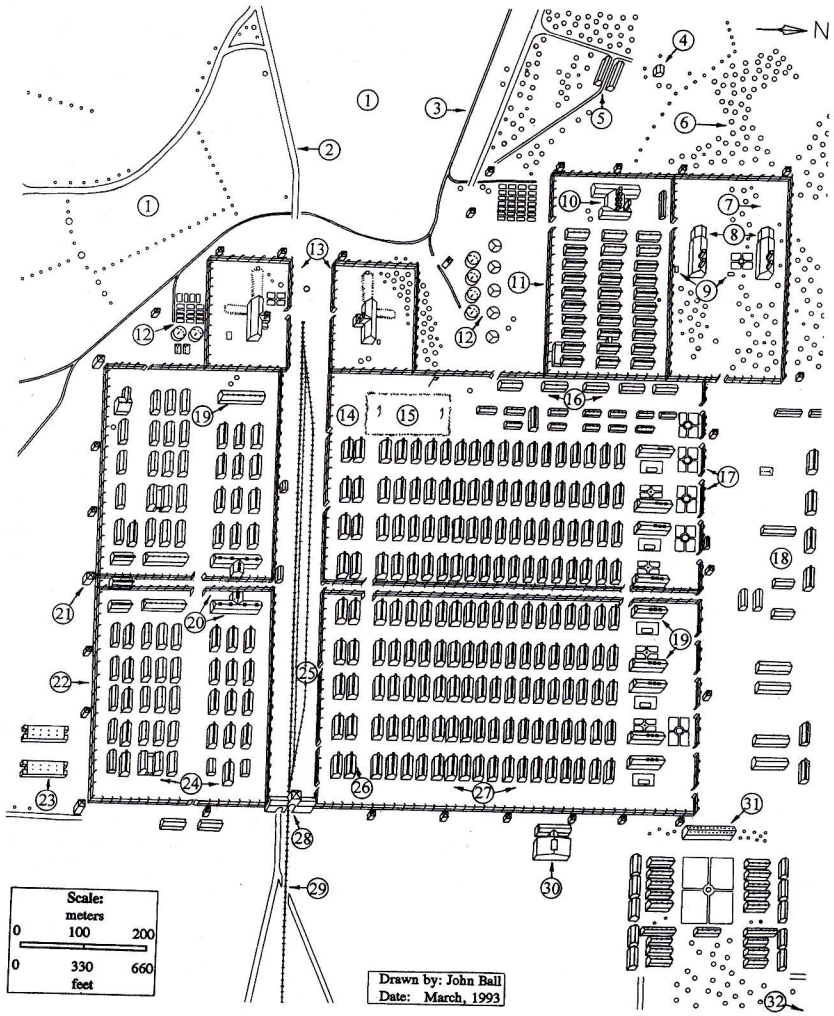
1. John C. Ball w American National Archives w czasie badania kilku z 1,2 miliona niemieckich zdjęć wykonanych z samolotów.



2. Auschwitz I - szkic obozu na podstawie alianckich zdjęć lotniczych z maja - września 1944. (Autorem szkicu i objaśnień jest John C. Ball. Objaśnienia to cytaty z „The Ball Report Auschwitz Exposed! Concentration camps drawn from WW II air photos", Samisdat Publisher Ltd., Toronto 1993).
1. Drzewa (topole i brzozy) **2**. Budynek administracji wybudowany w roku 1942 **3**. Linie kolejowe **4**. Wieże strażnicze **5**. Dwa równolegle biegnące ogrodzenia o wysokości 3 metrów **6**. Brama z napisem wejściowym „Arbeit mach frei" (Praca czyni wolnym) **7**. Szpital usytuowany naprzeciwko rzekomej komory gazowej **8**. Budynek o płaskim dachu i dwóch kominach o wysokości 1 metra ponad rzekomymi komorami gazowymi. Nie posiada otworów wentylacyjnych. Budynek znajduje się poza ogrodzeniem obozu, blisko zabudowań i drogi i pozbawiony jest ogrodzenia **9**. Tutaj okoliczni mieszkańcy i więźniowie wytwarzali produkty wykonane z drewna (stoły, krzesła itp.) **10**. Blok 24: parter - magazyn instrumentów muzycznych i biblioteka. Góra - pomieszczenie dla 10 kobiet które tam mieszkały i pracowały w znajdującym się tu domu publicznym **11**. Kuchnia z 13-ma piecami na węgiel **12**. Teren gdzie orkiestra symfoniczna składająca się z 80 muzyków dawała stałe koncerty muzyki klasycznej **13**. Poczta **14**. Ogrzewane baraki sypialne **15**. Teatr muzyczno–dramatyczny **16**. Piaskowo żwirowy dół o głębokości 2,5 metra **17**. Obozowy basen długości 23 metrów na 5 metrów szerokości, z trzema pozycjami startowymi o wysokości 1 m. **18**. Rząd drzew zwany przez więźniów Aleją Brzozową **19**. Biuro dowództwa obozu **20**. Dom dowódcy obozu **21**. Droga do Oświęcimia - 2 km. **22**. Betonowe ogrodzenie o wysokości 3 metrów otaczało obóz tylko z dwóch stron.

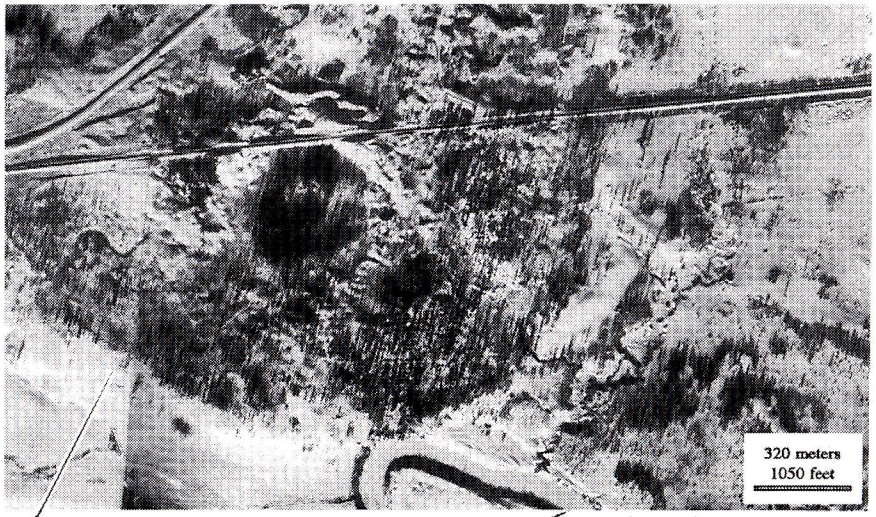


3. Zdjęcie lotnicze obozu Birkenau wykonane przez angielskich lotników 31 maja 1944 roku z wysokości 9200 metrów.



4. Szkic obozu Birkenau w roku 1944 na podstawie alianckich zdjęć lotniczych z 31 maja, 26 czerwca, 25 sierpnia oraz 13 września 1944 roku. (Autorem szkicu i objaśnień jest John C. Ball. Objaśnienia to cytaty z „The Ball Report - Auschwitz Exposed! Concentration camps drawn from WW II air photos", Samisdat Publisher Ltd., Toronto 1993).

1. Gospodarstwa rolne w najbliższym sąsiedztwie obozu które były uprawiane w 1944 roku **2**. Drogi prowadzące w stronę obozu **3**. Rowy (kanały) ściekowe uchodzące na zachód do Wisły o długości 1,3 km i do Soły **4**. Biały Domek, gdzie rzekomo w 1942 roku zamordowano kilka tysięcy ludzi przy użyciu gazu cjanowodorowego **5**. Rzekomo już w 1942 r. ofiary miały się tutaj rozbierać, tym niemniej budynki nie zostały zbudowane aż do czerwca 1944 **6**. Drzewa **7**. Zdjęcia lotnicze wykonane w 4 terminach pomiędzy majem a wrześniem 1944 nie ukazują żadnych dołów, stosów ciał lub dymu, podczas gdy ofiary setek rzekomych codziennych gazowań były układane w duże stosy i palone, albowiem budynki krematoryjne były przepełnione **8**. Budynki z piecami i wysokimi kominami gdzie rzekomo w 1942 r. zagazowano i skremowano kilka tysięcy ludzi, zostały zaprojektowane odmiennie od budynków krematoryjnych (pkt. 13) i mogły to być spalarnie śmieci, piekarnia lub urządzenia krematoryjne (chodzi o krematoria IV i V - DR) **9**. Puste rowy (długość 6 metrów, głębokość 1,5 metra). Na dnie osiadła woda **10**. Główna łaźnia gdzie odzież poddawano przez ponad pół godziny działaniu powietrza o temperaturze ponad 70°C, by zabić roznoszące tyfus wszy, więźniowie brali tu także prysznic **11**. 30 baraków tzw. Kanady, gdzie więźniowie sortowali i składali rzeczy osobiste należące do nowo przybyłych **12**. Rowy ściekowe i okrągłe zbiorniki **13**. Dwa wielkie budynki krematoryjne były widoczne dla tysięcy ludzi spoza obozu (np. ze znajdujących się naprzeciw nie odrzewionych gospodarstw rolnych) i dla wielu więźniów z baraków **14**. Miejsce gdzie 1 z 6 orkiestr obozów Auschwitz I i Birkenau dawała niedzielne koncerty **15**. Boisko sportowe z bramkami do piłki nożnej **16**. Budynki szpitalne przeznaczone dla więźniów **17**. Ogrody **18**. Przedłużenie obozu – Meksyk – nie posiadało ogrodzenia **19**. Kuchnie - 9 w obozie męskim, 3 w kobiecym **20**. Budynki gdzie poddawano skórzane buty, paski i ciężką odzież działaniu lżejszego niż powietrze gazu cjanowodorowego (Cyklon B), aby zabić roznoszące tyfus wszy. Po tej operacji gaz usuwano poprzez wentylatory umiejscowione w suficie **21**. Wieże strażnicze **22**. Ogrodzenie z drutu kolczastego o wysokości 3 metrów **23**. Magazyny na ziemniaki i warzywa 24. Część kobieca baraki sypialne zbudowane z cegły i drewna **25**. Rampa kolejowa do rozładowywania pociągów **26**. Toalety i umywalki **27**. Część męska **28**. Główna brama wejściowa **29**. Tor kolejowy **30**. Stacja pompowania wody **31**. Obozowa administracja **32**. Brzezinka - miasto.



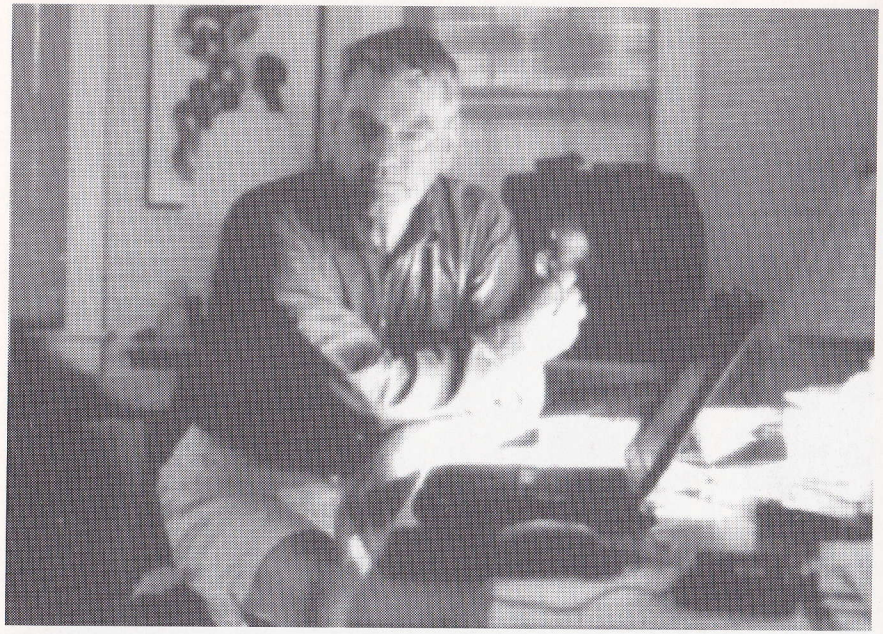
5. Zdjęcie Katynia z 2 stycznia 1944 roku: Koźli lasek jest częścią lasu katyńskiego i usytuowany jest w prostej linii pomiędzy drogą Smoleńsk – Orsza a rzeką. Powierzchnia gruntu jest falista z małymi wzgórzami, grzbietami i depresjami z powodu cienkiego złoża skał i gleby, które zostały osadzone przez lodowiec który pokrył dolinę około 12 tys. lat temu. Dźwięk jest słabo przekazywany na tego rodzaju terenie.



6. Czterej wybitni rewizjoniści Holocaustu podczas międzynarodowej Konferencji Rewizjonistycznej w Los Angeles (maj 2000 roku). Od lewej: Jürgen Graf (Szwajcaria), prof. Robert Faurisson (Francja), dr Frederick Toben (Australia), w głębi: Germar Rudolf (Niemcy).



7. David Irving w drodze do sądu. Brytyjski historyk przegrał proces z Deborah Lipstadt - polityczna poprawność po raz kolejny zatriumfowała nad rozumem.



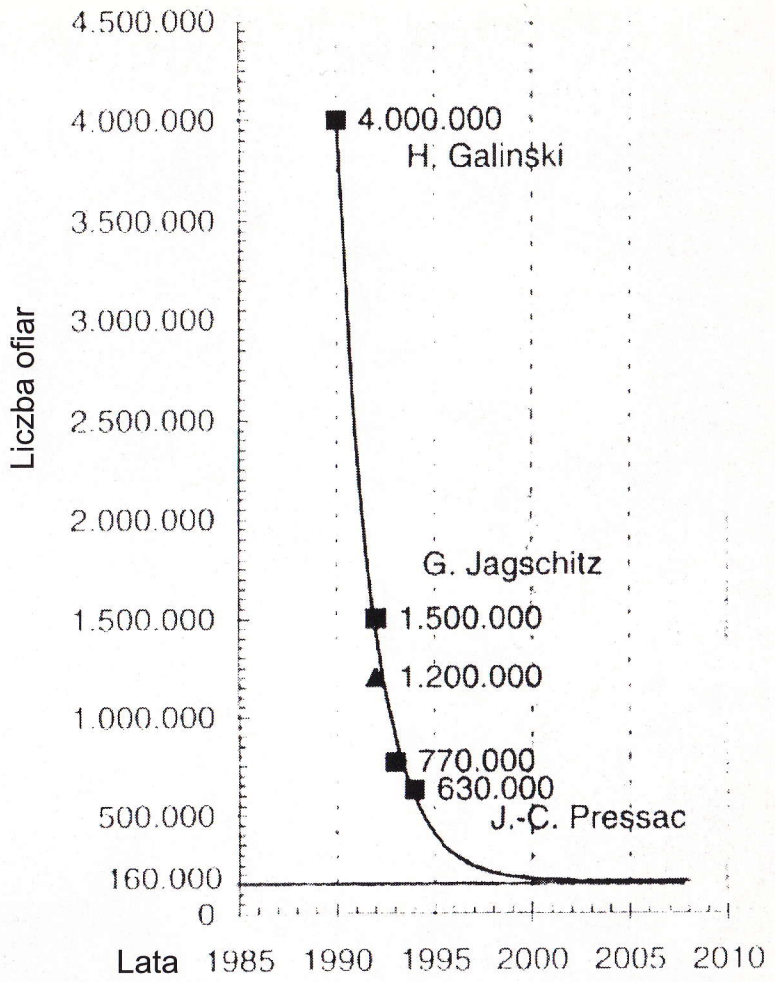
8. David Irving w Key West (Floryda).



9. Po lewej: Mark Weber – Dyrektor nonkonformistycznego Institute for Historical Review – w rozmowie z prof. Michaelem Shermerem.



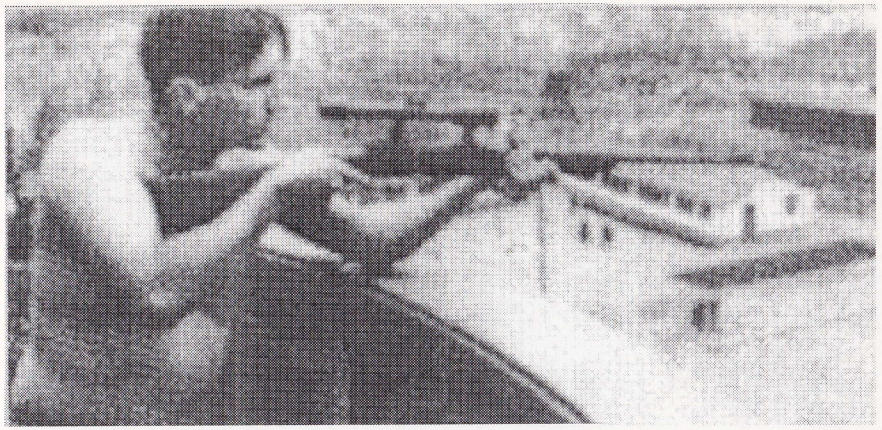
10. Harry Elmer Barnes – ojciec amerykańskiego rewizjonizmu historycznego.



11. Liczba ofiar Auschwitz bezustannie się zmniejsza. Także w świetle badań „antyrewizjonistów".



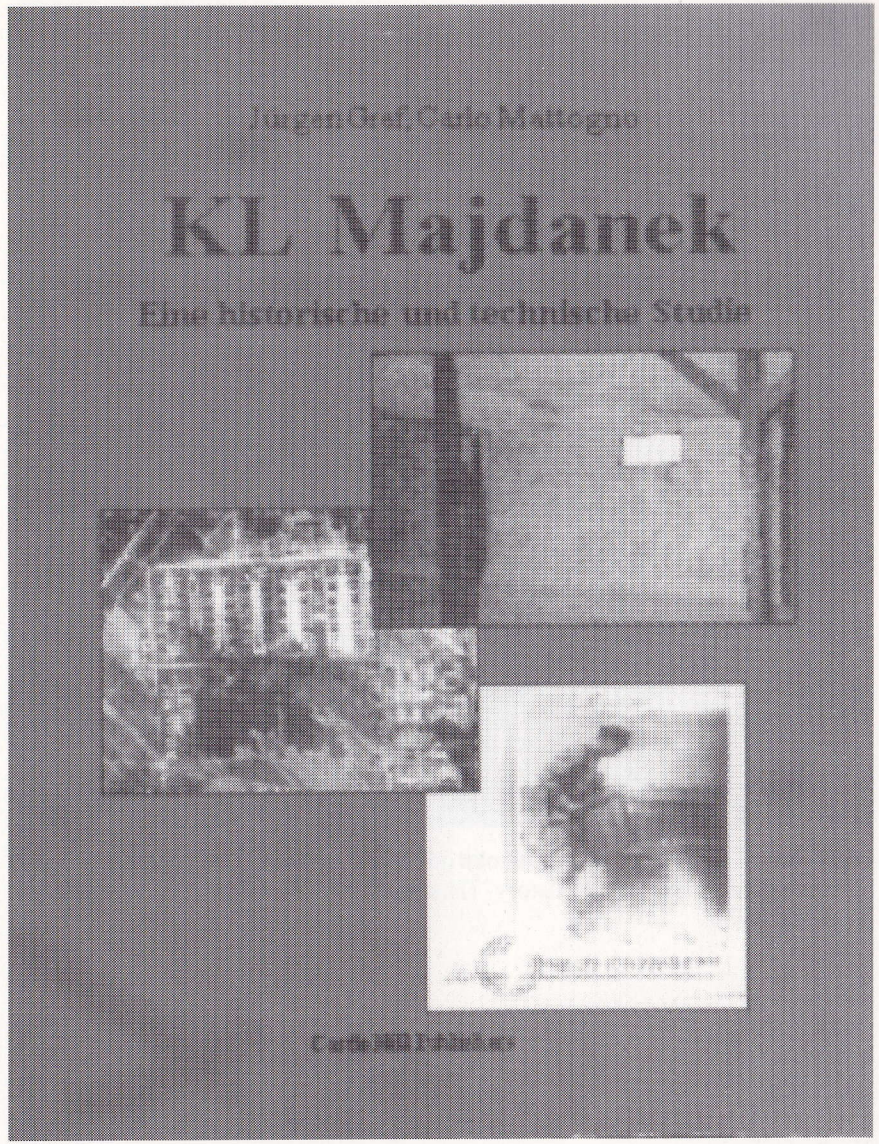
12. Filip Müller – niewiarygodny świadek Holocaustu.



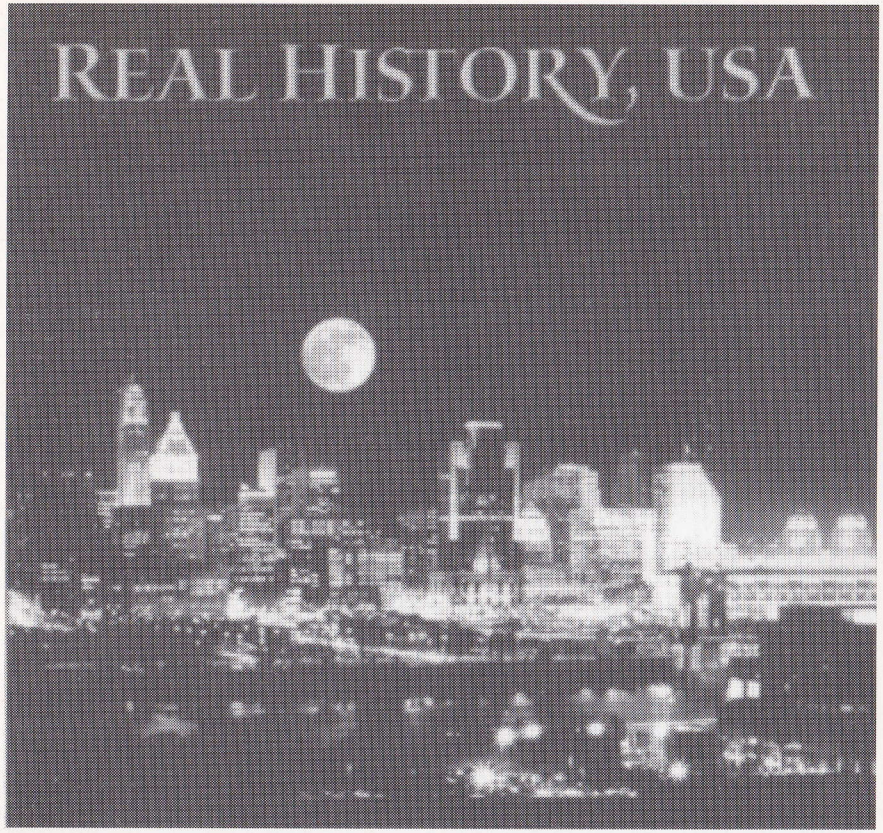
13. Scena z filmu „Lista Schindlera". Półnagi Amon Goeth strzela z balkonu swego domu do więźnia KL Płaszów. W rzeczywistości Goeth nie mógł tego zrobić.



14. Rewizjonistyczne nowości oficyny wydawniczej „Castle Hill Publishers".



15. Rewizjonistyczne nowości oficyny wydawniczej „Castle Hill Publishers". Na uwagę zasługuje wnikliwe studium „KL Majdanek" spółki autorskiej Jürgen Graf - Carlo Mattogno. Ten pierwszy sympatycznie wyraża się o Polakach



16. W dniach 24-26 września 1999 roku odbyła się w Cincinnati, USA Konferencja Rewizjonistyczna „Real History" (Historia prawdziwa). Jej organizatorem był David Irving.



Na zdjęciu: Autor w towarzystwie syna Karola oraz czworonożnego „ochraniarza" rodziny - „Olka".

Dariusz Ratajczak (ur. 1962), historyk, absolwent Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, doktor nauk humanistycznych. Do kwietnia roku 2000 adiunkt w Instytucie Historii Uniwersytetu Opolskiego. Autor *Polaków na Wileńszczyźnie 1939-1944* (Opole 1990); *Świadectwa księdza Wojaczka* (Opole 1994); *Krajowej Armii Podziemnej w powiecie prudnickim 1945-1952* (współautor, Opole-Gliwice 1996).

W roku 1999 opublikował zbiór felietonów historycznych zatytułowany *Tematy niebezpieczne* (Opole 1999; wyd. II kieszonkowe, Warszawa 1999). W jednym z nich zreferował poglądy tzw. rewizjonistów Holocaustu, co stało się powodem bezprzykładnych ataków na osobę autora ze strony publicystów *Gazety Wyborczej*, dyżurnych tropicieli polskiego antysemityzmu oraz środowisk żydowskich krajowych i zagranicznych.

W ich wyniku Ratajczakowi wytoczono proces sądowy (który nadal się toczy) oraz po rocznym, neostalinowskim „śledztwie" usunięto go z Uniwersytetu Opolskiego z zakazem pracy w zawodzie nauczycielskim na 3 lata (tzw. wilczy bilet).

Autor, wierząc w wolność słowa, wolność badań naukowych, a przynajmniej w wolność do wątpienia, odwołał się od tej decyzji do Komisji Dyscyplinarnej przy Radzie Głównej Szkolnictwa Wyższego.

Żonaty, 2 dzieci.

0 984691 77 6